11

TWÓRCZOŚĆ

LISTOPAD 1951 ROK

TWÓRCZOŚĆ

MIESIĘCZNIK

ZWIĄZKU LITERATÓW POLSKICH

ROK VII ZESZYT 11

WARSZAWA LISTOPAD 1951

Okładkę projektował Henryk Tomaszewski
Druk. Zakłady Graficzne i Wydawnicze „Dom Słowa Polskiego", Warszawa
Zamówienie 2183 z dn. 10.10.51 r. nakład 6860. Druk ukończono 8.11.51 r. 2-B-43372

DOKUMENTY PAŹDZIERNIKA

Do obywateli Rosji!

Rząd Tymczasowy został obalony. Władza państwowa przeszła do ąk organu Piotrogrodzkiej Rady Delegatów Robotniczych i Żołnier-kich — Komitetu Wojskowo-Rewolucyjnego, który stoi na czele pio-rogrodzkiego proletariatu i garnizonu.

Sprawa, o którą walczył lud: niezwłoczne zaproponowanie demokra-rycznego pokoju, zniesienie obszarniczej własności ziemi, kontrola ro-otnicza nad produkcją, utworzenie Rządu Radzieckiego, ta sprawa jest apewniona.

Niech żyje rewolucja robotników, żołnierzy i chłopów!

Komitet Wojskowo-Rewolucyjny
przy Piotrogrodzkiej Radzie
Delegatów Robotniczych i Żołnierskich

5 października 1917 r. godz. 10 rano.
.aboczij i Sołdat nr 8
5 października (7 listopada) 1917 r.

Posiedzenie Piotrogrodzkiej Rady Delegatów Robotniczych i Żołnierskich 25 października (7 listopada) 1917 r.

1

Referat o zadaniach władzy Rad

Krótkie sprawozdanie prasowe

Towarzysze! Robotnicza i chłopska rewolucja, o której konieczności olszewicy ciągle mówili, stała się faktem.

Jakie jest znaczenie tej robotniczej i chłopskiej rewolucji? Znaczenie ego przewrotu polega przede wszystkim na tym, że będziemy mieli adziecki Rząd, nasz własny organ władzy, bez jakiegokolwiek udziału urżuazji. Masy uciskane same stworzą władzę. Stary aparat państwo-y zostanie doszczętnie rozbity i stworzony zostanie nowy aparat rzą-zenia w postaci organizacji radzieckich.

Z tą chwilą nastaje nowa era w historii Rosji, i obecna trzecia re-olucja rosyjska w ostatecznym swym wyniku musi doprowadzić do wycięstwa socjalizmu.

Jedno z najbliższych naszych zadań, to konieczność natychmiasto-ego zakończenia wojny. Jest jednak rzeczą jasną dla wszystkich, że

aby zakończyć tę wojnę, ściśle związaną z obecnym ustrojem kapita listycznym, należy pokonać sam kapitał.

Pomoże nam w tym ów światowy ruch robotniczy, który zaczyna si już rozwijać we Włoszech, Anglii i Niemczech.

Sprawiedliwy, natychmiastowy pokój, zaproponowany przez na międzynarodowej demokracji, znajdzie wszędzie gorący oddźwię w międzynarodowych masach proletariackich. Aby to zaufanie prole tariatu umocnić, należy natychmiast opublikować wszystkie tajn traktaty.

Wewnątrz Rosji ogromna część chłopstwa stwierdziła: dość zabaw z kapitalistami — pójdziemy z robotnikami. Zaufanie chłopów zdobę dziemy jednym dekretem, który zlikwiduje własność obszarniczą. Chło pi zrozumieją, że jedynie w sojuszu z robotnikami leży ocalenie chłop stwa. Ustanowimy prawdziwą kontrolę robotniczą nad produkcją.

Obecnie nauczyliśmy się pracować zgodnie. Świadczy o tym doko nana właśnie rewolucja. Posiadamy tę siłę masowej organizacji, któr wszystko zwycięży i doprowadzi proletariat do rewolucji światowej.

W Rosji musimy się teraz zająć zbudowaniem proletariackiego pań stwa socjalistycznego.

Niech żyje światowa rewolucja socjalistyczna. *(Burzliwe oklaski)*

WŁODZIMIERZ LENIN

O naszej rewolucji

W związku z notatkami N. Suchanowa

I

Przerzucałem w tych dniach notatki Suchanowa * o rewolucji. Szcze gólnie rzuca się w oczy pedanteria wszystkich naszych drobnomiesz czańskich demokratów, podobnie jak wszystkich bohaterów II Między narodówki. Pomijając już to, że są niezwykle tchórzliwi, że nawe najlepsi z nich karmią się zastrzeżonkami, gdy chodzi choćby o naj mniejsze odstąpienie od wzoru niemieckiego, pomijając już tę właści wość wszystkich drobnomieszczańskich demokratów, którą dostatecz nie ujawnili podczas całej rewolucji, rzuca się w oczy ich niewolnicz naśladowanie przeszłości.

Wszyscy oni nazywają siebie marksistami, pojmują jednak marksizm do niemożliwości pedantycznie. Rzeczy decydującej w marksizmie zu

---

* Suchanow N. (N. N. Gimmer) — Najpierw narodnik, później mieńszewik Autor kilku książek o kwestii agrarnej i wydanych w Berlinie Notate o rewolucji rosyjskiej. Po rewolucji pracował w radzieckich organac ekonomicznych. W roku 1930 zdemaskowany jako kierownik organizacji kontr rewolucyjnej. — *Red.*

ełnie nie zrozumieli: mianowicie, jego rewolucyjnej dialektyki. Na-
vet bezpośrednich wskazań Marksa, że w chwilach rewolucji konieczna
est maksymalna giętkość, zupełnie nie zrozumieli, a nawet nie zauwa-
yli, na przykład, wskazań Marksa w jego listach, o ile pamiętam, z roku
856, kiedy Marks wyrażał nadzieję powiązania w Niemczech wojny
hłopskiej, mogącej wytworzyć sytuację rewolucyjną, z ruchem robot-
iczym — nawet tę bezpośrednią wskazówkę omijają i chodzą dookoła
iej jak kot dookoła gorącej kaszy.

W całym swym postępowaniu dają się poznać jako tchórzliwi refor-
niści, bojący się odejść od burżuazji, a tym bardziej zerwać z nią,
jednocześnie osłaniają swe tchórzostwo najbardziej rozwydrzonym
razesowiczostwem i samochwalstwem. Ale nawet pod względem czy-
to teoretycznym rzuca się w oczy właściwa im wszystkim zupełna nie-
dolność zrozumienia następującego marksistowskiego rozumowania:
otychczas widzieli określoną drogę rozwoju kapitalizmu i demokracji
urżuazyjnej w Europie zachodniej. I oto nie mogą sobie wyobrazić,
e droga ta nie może być uważana za wzór mutatis mutandis * jedy-
ie z pewnymi poprawkami (zgoła nieznacznymi z punktu widzenia
dziejów świata).

Po pierwsze — rewolucja związana z pierwszą światową wojną im-
erialistyczną. W takiej rewolucji musiały ujawnić się cechy nowe
ub też zmienione w zależności właśnie od wojny, ponieważ nigdy jesz-
ze na świecie takiej wojny w takich warunkach nie było. Dotychczas
vidzimy, że burżuazja najbogatszych krajów nie może po tej wojnie
rzywrócić „normalnych" stosunków burżuazyjnych, a nasi reformiści,
robni burżua udający rewolucjonistów, uważali i uważają normalne
tosunki burżuazyjne za kres (którego przekroczyć nie można), przy
ym „normę" tę pojmują skrajnie szablonowo i wąsko.

Po wtóre — zupełnie obca jest im myśl, że ogólna prawidłowość roz-
voju dziejów świata bynajmniej nie wyłącza, lecz przeciwnie, zakłada
oszczególne fazy rozwoju, które odznaczają się bądź swoistością for-
ny, bądź swoistą kolejnością tego rozwoju. Tak na przykład nie wpada
m nawet na myśl, że Rosja, stojąca na rubieży krajów cywilizowa-
ych i krajów po raz pierwszy przez tę wojnę ostatecznie wciąganych
lo cywilizacji, krajów całego Wschodu, krajów pozaeuropejskich, że
Rosja dlatego mogła i musiała przejawić pewne cechy swoiste, zgodne,
czywiście, z ogólną linią rozwoju światowego, odróżniające jednak jej
ewolucję od wszystkich poprzednich rewolucji w krajach zachodnio-
uropejskich i wnoszące w szczegółach pewne rzeczy nowe przy przej-
ciu do krajów wschodnich.

Tak np. nieskończenie szablonowy jest ich argument, który wykuli
a pamięć w czasach rozwoju socjaldemokracji zachodnio-europejskiej,
który polega na tym, że nie dorośliśmy do socjalizmu, że brak nam —
ak wyrażają się różni „uczeni" panowie spośród nich — obiektywnych
rzesłanek ekonomicznych dla socjalizmu. I nikomu nie wpadnie na

* Z odpowiednimi zmianami. — *Red. przekł. polski.*

myśl zadać sobie pytanie: a czy nie mógł naród, który stanął wobe sytuacji rewolucyjnej, takiej jaka wytworzyła się podczas pierwsze wojny imperialistycznej, czy naród ten nie mógł, pod wpływem swe sytuacji bez wyjścia, rzucić się do takiej walki, która stwarzała dla choć jakie takie szanse zdobycia sobie niezupełnie zwykłych warunków dalszego rozwoju cywilizacji?

„Rosja nie osiągnęła takiego poziomu rozwoju sił wytwórczych, n którym możliwy jest socjalizm". Z twierdzeniem tym wszyscy bohate rowie II Międzynarodówki, a między nimi oczywiście Suchanow, obno szą się zaiste jak z malowanym jajkiem. Na tysiące sposobów przeżu wają to bezsporne twierdzenie i wydaje im się, że jest ono decydujące gdy chodzi o ocenę naszej rewolucji.

Cóż jednak, jeśli swoistość sytuacji wciągnęła Rosję, po pierwsze, d światowej wojny imperialistycznej, w której zamieszane są wszystki choć trochę wpływowe kraje zachodnio-europejskie, jeśli na rubieży rozpoczynających się i częściowo już rozpoczętych rewolucji na Wscho dzie stworzyła dla jej rozwoju takie warunki, że mogliśmy urzeczy wistnić ten właśnie sojusz „wojny chłopskiej" z ruchem robotniczym o którym, jako o jednej z możliwych perspektyw, pisał w roku 185 odnośnie do Prus taki „marksista", jak Marks?

A cóż jeśli sytuacja absolutnie bez wyjścia, dziesięciokrotnie potęgu jąc przez to siły robotników i chłopów, dawała nam możność inneg przejścia ku stworzeniu podstawowych przesłanek cywilizacji niż w wszystkich pozostałych państwach zachodnio-europejskich? Czy zmie niło to ogólną linię rozwoju dziejów świata? Czy zmieniło to zasadni cze stosunki wzajemne podstawowych klas w każdym państwie, wcią ganym i wciągniętym w ogólny bieg dziejów świata?

Jeśli do stworzenia socjalizmu potrzeba określonego poziomu kultury (choć nikt nie może powiedzieć, jaki to jest ów określony „poziom kultury", albowiem w każdym z krajów zachodnio-europejskich jes odmienny), to czemu nie wolno nam zacząć najpierw od zdobycia w drodze rewolucyjnej przesłanek tego określonego poziomu, a ju *później*, w oparciu o władzę robotniczo-chłopską i ustrój radziecki, za brać się do doganiania innych narodów.

16 stycznia 1923 r.

II

Aby stworzyć socjalizm — powiadacie — potrzebna jest cywilizacja Doskonale. A dlaczego nie wolno nam było wpierw stworzyć u siebi takich przesłanek cywilizacji jak wypędzenie obszarników i wypędze nie kapitalistów z Rosji i dopiero później rozpocząć pochód ku socja lizmowi? W jakich to książkach przeczytaliście, że niedopuszczalne lu niemożliwe są tego rodzaju odmiany zwykłego porządku historycznego

Przypominam sobie, że Napoleon pisał: *„On s'engage et puis... o voit"*. W wolnym rosyjskim przekładzie znaczy to: „Z początku trzeb się zaangażować w poważnej bitwie, a później się zobaczy". Otóż i m

najpierw zaangażowaliśmy się w październiku r. 1917 w poważnej bitwie, a dopiero później zobaczyliśmy takie szczegóły rozwoju (z punktu widzenia dziejów świata są to niewątpliwie szczegóły), jak Pokój Brzeski lub nep. itp. I w chwili obecnej nie ma już wątpliwości, że w zasadzie odnieśliśmy zwycięstwo.

Naszym Suchanowom, nie mówiąc już o socjaldemokratach stojących jeszcze bardziej na prawo, nie śni się nawet, że w ogóle w inny sposób rewolucji robić nie można. Naszym europejskim filistrom nie śni się nawet, że następne rewolucje w krajach Wschodu, nieskończenie bardziej zaludnionych i nieskończenie bardziej różnorodnych pod względem warunków społecznych, niewątpliwie będą ich darzyły większą swoistością niż rewolucja rosyjska.

Nie ulega kwestii, że podręcznik, ułożony według Kautskiego, był w swoim czasie rzeczą bardzo pożyteczną. Czas już jednak wyrzec się myśli, jakoby podręcznik ten przewidział wszystkie formy rozwoju dalszych dziejów świata. Tych, którzy myślą w ten sposób, czas by już było ogłosić po prostu za durniów

17 stycznia 1923 r.

Dzieła, 4 wyd. ros.,
tom 33, str. 436-439

JÓZEF STALIN

Rewolucja Październikowa a historia warstw pośrednich

Nie ulega wątpliwości, że kwestia warstw pośrednich stanowi jedną z zasadniczych kwestii rewolucji robotniczej. Warstwy pośrednie — to chłopstwo i miejska niezamożna ludność pracująca. Należy do nich również zaliczyć narodowości uciskane, w dziewięciu dziesiątych składające się z warstw pośrednich. Są to, jak widzicie, te same warstwy, które ze względu na swe położenie ekonomiczne zajmują miejsce pomiędzy proletariatem a klasą kapitalistów. O ciężarze gatunkowym tych warstw decydują dwa momenty: po pierwsze, warstwy te stanowią większość lub w każdym razie wydatną mniejszość ludności współczesnych państw; po drugie, stanowią poważne rezerwy, z których klasa kapitalistów rekrutuje swą armię przeciwko proletariatowi. Proletariat nie może utrzymać się przy władzy nie mając za sobą sympatii, poparcia warstw pośrednich, przede wszystkim chłopstwa, zwłaszcza w takim kraju jak nasz Związek Republik. Proletariat nie może nawet poważnie marzyć o zdobyciu władzy, jeżeli warstwy te nie są przynajmniej zneutralizowane, jeżeli warstwy te nie zdążyły jeszcze oderwać się od klasy kapitalistów, jeżeli wciąż jeszcze stanowią w swej

masie armię kapitału. Stąd walka o warstwy pośrednie, walka o chłopstwo, przewijająca się czerwoną nicią przez całą naszą rewolucję od roku 1905 do 1917, walka, która bynajmniej jeszcze się nie skończyła i która będzie się jeszcze toczyć w przyszłości.

Rewolucja 1848 roku we Francji poniosła klęskę między innymi dlatego, że nie znalazła oddźwięku sympatii wśród francuskiego chłopstwa. Komuna Paryska upadła między innymi dlatego, że natknęła się na opór warstw pośrednich, przede wszystkim chłopstwa. To samo należy powiedzieć o rewolucji rosyjskiej 1905 roku.

Opierając się na doświadczeniu rewolucji europejskich pewni wulgarni marksiści z Kautskim na czele doszli do wniosku, że warstwy pośrednie, zwłaszcza chłopstwo, są niemal przyrodzonymi wrogami rewolucji robotniczej, że wobec tego należy bezwzględnie wziąć kurs na znacznie dłuższy okres rozwoju, w którego wyniku proletariat stanie się większością narodu, przez co powstaną realne warunki do zwycięstwa rewolucji robotniczej. Na podstawie tego wniosku ci wulgarni marksiści ostrzegali proletariat przed „przedwczesną" rewolucją. Na podstawie tego wniosku oddawali „ze względów zasadniczych" warstwy pośrednie do całkowitej dyspozycji kapitałowi. Na podstawie tego wniosku prorokowali nam klęskę rosyjskiej Rewolucji Październikowej powołując się na to, że proletariat stanowi w Rosji mniejszość, że Rosja jest krajem chłopskim i że wobec tego zwycięska rewolucja robotnicza w Rosji jest niemożliwa.

Rzecz charakterystyczna, że sam Marks oceniał warstwy pośrednie, a zwłaszcza chłopstwo, zupełnie inaczej. Podczas gdy wulgarni marksiści, machnąwszy ręką na chłopstwo i pozostawiwszy je politycznie do całkowitej dyspozycji kapitałowi, chełpili się szumnie swą „pryncypialnością" — Marks, ten marksista najbardziej spośród wszystkich marksistów pryncypialny, usilnie radził partii komunistów, by nie traciła z oczu chłopstwa, by pozyskała je na stronę proletariatu i zapewniła sobie jego pomoc w nadchodzącej rewolucji proletariackiej. Wiadomo, że w latach 50-tych, po klęsce rewolucji lutowej we Francji i w Niemczech, Marks pisał do Engelsa, a za jego pośrednictwem do kompartii Niemiec:

„W Niemczech wszystko zależeć będzie od możliwości poparcia rewolucji proletariackiej przez, że tak powiem, drugie wydanie wojny chłopskiej".

Napisane to było o Niemczech lat pięćdziesiątych, kraju chłopskim, gdzie proletariat stanowił nieznaczną mniejszość, gdzie proletariat był słabiej zorganizowany aniżeli w Rosji w roku 1917, gdzie chłopstwo ze względu na swe położenie mniej było skłonne do poparcia rewolucji proletariackiej niż w Rosji w roku 1917.

Nie ulega wątpliwości, że Rewolucja Październikowa stanowiła to szczęśliwe połączenie „wojny chłopskiej" z „rewolucją proletariacką", o którym pisał Marks wbrew wszystkim „pryncypialnym" gadułom. Rewolucja Październikowa dowiodła, że połączenie takie jest możliwe i daje się urzeczywistnić. Rewolucja Październikowa dowiodła, że proletariat może zdobyć władzę i utrzymać się przy niej, jeśli potrafi oder-

wać warstwy pośrednie, a zwłaszcza chłopstwo, od klasy kapitalistów, jeśli potrafi przeobrazić te warstwy z rezerw kapitału w rezerwy proletariatu.

Mówiąc krócej: Rewolucja Październikowa, pierwsza spośród wszystkich rewolucji świata, wysunęła na plan pierwszy zagadnienie warstw pośrednich, a przede wszystkim chłopstwa, i rozstrzygnęła je zwycięsko wbrew wszelkim „teoriom" i lamentom rycerzy II Międzynarodówki.

Na tym polega pierwsza zasługa Rewolucji Październikowej, jeżeli w ogóle można tu mówić o zasługach.

Jednakże to nie wszystko. Rewolucja Październikowa poszła dalej, gdyż przedsięwzięła próbę skupienia wokół proletariatu uciskanych narodowości. Mówiliśmy już wyżej, że narodowości te składają się w dziewięciu dziesiątych z chłopstwa i niezamożnej pracującej ludności miejskiej. To jednak nie wyczerpuje pojęcia „narodowość uciskana". Narodowości uciskane są zwykle uciskane nie tylko jako chłopstwo i pracująca ludność miejska, ale również jako narodowości, czyli jako masy pracujące określonej narodowości, języka, o określonej kulturze, układzie życia, zwyczajach, obyczajach. Podwójna śruba ucisku musi rewolucjonizować masy pracujące narodowości uciskanych, musi pchać je do walki z główną siłą ucisku — do walki z kapitałem. Okoliczność ta stała się bazą, która umożliwiła proletariatowi połączenie „rewolucji proletariackiej" nie tylko z „wojną chłopską", lecz również z „wojną narodową". Wszystko to musiało rozszerzyć pole działania rewolucji proletariackiej daleko poza granice Rosji, musiało wystawić na cios najgłębsze rezerwy kapitału. Jeżeli walka o warstwy pośrednie danej narodowości panującej jest walką o najbliższe rezerwy kapitału, to walka o wyzwolenie narodowości uciskanych musiała przekształcić się w walkę o zdobycie poszczególnych najgłębszych rezerw kapitału, w walkę o wyzwolenie ludów kolonialnych i niepełnoprawnych od ucisku kapitału. Ta ostatnia walka bynajmniej się jeszcze nie skończyła — co więcej, nie odnieśliśmy w niej nawet jeszcze pierwszych decydujących zwycięstw. Ale walka ta, walka o głębokie rezerwy, rozpoczęła się dzięki Rewolucji Październikowej i niewątpliwie będzie się wzmagała krok za krokiem w miarę rozwoju imperializmu, w miarę wzrostu sił naszego Związku Republik, w miarę rozwoju rewolucji proletariackiej na Zachodzie.

Mówiąc krócej: Rewolucja Październikowa zapoczątkowała rzeczywistą walkę proletariatu o głębokie rezerwy kapitału, którymi są masy ludowe krajów uciskanych i niepełnoprawnych, ona pierwsza podniosła sztandar walki o zdobycie tych rezerw — na tym polega druga jej zasługa.

Zdobycie chłopstwa odbywało się u nas pod sztandarem socjalizmu. Chłopstwo, które otrzymało ziemię z rąk proletariatu, które pokonało obszarników przy pomocy proletariatu i wzniosło się ku władzy pod kierownictwem proletariatu, musiało odczuć, musiało pojąć, że proces jego wyzwolenia odbywał się i będzie się nadal odbywać pod sztandarem proletariatu; pod jego czerwonym sztandarem. Musiało to przeistoczyć sztandar socjalizmu, który dawniej był postrachem chłopstwa,

w sztandar przykuwający uwagę chłopstwa i ułatwiający mu wyzwolenie się od zahukania, nędzy, ucisku.

To samo należy powiedzieć, i to w większym jeszcze stopniu, o narodowościach uciskanych. Hasło walki o wyzwolenie narodowości, hasło poparte takimi faktami jak wyzwolenie Finlandii, wycofanie wojsk z Persji i Chin, utworzenie Związku Republik, jawna pomoc moralna dla ludów Turcji, Chin, Hindostanu, Egiptu — hasło to po raz pierwszy rozległo się z ust ludzi, którzy zwyciężyli w Rewolucji Październikowej. Nie można nazwać przypadkiem faktu, że Rosja, która dawniej w oczach narodowości uciskanych była symbolem ucisku, obecnie, gdy stała się socjalistyczna, przeistoczyła się w symbol wyzwolenia. Nie jest również przypadkiem, że imię wodza Rewolucji Październikowej, tow. Lenina, jest obecnie najbardziej umiłowanym imieniem w ustach zahukanych i uginających się pod jarzmem chłopów oraz rewolucyjnej inteligencji krajów kolonialnych i niepełnoprawnych. Jeśli dawniej uciskani i uginający się pod jarzmem niewolnicy ogromnego imperium rzymskiego upatrywali nadzieję ratunku w chrześcijaństwie, to teraz idzie ku temu, że sztandarem wyzwolenia dla wielomilionowych mas ogromnych kolonialnych państw imperializmu może się stać (i poczyna się już stawać!) socjalizm. Nie ulega chyba wątpliwości, że ułatwiło to znacznie walkę z przesądami antysocjalistycznymi i otworzyło ideom socjalistycznym drogę do najdalszych zakątków krajów uciskanych. Jeśli dawniej trudno było socjaliście pokazać się z podniesioną przyłbicą wśród nieproletariackich, pośrednich warstw krajów uciskanych czy uciskających, to teraz może on występować wśród tych warstw otwarcie z propagandą idei socjalizmu, w nadziei, że go wysłuchają, a zapewne i posłuchają, przemawia bowiem za nim tak silny argument jak Rewolucja Październikowa. Jest to również rezultat Rewolucji Październikowej.

Mówiąc krócej: Rewolucja Październikowa utorowała ideom socjalizmu drogę do nieproletariackich, chłopskich warstw pośrednich wszystkich narodowości i ludów, uczyniła sztandar socjalizmu popularnym wśród nich sztandarem. Na tym polega trzecia zasługa Rewolucji Październikowej.

„Prawda" nr 253, 7 listopada 1923 r.
Podpis: *J. Stalin.*

ANDRZEJ WARZYSZYŃSKI

Dni Październikowe

Z zapisków uczestnika

Pamiętam, było to w połowie kwietnia 1917 r. Ludność Piotrogrodu czyniła przygotowania do przyjęcia i powitania emigrantów politycznych powracających zza granicy. Wieczorem masy ludności cywilnej i wojska zebrały się na Dworcu Finlandzkim czekając na pociąg wiozący emigrantów politycznych z Finlandii. Gdy pociąg wjechał na dworzec, orkiestra zagrała Marsyliankę i rozległy się niemilknące okrzyki. Stałem niedaleko wyjścia, przed dworcem i przyglądałem się wychodzącym pasażerom. Wśród nich zobaczyłem znajomego towarzysza.

Przywitałem się z nim serdecznie i zaczęliśmy opowiadać sobie swoje przejścia. W tym momencie wzmogły się okrzyki: „Niech żyje! Hurra! Hurra!" Mój towarzysz szepnął mi: „Patrzcie, ten stojący na wzniesieniu będzie przemiawiał, to jest towarzysz Lenin, wódz partii bolszewickiej"...

Pamiętam, wśród entuzjastycznych okrzyków tłumu zebranego na placu przed Dworcem Finlandzkim Lenin przemówił: „Wypowiadamy wojnę wojnie imperialistycznej! Precz z wojną imperialistyczną! Niech żyje rewolucja socjalna!"

W tłumie zaczęły się szemrania znajdujących się w nim burżuazyjno-mieszczańskich elementów, uwagi niezadowolenia, a zwłaszcza eserowców, mieńszewików, kadetów itp. Dopiero po przyjeździe z emigracji Lenina nastąpiła krystalizacja przejścia od rewolucji burżuazyjno-demokratycznej do rewolucji socjalnej. Na wszystkich zebraniach, wiecach odbywały się płomienne dyskusje z bolszewikami — eserowców, mieńszewików, kadetów itp. W tym samym czasie Rząd Tymczasowy zaczął prowadzić propagandę wrogą wobec partii Lenina i wszędzie szykanowano bolszewików za to, że wołali: „Precz z wojną imperialistyczną! Cała władza w ręce Rad!" Burżuazja, bojąc się partii bolszewickiej, utworzyła Rząd Tymczasowy z Kiereńskim na czele, jako rząd koalicyjny, w nadziei, że Kiereński jako eserowiec zlikwiduje bolszewików. Cała prasa burżuazyjna szkalowała bolszewików.

Pamiętam moje spotkanie w Domu Polskim na Newskim Prospekcie z tow. „Józefem" — Feliksem Dzierżyńskim. „Józef" opowiadał mi, jakie miał obawy, kiedy siedziałem w Arsenale w Warszawie 1909 r., z ujawnionym nazwiskiem. Tow. „Józef" mówił: „Skoro by was wywieźli na sprawdzenie do Częstochowy, to na pewno by was powieszono za tego strażnika, coście go zastrzelili w obronie tow. „Artura". Partia zrobiła co mogła, aby was ratować. Dzięki staraniom partii sędzia śledczy w Warszawie pokręcił w aktach waszej sprawy i dlatego zostaliście uratowani".

Następnie byłem na kilku zebraniach SDKPiL, na których odbywały się dyskusje w sprawie zmiany programu narodowościowego; hasło autonomii stało się nieaktualne wobec perspektywy rewolucji socjalistycznej, która miała unieważnić rozbiór Polski. W Piotrogrodzie spotkałem się z całym szeregiem towarzyszy. Gdy w partii okazałem dokument na wyjazd do sanatorium, tow. „Józef" nalegał, abym zaraz wyjechał dla podreperowania zdrowia, gdyż miałem silną anemię.

Tego samego dnia wyjechałem do Finlandii do miasta Knopio, w którym znajdowało się sanatorium.

Spędziłem tam 5 miesięcy.

Z gazet dowiadywałem się, że w Piotrogrodzie zanosi się na wielką burzę rewolucyjną; generał Korniłow i Kiereński chcieli stworzyć dyktaturę, lecz zostali rozbici przez proletariat rewolucyjny. Po jakimś czasie komitet byłych więźniów politycznych w Piotrogrodzie odwołał wszystkich swoich kuracjuszów z Finlandii.

24 października 1917 r. rano wyjechałem razem z innymi towarzyszami z Knopio do Piotrogrodu i przybyłem w dniu 25 października. Wychodząc z Dworca Finlandzkiego na plac — mogła być godzina 10 rano — ujrzałem dużo oficerów prowadzonych pod silną eskortą żołnierzy i robotników, uzbrojonych w karabiny i granaty. Tramwaje nie kursowały, nie było też ani jednej dorożki. Poszedłem pieszo aż na Plac Marsowy, gdzie mieścił się dom byłych więźniów politycznych, amnestiowanych. Po drodze od przechodniów dowiaduję się, że wybuchło powstanie bolszewickie. W domu dowiedziałem się wszystkiego dokładnie. Przede wszystkim musiałem zgłosić swój przyjazd w komitecie byłych więźniów amnestiowanych mieszczącym się na ul. Karawannej. W Komitecie znajdowało się kilkunastu cywilnych mężczyzn, którzy rozmawiali na temat bolszewickiego przewrotu. Z rozmowy ich zorientowałem się, że są to eserowcy, a jeden bundowiec. Bundowiec dowodził, iż skoro bolszewicy zdobyli telegraf i stację telefoniczną na ul. Morskiej, to teraz mogą zawrzeć oddzielny pokój lub zawieszenie broni na froncie. Udałem się Newskim Prospektem do Domu Polskiego, lecz tam nikogo nie zastałem. Idąc Newskim po drodze spotykałem patrole Czerwonej Gwardii Robotniczej, uzbrojone w karabiny i granaty. A obok „Gościnnego dworu" (hale targowe) nastąpiła krótka strzelanina, padło paru zabitych i rannych „junkrów". Zbliża się już wieczór. Jestem głodny, więc wstępuję do restauracji coś zjeść. Ale nie ma nic do jedzenia. Wychodzę z myślą odszukania towarzyszy, lecz gdzie ich szukać po tylu miesiącach mojej nieobecności, tym bardziej że cały Piotrogród znajduje się w ogniu rewolucji? Postanowiłem iść do domu na Placu Marsowym, róg ul. Mojki. Dom był przepełniony towarzyszami, byłymi więźniami politycznymi. Toczą się rozmowy, padają różne domysły, co będzie, jedni dowodzą, że powstanie się nie uda, bo Kiereński wyjechał na front celem sprowadzenia wojska i wykończy bolszewików; na ten temat toczy się gorąca dyskusja. Zimowy Pałac jest otoczony przez wojsko i marynarzy oraz Czerwoną Gwardię; Rząd Tymczasowy ukrył się tu

pod osłoną junkrów i batalionów szturmowych oraz batalionów kobiecych!

Strzelanina z kulomiotów i ręcznej broni trwa bez ustanku. Późnym wieczorem rozległy się ciężkie i lekkie wystrzały artyleryjskie w okolicy Pałacu Zimowego. Wywołało to strach wśród burżuazji. Krążownik „Aurora" dał kilka strzałów z ciężkich dział. Wtem weszło kilku cywilów z czerwonymi opaskami i zaproponowali nam wstąpienie do Czerwonej Gwardii.

W domu byłych więźniów politycznych amnestiowanych znajdowało się około stu osób o różnych zapatrywaniach, większość stanowili ludzie starsi i mało zdolni do noszenia broni. Z ogólnej liczby zgłosiło się nas trzydziestu. Gdy z początkiem marca zostałem zwolniony z wojska, pozostawiłem ubranie wojskowe z karabinem i amunicją w naszym magazynie. Natychmiast przebrałem się w odzież wojskową, zabierając ze sobą karabin z nabojami i udałem się z resztą towarzyszy do koszar pułku Pawłowskiego znajdującego się w sąsiedztwie, o parę domów od naszego domu, przy Placu Marsowym. W koszarach towarzysze otrzymali karabiny z nabojami i czerwone opaski, ja również założyłem czerwoną opaskę na rękaw płaszcza. Po krótkim przećwiczeniu nas przez podoficera z dwiema naszywkami, nauczono nas obchodzenia się z karabinem. Dla mnie było to zbyteczne, lecz towarzysze moi nie służyli w wojsku i dopiero teraz nauczyli się ładowania i repetowania karabinu. Przydzielono do nas dwóch żołnierzy starszych jako dowódców — a ja byłem trzeci; otrzymaliśmy hasło i odzew, i odmaszerowaliśmy pod Pałac Zimowy na ul. Milionną, która miała wylot na Aleksandrowski Plac Pałacowy. Na ulicy Milionnej odpowiedzieliśmy na hasło odzewem i połączyliśmy się z kompanią, która stała tam przytulona do murów kamienic, gdyż Plac Pałacowy znajdował się w ogniu karabinów maszynowych i ręcznych.

Pałac Zimowy był ostrzeliwany ze wszystkich stron, kaemy trajkotały bez przerwy. Noc była zimna i ciemna, widać było tylko błyski wystrzałów z Pałacu Zimowego.

Ta masowa strzelanina z obu stron czyniła wrażenie walki na śmierć i życie. Staliśmy na ulicy zamieszkałej przeważnie przez arystokrację rosyjską. W oknach nie było nigdzie widać ani jednego światełka. Bramy były pozamykane. Staliśmy cicho, nie rozmawiając, czekając na rozkaz.

W pewnej chwili kolumny piechoty stojące na ulicy Milionnej zaczęły poruszać się powoli. Doszedłszy na plac przed Pałacem Zimowym kładły się na bruku czekając na rozkaz ataku. Nasza kompania wysunęła się również; na placu natychmiast padliśmy plackiem. Jeden drugiemu powtarzał rozkaz: „cel — każde światełko w gmachu Pałacu Zimowego — dowolny ogień!" Z tysięcy karabinów otworzył się ogień i huraganowa strzelanina trwająca około pół godziny zmusiła do milczenia kaemy i ręczną broń w Pałacu Zimowym. Wtedy zerwała się burza okrzyków: „Hur-r-a! hur-r-a" i tysiące piechoty rzuciło się do szturmu. Przez kapliczkę i lazaret pałacowy żołnierze Czerwonej Gwardii wdarli się do środka i tam rozpoczęła się walka wręcz.

Rząd Tymczasowy się poddał. Grupy uzbrojonych junkrów oraz bataliony żeńskie wychodziły z bram pałacowych trzymając ręce do góry i rzucając złośliwe docinki pod adresem bolszewików. Na placu przed pałacem jeńcy sformowali się w czwórki i pod eskortą Czerwonej Gwardii zostali odprowadzeni do Twierdzy Pietropawłowskiej. Z dnia 25 na 26 października 1917 r. skończyła się władza Kiereńskiego.

Do południa nasz oddział trzymał straż na placu przed Pałacem Zimowym. Potem zostaliśmy zluzowani i poszliśmy do koszar pułku Pawłowskiego na obiad. Po obiedzie udaliśmy się patrolami na Newski Prospekt, na którym cywile — ładnie ubrani burżuje — usiłowali prowadzić kontragitację na rzecz Kiereńskiego, mówiąc, że niedługo powróci z frontu z wojskami i zrobi porządek z bolszewikami. Dyskusje na ten temat trwały do późnego wieczora. Rozganialiśmy takich agitatorów kiereńszczyzny i niejednemu dostało się dobrze po plecach, a przed Zarządem Miejskim przyszło do krótkiej strzelaniny z junkrami. Rozsypaliśmy się w tyralierę i zaczęliśmy strzelać w górę, aby rozproszyć burżuazyjnych gapiów. Na Prospekcie zrobiło się pusto.

Na rogu ulicy Sadowej i Newskiego Prospektu zauważyłem dwóch znajomych cywilów; jak się okazało, byli to moi dawni towarzysze. Zaczepiłem ich żartobliwie: „Ej, wy burżuazyjne mordy, czego się włóczycie po rewolucyjnym mieście?“ — Towarzysze nie poznali mnie, nie tracąc jednak humoru odparli, że są nie gorszymi przyjaciółmi rewolucji niż ja. Wtedy odzywam się: „Oj, ty, nie poznajesz mnie?“ Zagadnięty — gdy mnie poznał, parsknął śmiechem i uściskaliśmy się mocno; prosił, ażebym natychmiast szedł z nim do Smolnego, gdyż tam ma siedzibę nasza partia. Z całym patrolem trzydziestu ludzi — byli więźniowie polityczni — udaliśmy się do Smolnego. Wielki gmach II-piętrowy o dwóch skrzydłach. Towarzysze mieli przepustki; zameldowali komendantowi Smolnego o naszym przybyciu i zostaliśmy wpuszczeni. Udaliśmy się do pokoju przeznaczonego dla SDKPiL. Tu spotkałem się z Feliksem Dzierżyńskim.

Opowiedziałem o swoim udziale w ataku na Pałac Zimowy ubiegłej nocy. Towarzysz „Józef“ zalecił mi, ażebym przebrał się w cywilne ubranie, bo mu będę potrzebny. Miałem przy sobie zaświadczenie, wydane przez komitet byłych więźniów politycznych, które upoważniało mnie do wyjazdu na dalszą kurację na Krym. „To się dobrze składa — rzekł tow. „Józef“ — za parę dni uruchomiony zostanie pociąg do Moskwy, a wy mając tak dobry dokument, nadajecie się do pewnej misji. Jutro w porze obiadowej zgłosicie się u mnie tutaj“. — Gdy zgłosiłem się w czasie oznaczonym, otrzymałem następującą instrukcję: „Do czasu wyjazdu z Pitra do Moskwy macie zachowywać się jak cywil, w czasie dyskusji prowadzonych przez tłumy na mieście nie zabierać głosu, a skoro zabierzecie głos, to pytać się jednej i drugiej strony, kto ma rację, czy bolszewicy, czy też kiereńszczyzna — podawać się za bezpartyjnego, a to dlatego, że wywiad junkrów ma zadanie mordować naszych starych towarzyszy w celu osłabienia kadry partyjnej; musimy na to być przygotowani i pod każdym względem gotowi do odparcia zamiarów junkrów, gdyż nastąpił moment: my albo

oni; następnie czekajcie pierwszego pociągu do Moskwy i tam udacie się na Plac Skobielewa do hotelu „Drezden", w którym prawdopodobnie znajduje się siedziba naszej partii, i tam będziecie prowadzić obserwację ogólną aż do odwołania. Dopóki nie wyjedziecie z Pitra, przychodźcie do mnie na obiad, bo na mieście go nie dostaniecie".

Po wyjściu ze Smolnego udałem się na Newski Prospekt, na którym odbywały się tłumne dyskusje i propaganda na rzecz Kiereńskiego: jakoby czołówki wojsk kontrrewolucyjnych znajdują się na rogatkach Piotrogrodu. Ale kontragitacja bolszewicka obalała takie wersje i w czasie takich dyskusji dochodziło często do bójek i wzajemnej strzelaniny między patrolami Czerwonej Gwardii a strażnikami kiereńszczyzny. Burżuazja czekała z radością na przyjście wojsk prowadzonych przez generała Krasnowa, z Kiereńskim na czele, w celu oswobodzenia Piotrogrodu od bolszewików. Dyskusje wokół tego tematu nie ustawały w dzień ani w nocy.

Poszedłem na ulicę Karawanną do Komitetu, aby dowiedzieć się, czy i kiedy będzie jakiś pociąg do Moskwy. Sekretarka Nadieżyna przywitała mnie uprzejmie i usiłowała wciągnąć w dyskusję na temat, kto zwycięży — była eserówką. Odpowiedziałem, że zwycięży ta ideologia, w którą wierzy cały naród. A zresztą — dodałem — nie jestem generałem, ażebym się orientował w strategii. Zaczęła się śmiać, a z nią razem przebywający tam eserowcy w cywilnych ubraniach.

Komitet opanowany był przez eserowców, którzy czekali tylko przyjścia wojsk Kiereńskiego. Cała atmosfera naładowana była wrogością do bolszewików.

Nadieżyna powiedziała mi, że dobrze, iż przyszedłem do komitetu, gdyż wobec niewyraźnej sytuacji postanowiono na posiedzeniu wypłacić każdemu byłemu katorżnikowi na utrzymanie za trzy miesiące z góry, tj. 1800 rubli. Wypłacono mi z warunkiem, że z tych pieniędzy opłacę pierwszy miesiąc sanatorium, w którym będę odbywał dalszą kurację. Kiedy wychodziłem, na Newskim Prospekcie wywiązała się chaotyczna strzelanina. Ludzie uciekali, gdzie kto mógł, bo kule gwizdały nad głowami i obijały się o ściany domów. Wróciłem z powrotem do komitetu z prośbą, aby pozwolono mi przenocować. Wydano mi dwa koce, inni również musieli zostać na noc; spaliśmy na podłodze.

Na drugi dzień poszedłem na obiad do tow. „Józefa" — aby zdać mu relację z wczorajszego dnia. Gdy opowiedziałem o wszystkim, co widziałem i słyszałem oraz o otrzymaniu 3-miesięcznej zapomogi z komitetu, tow. „Józef" powiedział: „To jest dowód, że kontrrewolucjoniści nie są pewni siebie i przygotowują się do przegranej".

Po kilku dniach, 13 listopada 1917 r., wojska generała Krasnowa zostały rozbite przez bolszewików pod Piotrogrodem w okolicy Gatczyny i Carskiego Sioła, a generał Krasnow dostał się do niewoli. Kiereński przebrany w babską kieckę uciekł z pola walki za granicę. Władza Radziecka zwyciężyła!

Andrzej Warzyszyński

Z pracy wyróżnionej na Konkursie na Wspomnienia Robotników ogłoszonym przez Polskie Radio i Państwowy Instytut Wydawniczy.

O NAS

I

Myśmy żyli w kraju boleści,
pól bezpłodnych, ubogich błoni.
Choć rozległy — cały się mieścił
w zaciśniętej drapieżcy dłoni.
Tu nie każdy miał swoją cząstkę.
Kusy zagon nie wszystkim rodził.
Śpiewał lud o wierzbie płaczącej
i o białej brzozie — sierocie.
Gryzły twardy grunt bieda-szyby,
szły do nieba latawce modlitw.
Jak trwoniono chęci i siły!
Jak niewiele tu ludzie mogli!
Była dola z ciężkich najcięższa,
śmierć walczących — straszna, więzienna.
Usychała z dala od szczęścia
kratą miedz przygnieciona ziemia.
Kraj bosego, bitego dzieciństwa,
głodnej, bezdomnej starości...
...Ale to była nasza ojczyzna,
tuśmy się urodzili i rośli.
Więc, jak oka, strzegąc zachłannie
pustej hałdy, nędzarskiej hali,
myśmy — gorzkim, gniewnym kochaniem —
jak złą matkę, kraj ten kochali.

II

Jak przez dom rozbity, przez Polskę
długo wichry wojenne wiały.
Grzebiąc w piersi trwogę i troskę,
nasze matki wcześnie siwiały.
Na rozmytej drodze lagrowej,
jeszcze młodzi, już zgięci w pałąk,
umierali bracia, ojcowie,
dosięgnięci esmańską pałą.
My — nie chcieliśmy ginąć darmo,
ból, jak brzytwa ostry, nie stępiał,
gdy ruszaliśmy z leśną armią,
nocowali w dzikich ostępach,
aby, ledwie dzień się rozwidni,
wyjmie z mroku rysy zbrodniarzy —
bezlitośnie zabijać winnych

śmierci ojców, łez matek naszych.
Nie goiła się gniewu rana,
lecz — zawzięci, mściwi, zuchwali —
ziemię zniszczeń, skrzywdzony kraj nasz
myśmy jeszcze bardziej kochali.

III

Gdyśmy przyszli na rumowisko —
pierwszej wiosny, w swobody progu —
każdy dom ocalały był wyspą
wśród zalewu pustki i prochu.
Ale myśmy nie opuścili
rąk zmęczonych, nie umiejących.
Stary gniew jeszcze w nas się jątrzył,
żar zgorzeli podsycał siły.
Było trudno. Ale na swoim.
Więc i radość — nie do nazwania.
Z własnej, prostej, upartej woli
myśmy weszli na rusztowania.
Zapamięta czas, który przyjdzie:
nasze serca w maszynach biły,
tętnem żył włączaliśmy w życie
elektrowni nowych turbiny
i nasz oddech płynął przez pola,
w pełnych kłosach wiatrem szeleszcząc
i nasz pot wolną ziemię polał,
by dojrzała w szczęśliwszą, lepszą.
Było trudno. I dziś jest trudno.
Ale nikt nie zaskamle: „hamuj!"
Bo za trud, za ambitne jutro
my ten kraj najbardziej kochamy.

IV

Rówieśniku z krajów dalekich,
to dla ciebie moja opowieść, —
niechże więc do ciebie doleci,
niechże więc od ciebie się dowie:
Czy to z twojej dłoni w mą pierś,
John, spogląda broń śmiercionośna?
Czy to tobie zawadza, Pierre,
moich fabryk wrzawa radosna?
Czy to ty, Tom, zieleń mych pól
pragniesz wybić gradem żelaznym?
Ziemię rozłupać na pół,
zwalić miasta, podpalić lasy?
Czyżbyś ty do dzisiaj nie pojął,
skąd wytrwałość nasza, skąd wiara,

i dlaczego tym, co nam wojną
znowu grożą, wołamy „wara!...“

To dla ciebie opowieść moja,
rówieśniku z odległej ziemi.
Choć nas dzielą lądy i morza,
więcej nic nie musi nas dzielić.
Twój powszedni dzień, nam nieznany,
nasz dzień, cały w gorączce, w pędzie,
ani miłość, ani nienawiść,
to, co było, ni to, co będzie.

Ale gdybyś kiedyś potrafił
w ślepym szale sięgnąć do broni,
nasza miłość, nasza nienawiść —
wiedz — tę broń wytrąci z twej dłoni.

Wiktor Woroszylski

JERZY ANDRZEJEWSKI

Powiastka o zadufku całkowitym czyli głupcu bezwzględnym

Niniejsza powiastka wydrukowana samodzielnie wymaga paru słów wyjaśnienia. Należy ona do cyklu kilku dłuższych historyjek objętych wspólnym tytułem Powiastki o zadufkach czyli ludziach zadufanych w sobie.

Jak łatwo się domyślić każdy nieomal człowiek jest w mniejszym lub większym stopniu jakimś zadufkiem, to znaczy w tej czy innej dziedzinie zawodzi go krytycyzm w stosunku do samego siebie, jak bowiem stwierdził pisarz siedemnastowieczny „zadufanie w sobie głupich zawsze, czasem atoli i mądrych ślepi". Stąd i odmian różnego rodzaju zadufków doliczyć się nie jest łatwo. Cała ich przecież gromada! A więc np. zadufek zawodowy, zadufek prymus, zadufek organizacyjny, zadufek Zosia-Samosia, zadufek skromny, zadufek metafizyczny, seksualny, pesymistyczny i optymistyczny, rodzinny, dowcipny... trzeba by całą litanię ułożyć, chcąc wyliczyć wszystkich. Że wśród tak licznych zadufków zadufek całkowity czyli głupiec bezwzględny zajmuje z wielu względów miejsce honorowe — to chyba jasne. Dlatego i niniejsza powiastka niech pierwsza wprowadzi czytelników w świat zadufków. *(Od autora).*

Tomasz Duda urodził się w Warszawie na krótko przed wybuchem pierwszej wojny światowej. Jego matką była uboga praczka, ojcem ubogi student prawa. Student pochodził z rodziny ziemiańskiej, ponieważ jednak jeszcze za jego dzieciństwa rodzice popadli w ubóstwo, w wieku młodzieńczym stał się zapaleńcem, ideowcem i socjalistą. Ten ubogi student z dobrej rodziny, pełen szlachetnych porywów i delikatnych uczuć chętnie się bratał z proletariatem, a że z nadmiaru energii żył prędzej od swoich obowiązków — Tomek nigdy nie poznał ojca i nigdy również miał się nie dowiedzieć, że z głośnym sanacyjnym pułkownikiem, a w latach poprzedzających drugą wojnę światową ministrem Dąb-Doreckim złączyło go niegdyś bliskie pokrewieństwo.

Do dziewiątego roku życia syn Loni Dudzianki wychowywał się w suterynie na Starym Mieście. Gdyby nie miał krzywicznych nóżek, brzucha zbyt rozdętego kartoflami oraz cienkiej szyjki i zwiędłej twarzyczki, mógłby uchodzić za zdrowe i ładne dziecko. Trzeba zresztą stwierdzić, że te braki nie przysparzały matce nadmiernych kłopotów. Tomek był dzieckiem łatwym do prowadzenia. Cichy i potulny, rzadko chorował, a jeśli już zachorował, to przychodził do zdrowia bez pomocy doktora i lekarstw. Większość dni spędzał na bosaka i w podartych portkach na ulicy i tylko w wyjątkową słotę lub w ostre mrozy szukał

schronienia przy matczynej balii. Nie skarżył się, gdy go tłukli rówieśnicy. Nie sprzeciwiał się, gdy nim komenderowali silniejsi. Słaby i nieśmiały, cenił u innych siłę i śmiałość. Dzięki temu i silnym, i przedsiębiorczym bywał potrzebny.

Gdy Tomek zaczął dziewiąty rok życia, Lonia Dudzianka zmarła pewnej marcowej nocy na gruźlicę. Po pogrzebie starsza siostra nieboszczki, pochmurna i ospowata ciotka Waleria, wyprzedała po zmarłej stare graty, a żelazko oraz obraz przedstawiający św. Cecylię zabrała do siebie. Siostrzeńca, niestety, zabrać nie mogła, ponieważ nie pracowała na swoim. Była służącą u kupca kolonialnego. Postarała się jednak, aby Tomek mógł żyć samodzielnie. Nim jednak decyzję powzięła, poddała go egzaminowi.

— Umiesz pacierz? — spytała.

Umiał.

— Do komunii przystępowałeś?

Okazało się, że przystępował w ubiegłym roku.

— A czytać i pisać potrafisz?

Tego nie potrafił.

— A z rachowaniem jak?

Umiał liczyć do dziesięciu. Ciotka Waleria zastanowiła się.

— Pan Bóg łaskaw na sieroty — powiedziała wreszcie. — Jak na dziecko nieślubne, dobrze, że i pacierz umiesz. A rachować się nauczysz.

Tak więc dzięki swym umiejętnościom Tomek Duda został chłopcem na posyłki u tego samego kupca, u którego od wielu lat służyła ciotka Waleria. Kupiec nazywał się pan Jan Jaśkiewicz. Był to samotny wdowiec w starszym wieku. Miał dwoje dzieci, lecz te dzieci czyniąc od czasu do czasu wyjątek dla spraw natury finansowej nie utrzymywały z nim żadnych stosunków. Córka pod pseudonimem Zuli Koreckiej tańczyła w podrzędnych kabaretach, a syn, Teodor, poszedł drogą naukową i był starszym asystentem przy katedrze sanskrytu na krakowskiej Jagiellonce.

W przeciwieństwie do swoich dzieci, pan Jaśkiewicz wysoko cenił kupiecki zawód. Do Tomka Dudy, gdy ten już chodził do wieczornej szkoły, tak często mawiał:

— Pamiętaj, chłopcze, że możesz dojść w życiu do wielkich rzeczy. Ja też tak zaczynałem jak ty, od chłopca na posyłki. I widzisz do czego po latach doszedłem!

Sklep pana Jaśkiewicza mieścił się na Powiślu. Był to sklep w dobrym punkcie, u skrzyżowania Dobrej i Bednarskiej. Nie był to sklep wielki, miał tylko dwa okna wystawowe, lecz był to sklep solidnie

prowadzony i wśród mieszkańców dzielnicy cieszył się zasłużonym zaufaniem.

— Ale jeżeli chcesz, chłopcze, do czegoś dojść — mówił dalej pan Jaśkiewicz — to jak dziesięcioro przykazań musisz jeszcze przestrzegać trzech przykazań kupieckich. Pierwsze twoje przykazanie: pracuj. Drugie: oszczędzaj. I trzecie, chłopcze, przykazanie: bądź solidny, to znaczy słuchaj swoich pracodawców, a w przyszłości bierz się tylko do pewnych interesów i zawsze trzymaj się zasady, że lepszy wróbel w garści niż gołąb na dachu.

Nieco inny pogląd na te sprawy miał ekspedient pana Jaśkiewicza, pan Leon Bajorek. Ten młody człowiek lat dwudziestu paru, syn dozorcy pałacu biskupiego w Kielcach przybył do Warszawy przed kilkoma laty z głową pełną śmiałych projektów oraz z niedużą sumką wykradzioną skąpemu ojcu. Znalazłszy się w stolicy, Bajorek począł przy pomocy totalizatora i czarnogiełdziarzy obracać ojcowskimi oszczędnościami. Doznawszy kilkakrotnych powodzeń zaczął poczynać sobie coraz śmielej i niebawem za cały majątek pozostały mu śmiałe pomysły.

Znalazłszy wkrótce potem dzięki mało ważnemu przypadkowi zajęcie u pana Jaśkiewicza, Bajorek szybko zdobył zaufanie pryncypała. Był chłopcem przystojnym i układnym, o jasnych włosach i dużych marzycielskich oczach. Dbał poza tym o swój wygląd zewnętrzny i co sobotę chodził do fryzjera i manicurzystki. Chociaż z handlem kolonialnym nigdy się do tej pory nie zetknął, okazał jako ekspedient duże zdolności. Pan Jaśkiewicz sprawiedliwie je też oceniał, a ponieważ wątroba poczęła mu ostatnio dokuczać — coraz częściej się zdarzało, iż młody subiekt sam zostawał w sklepie, a nawet, gdy zaszła nagła potrzeba, załatwiał na własną rękę poważniejsze zakupy. Lecz ambicje Bajorka sięgały dalej.

Pewnego razu, gdy stary kupiec skłonny ostatnio do irytacji uniósł się gniewem i stanowczo odrzucił proponowany przez pana Leona bardzo korzystny, lecz raczej paskarski interes, młody ekspedient zwierzył się chłopcu na posyłki ze swego niezadowolenia.

— Nasz stary, bracie, już szmelc! — tak powiedział. — Nie nadaje się już, bracie, do interesów i w ogóle ani w ząb, bracie, nie rozumie nowych czasów. Zdaje mu się, że do wielkich rzeczy w życiu doszedł, a tymczasem taki jeden Wedel albo drugi Jabłkowski mogliby sobie stu takich sklepikarzy na małym guziku u kamizelki powiesić.

Tomek Duda przestraszył się na myśl, co by się mogło stać, gdyby te słowa doszły do pana Jaśkiewicza, lecz podziw dla pewności siebie, z jaką mówił pan Leon, okazał się silniejszy od strachu.

Tymczasem Bajorek ciągnął dalej:

— W życiu, bracie, jak w dżungli, wszystko trzeba zdobywać siłą. Nie strzelisz w porę do tygrysa, to tygrys na ciebie się rzuci.

Tomek Duda nie wiedział, co to jest dżungla, lecz na wszelki wypadek zapytał:

— A jeżeli nie ma szczego wyszczelić?

— O! — zdziwił się Bajorek i uważnie się przyjrzał małemu — takiś ty mądry? Ale ja ci i na to, bracie, odpowiem. Jak nie masz, bracie, z czego wystrzelić, to bierz się za podstęp. Masz na przykład, bracie, przed sobą silniejszego przeciwnika, to wyczekaj odpowiedniej chwili i podstaw mu nogę.

Tomek, w którym ocknęły się szlachetne porywy ojca, niespokojnie się poruszył.

— A czy to honorowo?

— Głupi jesteś! — odparł Bajorek. — A samemu leżeć, to honorowo?

Nazajutrz Tomek wrócił do tej rozmowy.

— Co zrobić, panie Leonie — tak zapytał — żeby być silnym?

— Na to, bracie — odparł Bajorek — jedna jest rada. Miej, bracie, pieniądze i zapamiętaj sobie, że u bogatego i zez prosty.

Minęło od tej rozmowy lat kilka. Sporo rzeczy się przez ten czas zmieniło. Zmienił się przede wszystkim Tomek Duda, który wyrósł na silnego chłopaka, awansował na praktykanta, a nauczył się nie tylko rachować, jak to słusznie przewidziała ciotka Waleria, lecz również czytać i pisać. Natomiast pod wpływem wolnomyślnych poglądów pana Leona począł się wyraźnie zaniedbywać z pacierzem i co najgorsze, ciotka Waleria nie mogła już, biedaczka, czuwać nad regularnym chodzeniem siostrzeńca na niedzielną mszę. Nie poszczęściło się, biedaczce! Wyszła wprawdzie za mąż za milicjanta i pojechała z nim na odległe kresy, lecz że mąż, który na trzeźwo tłukł Ukraińców i komunistów, ją tłukł po pijanemu — zmarła po niespełna roku, zostawiając wdowcowi swoje wieloletnie oszczędności, dużo pościelowej bielizny oraz obraz ze św. Cecylią, niegdyś własność Loni Dudzianki.

Jeśli zaś chodzi o pana Jaśkiewicza, to po odejściu Walerii nie mógł już sobie dobrać odpowiedniej służącej. Zmieniał je też co kilka miesięcy, uskarżał się, że go wszystkie okradają i przeciw tym zamachom na swoją własność bronił się skąpstwem. Z dzieci, które wolały nie pamiętać, że ojciec jest sklepikarzem, nadal nie miał pociechy. Córka wyszła za mąż za hrabiego i już nie występowała w peryferyjnych kabaretach, lecz w „Qui-pro-quo", a syn sanskrytolog ożeniwszy się z posażną bratanicą wpływowego prałata Kulfana został profesorem

nadzwyczajnym. Cóż jeszcze? Zaufanie, jakim pan Jaśkiewicz darzył swego utalentowanego ekspedienta, dość mocno zostało nadkruszone przez czas. Różne podejrzenia trapiły starego kupca, sen mu odbierały i wątrobę powiększały, lecz na podjęcie stanowczych kroków nie mógł się zdobyć, ponieważ w miarę jak mu przybywało trosk i kłopotów, lękał się coraz bardziej nieodwołalnych decyzji i w ogóle zmian.

A pan Leon Bajorek? Hej, bracie! W roku, w którym Piłsudski dokonał zamachu stanu, również i on rozwinął skrzydła do wyższego lotu.

Jesienią owego roku pan Jaśkiewicz długo chorował na swoją wątrobę. Gdy wreszcie trochę się podreperował i po raz pierwszy od miesiąca wyszedł z domu, w sklepie rozegrała się wieczorem następująca scena:

— Do więzienia pójdziesz, złodzieju jeden! — krzyczał pan Jaśkiewicz.

A na to Bajorek:

— Może i pójdę. Ale razem z panem. ..

Starego kupca aż zatkało.

— Co, ze mną? Ty mi śmiesz grozić? Uczciwemu kupcowi?

— Wolnego, panie starszy — na to Bajorek. — A zeznania o dochodzie, to kto od roku dwudziestego pierwszego fałszuje? Duch święty czy pan Jaśkiewicz?

Znany ze swej solidności kupiec poczerwieniał i rękę z plamkami wątrobianymi wyciągnął jak do przekleństwa.

— Łajdaku jeden! Takie miałem do ciebie zaufanie...

— Nie zgrywaj się pan — skrzywił się młody człowiek. — Zaufanie to luksus. Trzeba za nie płacić.

Pan Jaśkiewicz załamał dłonie.

— Człowieku, człowieku!

— Myśl o sobie, staruszku, i nie nudź drugich — przerwał mu spokojnie tamten i spojrzał na stojącego z boku Tomka Dudę. — Ty, bracie, ze mną oczywiście idziesz, nie?

Tomek Duda już od dawna dokonał był wyboru, więc teraz w sposób łatwy powziął pierwszą decyzję w życiu. I nie pożałował jej.

W parę miesięcy później, a na kilka tygodni przed świętami Bożego Narodzenia, w kamienicy na przeciwko sklepu pana Jaśkiewicza został otwarty nowy sklep kolonialny. Był to wielki sklep o czterech oknach wystawowych, jasny i przestronny, urządzony nowocześnie i zaopatrzony w bogaty dobór towarów. Wieczorami okna wystawowe sklepu oświetlone były neonami, a nad wejściem jaśniało imię i nazwisko byłego ekspedienta.

W ciągu kilku dni stary sklep Jaśkiewicza zbrzydł w oczach mieszkańców dzielnicy, jak zakopcona lampa naftowa przy kryształowym żyrandolu, a sam pan Jaśkiewicz tyle w opinii stracił, ile jego szczęśliwy i pomysłowy konkurent zyskał. Czterech ekspedientów, a wśród nich najmłodszy z personelu, Tomek Duda, nie mogło w godzinach największego ruchu nadążyć z obsłużeniem klientów. Zatem Bajorek doangażował jeszcze dwóch pracowników, a jednym z nich był zięć drobnego i przezornego sklepikarza z sąsiedniej ulicy. Hej, bracie! Nie takie szły czasy, żebyś się mógł niewolnikiem wykpić od stryczka. Silniejszy od ciebie przyjmie twego niewolnika, lecz potem i na twojej szyi zaciśnie sznurek. Tak, bracie!

Wczesną wiosną roku następnego pan Jaśkiewicz zdobył się na krok dość przy swoim niezdecydowaniu stanowczy, bo oto pewnego wieczoru wyskoczył z trzeciego piętra na podwórze. „Najlepsze, bracie, co mógł zrobić — powiedział po tym wypadku Bajorek do wiernego Tomka Dudy. — Tylko po co właził aż na trzecie piętro?" „To z nadmiaru solidności" — odparł dowcipnie młody ekspedient chcąc się przypodobać pryncypałowi.

Starszego pana pochowano, o pozostały po nim spadek trochę się ze sobą posprzeczali hrabina-tancerka oraz profesor sanskrytu, i życie dalej się potoczyło jednym niosąc głód i nędzę, innym tłuste pieniądze i władzę, walkę ludziom, którzy z uciskiem walczyć chcieli, i jarzmo tym, którzy jak posłuszne woły w jarzmie chodzili. Bajorek nie należał ani do jednych, ani do drugich.

Z początkiem roku dwudziestego ósmego otworzył wielki interes gastronomiczny w centrum miasta, a wkrótce potem bar automat na Nowym Świecie. Tymczasem od Zachodu nadciągał groźny kryzys, morowe powietrze kapitalizmu. Za jego pierwszym podmuchem czarny strach padł na posiadaczy, którzy nie mieli dość pieniędzy, aby się nimi jak kadzidłem opędzić przed zarazą. Pustoszały więc fabryki i warsztaty, zamierały ledwie zaczęte a nawet bliskie ukończenia budowy, kredyty wysychać poczęły jak studnie porażone upałem, spłoszeni posiadacze pośpiesznie ściągali rozproszone kapitały, chcąc pod ich ochroną przeczekać najgorszy czas. Lecz następne podmuchy wtargnęły głębiej. Pod ich naporem trzeszczeć poczęły wiązania podtrzymujące sklepienia pomniejszych banków, spółek i handlowych domów. Brak gotówki paraliżował oddechowe drogi rozlicznych przedsiębiorstw. Dusiły się i nagłą śmiercią konały wielkie magazyny i drobne sklepiki, niepotrzebny luksus straszył, młotek licytatora obwieszczał zgon mieszczańskim salonom i domom publicznym, kawiarnie i restauracje jesz-

ze wczoraj różowe od wesela zabijano deskami. Wzrastało bezrobocie. Mnożyły się redukcje. Twarda nędza coraz dotkliwiej i powszechniej nębiła ludzi pracy, którzy nie przynosili już posiadaczom zysków. Przeciwnie, byli dla nich ciężarem. Byli niepotrzebni. Lecz ich poniżenie i cierpienia jeszcze nie dojrzały do gniewu i buntu. Również nie do wszystkich kapitalistycznych banków dotarła zaraza. W tych, u których progu zatrzymała się bezsilna, pracowano dniem i nocą nad zabezpieczeniem majątków opuszczonych przez nieboszczyków i zasłabłych. I tak wśród zmiennych losów mijał roczek po roczku, minął wreszcie kryzys i pieniądz znów począł się rozpylać w powietrzu i popłynął wychniętymi szlakami.

Syn dozorcy pałacu biskupiego w Kielcach nie poniósł w tych ryzykownych latach żadnych strat. Przeciwnie: z operacji, które wielu ludziom nie wyszły na zdrowie, on wyszedł na podobieństwo potężnych koncernów odświeżony i z nowym zasobem sił. Nie na darmo zawsze twierdził, że „nie ma takiej sytuacji, której człowiek z głową na karku, nie mógłby, bracie, wziąć za mordę". Tak więc, gdy czarne czasy jak zły sen minęły, i znów złote słońce zaświeciło posiadaczom — dawny ekspedient, a więc ten sam człowiek, który przed laty niewielu przyjął pierwszy chrzest bojowy z rąk czarnogiełdziarzy, swe zdolności rozwijał za kontuarem sklepu ś. p. Jaśkiewicza i wśród płynnych milionów i miliardów z czasów inflacji, teraz jako pan dyrektor Bajorek okazał się osobistością z uznaniem odnotowywaną na giełdzie, a nawet w kołach zwróconych twarzami w stronę Lewiatana, jak słoneczniki ku słońcu. Był rzeczywiście kimś. Prócz sklepów gastronomicznych i barów rozlokowanych w najruchliwszych punktach miasta, stał się właścicielem dużej fabryki konserw, a dzięki pomyślnemu skupywaniu akcji w okresie najsilniejszego natężenia kryzysu wszedł z decydującym głosem do kilku spółek związanych z handlem zagranicznym. I tak na przykład w gdyńskiej łuszczarni ryżu czuł się jak u siebie w domu. Gdzież się zresztą czuł inaczej? Dla bogatego — cały świat domem. Swoim konserwom torował drogę poprzez nieliczne, lecz grafnie ustrzelone stosunki w kołach wojskowych. Miał swoje własne wojnością wydeptane ścieżki w ministerialnych labiryntach. Nie znajdował się również na szarym końcu listy tych przemysłowców, kupców i finansistów, którzy, dobrze rozumiejąc interes partii posiadaczy, zasilali znacznymi subwencjami tak zwany bezpartyjny blok współpracy z rządem, to zakalcowate ciasto ugniecione w faszystowskiej dzieży z patriotycznych i wielkomocarstwowych frazesów, a przeznaczone do zalepiania ludziom oczu, uszu i ust.

Rzecz jasna, że w ciągu tych lat ostatnich dyrektor Bajorek znacznie się musiał zmienić i inny niż dawniej prowadził tryb życia. Nie musiał na przykład chodzić piechotą lub tłoczyć się w tramwaju. Jeździł takim samym zielonym Packardem, jaki zwykł się był zatrzymywać przed nocnymi lokalami, gdy bawił się w nich dawny ubogi student entuzjasta, obecnie pułkownik Dąb-Dorecki. Nie mieszkał również w kawalerce na Poznańskiej. Zajmował własną willę na Saskiej Kępie, w bliskim sąsiedztwie ulubienicy Warszawy, Zuli Koreckiej, rozwiedzionej od dość dawna z hrabią i po raz drugi zamężnej za prezesem Banku Ziemiańskiego.

Przekroczywszy trzydziestkę dyrektor Bajorek przytył i w sposobie bycia i w ruchach miał pieniądze. Bujna niegdyś blond czupryna przylegała mu teraz płasko do głowy, a oczy, które powłóczystymi spojrzeniami zwracały się ku mieszkankom Powiśla, utraciły miękką marzycielskość. Przestał również wtrącać co drugie słowo swoje ulubione: bracie, i nie wypowiadał jak za dawnych czasów wolnomyślnych poglądów. Nie posunął się wprawdzie tak daleko, aby mówić pacierz i chodzić do kościoła, lecz lubił, gdy to czynili inni. Cóż, bracie? Inaczej człowiek myśli, gdy ma kieszenie wiatrem podszyte, a inaczej, gdy mu prościutkie kolumny cyfr wyprostowują kręgosłup.

Jakkolwiek kręgosłupa Tomka Dudy nie wspierały wielozerowe cyfry, jednak i on również się zmienił. I jeszcze jak się zmienił! Gdy minął kryzys, Duda skończył akurat lat dwadzieścia jeden. Był zdrowym i barczystym młodzieńcem średniego wzrostu, o twarzy krzepkiego parobczaka, otwartej i budzącej zaufanie, a której rysy z pewnością przypominałyby ciotce Walerii, gdyby żyła, młodą siostrę z owych odległych czasów, gdy w poszukiwaniu zarobku i szczęścia przybyła z głębokiej wsi podlaskiej na trudny warszawski bruk. Lecz ta sama pochmurna i ospowata ciotka Waleria, której biedaczce tak się nie poszczęściło w bliższych stosunkach z władzą, z pewnością w swoim siostrzeńcu, dziś najlepszym ekspediencie sklepów dyrektora Bajorka, nie poznałaby dawnego dziecka ze staromiejskiej suteryny. W ekspediencie? Czy nie zaszła tu przypadkiem pomyłka? Niestety, nie.

Wprawdzie siedem lat minęło od chwili, kiedy niewierny praktykant pana Jaśkiewicza stanął po raz pierwszy za kontuarem nowoczesnego sklepu z neonami — jednak Tomasz Duda nadal pozostał ekspedientem, wykwalifikowanym i cenionym przez pryncypała — to prawda, niemniej tylko skromnym ekspedientem. Wszystkie łuszczarnie ryżu i ścieżki w ministerialnych labiryntach, zielone Packardy i składki na faszystowski zakalec nie mogły naszego Tomka Dudy podnieść w hierar-

chii społecznej bodaj o milimetr wyżej, niż to leżało w zamierzeniach jego pryncypała. Ten zaś oceniał swoich ludzi według własnych korzyści. W zamierzchłych latach dewaluacji mógł się pan Leon zwierzać chłopcu na posyłki ze swego nowoczesnego pojmowania interesów. Ale to było doprawdy bardzo dawno. Na pierwszym szczeblu drabiny można przecież porozmawiać ze stojącym na ziemi, lecz jakże z nim gadać poufale, gdy się już wdrapało pod wierzchołek i widzi się stamtąd rzeczy, których tamten nawet domyślić się nie potrafi?

Poprzez lata, które po tamtych czasach nastąpiły, Bajorek przemknął siedmiomilowymi krokami kota z bajki. Syn Loni Dudzianki ani mógł, ani umiał za nim nadążyć. Gdzież mu było do kocich butów? Był najprzeciętniejszym młodzieńcem w świecie, z wyobrażeniami o tymże świecie nie większymi od dziecięcej piąstki, jakkolwiek tą swoją ubogą piąstką umiał się posługiwać solidnie i można powiedzieć: schludnie. Nie interesował się polityką, to prawda; lubił za to chodzić do cyrku. Nie wiedział, co to jest faszyzm, lecz znał wszystkie filmy z Gretą Garbo. Pogardzał proletariatem i Żydami, lecz nie za bardzo. Bo co miał robić ostatecznie? Człowiek, gdy nim bogatsi pogardzają, musi albo zbuntować się, albo sam z kolei pogardzać biedniejszymi od siebie. Bez pogardy w świecie rządzonym przez pieniądz, jak bez zębów: świata nie zasmakujesz, siebie nie pożywisz. Poza tym był Duda młodzieńcem pracowitym zgodnie z pierwszym przykazaniem ś. p. pana Jaśkiewicza. Również i oszczędny był. Ubierał się przyzwoicie, lecz bez lekkomyślnego uszczuplania budżetu. Nie pił. Palił nie więcej niż dziesięć papierosów dziennie. Mieszkał w pokoju sublokatorskim na Widok o tyle wygodnym, iż dzięki kontaktom z córką gospodyni, panną Haneczką, młodą dziewczyną również zatrudnioną w jednym ze sklepów dyrektora Bajorka, miał uregulowaną i tak zwaną intymną dziedzinę życia.

Zmian zatem, jak widzicie, zaszło w życiu Tomka Dudy dość wiele, chociaż nie były to zmiany na miarę większą. A jeśli mu pozostało cokolwiek z lat spędzonych na bosaka wśród uliczek Starego Miasta, to jedynie chyba podziw dla silnych i śmiałych, czyli mówiąc językiem konkretniejszym: dla bogatych i sprawujących władzę. Ten podziw pozostał w nim nienadwątlony i zawsze żywy. A czy miał Duda jakieś pragnienia i czy roiły mu się marzenia biegnące ku celowi siedmiomilowymi krokami? Tak trudno powiedzieć coś pewnego o ludzkich marzeniach. Że Duda miał dobry sen i apetyt, że do swych opornych włosów używał brylantyny, że chichotał przy łaskotkach, a skarpetki przesypywał proszkiem przeciw poceniu się nóg — to owszem, o tym

można mówić z całym przeświadczeniem, że się nie popełni nieścisłości lub co gorsze nie popadnie się w psychologizm. Ale marzenia?

Czasem, gdy zielony Packard całkiem jak na filmie amerykańskim zatrzymywał się przed sklepem i z wnętrza limuzyny wychodził swoim zamożnym, nieco przyciężkim krokiem sam dyrektor, lub kiedy indziej, kiedy na przykład Czerwoniak przyniósł na pierwszej stronicy zdjęcie tegoż samego dyrektora przy poufnej rozmowie z ministrem podczas przyjęcia wydanego z okazji przyjazdu jakiegoś zagranicznego przemysłowca — w takich chwilach, na podobieństwo uporczywej osy zabzykało, być może, przy naszym przyjacielu stare, bracie, powiedzenie silnego człowieka: u bogatego i zez prosty. Bądźmy jednak ludźmi. Jakiż zezowaty nie chciałby sobie pospacerować z prostym zezem? Albo pojeździć Packardem i pokazać ludziom prostego zeza? Lecz że ubodzy zezowaci unikają zazwyczaj lustra — więc i Tomek Duda nie zastanawiał się zbyt natarczywie nad swoimi wyobrażeniami o świecie, które były rozmiarów dziecięcej piąstki. A najpewniej nawet o niej nie wiedział. Lecz czy on jeden?

Taki więc był nasz Tomek Duda w latach trzydziestych którychś, gdy stał się pełnoletni i mógł brać udział w głosowaniu do sejmu.

Spytacie wobec tego: lecz gdzież tu zadufek całkowity czyli głupiec bezwzględny? Przecież nasz Duda nie jest zadufkiem i do tego całkowitym. Słusznie, nie jest. Gdzież więc zadufek?

Spokojnie, kochani! Trochę cierpliwości. Nie zapominajcie, że zadufkiem całkowitym człowiek staje się pomalusku i nim popadnie w głupotę bezwzględną musi się wpierw dobrze napracować, wiele silnej woli i uporu musi wykazać, bowiem do głupoty jak i do mądrości trzeba dojrzeć. Choćbyś sobie, człowieku, głowę gwoździami nabił i do pięt skrzydła przypiął — a i tak zadufkiem całkowitym czyli głupcem bezwzględnym nie staniesz się ani w rok, ani w pięć, ani nawet w lat dziesięć. Trudno, to droga długa i niełatwa, kochani. Posłuchajcie zatem cierpliwie dalej, a dowiecie się, kiedy, dlaczego i w jakich okolicznościach nasz Tomek Duda dojrzał wreszcie do głupoty bezwzględnej czyli mówiąc po naszemu — stał się zadufkiem całkowitym, ujrzał dzięki temu swemu zadufaniu świat prosty jak drut i ten swój drut ślepo uszanował i ukochał, jakkolwiek tymże drutem, który jak zwykle drut — miał dwa końce, bity był w zadufaną głowę i zadufany tyłek. Bo głupota bezwzględna, jak się, kochani moi, przekonacie, na tym właśnie polega, iż człowiek, który się wśród trudnych doświadczeń na zadufka całkowitego wykierował, ślepo odtąd poczyna działać na własną zgubę, dufając w swym głupim zadufaniu, że kożuch, który mu służył wśród

podbiegunowych mrozów, służyć mu również będzie z tym samym pożytkiem i w upały tropików.

Siedzi więc nasz zadufek całkowity pod palmą na równiku, okutany podbiegunowym kożuchem, poci się i słabnie, klnie świat i ludzi, nienawiść w nim fermentuje, lecz ze śmierdzącym kożuchem rozstać się nie może, z karku ani na chwilę ściągnąć go nie chce, bowiem czeka i czeka, że może pojutrze, za tydzień, za miesiąc, za rok wiatr lodowy powieje, zamieć zawiruje, surowe mrozy chwycą i jemu w kożuchu znów będzie bezpiecznie i przyjemnie ciepło. Hej, bracie zadufku, głupcze bezwzględny! Nie powieją nad równikiem lodowe wiatry, nie sypnie w tropikach zamieć, groźne mrozy nie chwycą pod gorącym niebem. Będą — rzecz jasna — chmury jak ukropem bluzgać skwarną ulewą, burze będą ciskać upalne błyskawice, lecz przed nawałnicami upałów nie zabezpieczy cię twój kożuch. Zgubi cię twój kożuch. Ulewy i burze osłabią cię, pogoda — gdy się ustali — ostatecznie dobije. Poderwij się więc, głupcze, zrzuć śmierdzący kożuch! A ty nic, siedzisz jak zaczarowana dynia, w skisłych myślach dłubiesz, złość cię jak wysypka swędzi i czekasz, czekasz, że może jutro, a może pojutrze przypłyną polarne lodowce. Ech, bracie zadufku, nie przypłyną pod równik lodowe góry, nie przypłyną... Dla twego kożucha słońce swego biegu nie zatrzyma. Po to, aby tobie i tobie podobnym stary kożuch służył, ziemia nie wyskoczy ze swej orbity. Świat, mój bracie głupcze, jest trudny, lecz świat idzie naprzód i dla twego kożucha czas się nie zatrzyma, ani cofnie. Zrozum więc, głupcze, zrozum do diabła, że jesteś głupcem! Zobaczysz, przestaniesz nim być.

Lecz, uwaga! Uprzedzając kolejność wydarzeń wybiegliśmy zbyt daleko w przyszłość. To niedobry zwyczaj, bo jak wiadomo już na pytanie królika z „Alicji w Krainie Czarów" od czego zacząć opowieść? — mądry król słusznie odparł: zacznij, mój króliku od początku, opowiadaj po kolei i kiedy dobiegniesz do końca, zatrzymaj się. Lecz gdyśmy się tak niecierpliwie rozpędzili, oto i czas, którego nurtem płynie nasza powiastka, także podskoczył nieco naprzód. Cóż dziwnego? Świat w tym okresie począł pulsować coraz pośpieszniej i gorączkowiej, a ludzie żyć coraz prędzej.

I tak na przykład pułkownik Dąb-Dorecki, gdy został ministrem, zaprzestał w nocnych lokalach chwytać ludzi za nosy. Za to zgodnie z przyśpieszonym duchem czasu i również z nadmiaru energii osobistej chwytał całych ludzi i osadzał ich w obozach i więzieniach, a swoją szlachecką niechęć do Żydów rozładowywał w potajemnych, lecz bynajmniej nie ukrywanych rozmowach z młodymi ludźmi, którzy pozdrawiali

się podniesieniem ręki. Mimo tych rozlicznych zajęć państwowych zawsze udawało mu się wyrwać parę wolnych chwil na sprawy osobiste związane z osobą ulubienicy Warszawy, Zulą Korecką, wskutek przyśpieszonego tempa życia już rozwiedzioną z mężem prezesem. Znalazł również czas na krótki pobyt w podwarszawskim majątku prezesa Bajorka, gdzie wspólnie z kilkoma innymi osobistościami większego formatu omówiono przy kolacji w sposób wyczerpujący sprawę słabych żołądków żołnierzy pułku piechoty, którzy niedorzecznie zachorowali i umarli po zjedzeniu mięsa z konserw.

W tym samym okresie przyśpieszonego tempa życia mąż nieboszczki ciotki Walerii dzięki swym wysokim kwalifikacjom i zasługom został powołany na odpowiedzialne stanowisko na kresach wschodnich. Nie poszczęściło się biednej ciotce Walerii, ominął ją tytuł starościny. Lecz trudno, nie każdemu pisane było zaznać łaskawości fortuny. Jednym jałowe kości los pod nogi rzucał, innym złoto słał pod stopy. A im kto więcej umiał wziąć dla siebie, tym obficiej był od losu obdzielany. Im zaś mniej człowiek posiadał, tym i skąpiej otrzymywał. Tak więc na przykład rodziny owych kilkunastu żołnierzy, którzy po zjedzeniu mięsa konserwowego niedorzecznie pomarli, otrzymały tylko papierki z urzędowym zawiadomieniem o śmierci swych synów, mężów i braci. Natomiast młody prokurator, który rozsądnie pokierował śledztwem w sprawie słabych żołnierskich żołądków, otrzymał awans. Za to całkiem proporcjonalnie w stosunku do ludzkiego posiadania rozdzielał los pomiędzy ludźmi utrapienia. Im bowiem ktoś był biedniejszy, tym częściej bywał bijany i więcej ciężarów i trosk musiał na grzbiecie dźwigać. A komu szczęśliwie przybywało dostatków, temu i utrapień los oszczędzał. A już najzacieklej wilczy los tamtych przyśpieszonych czasów dopadał i gniótł tych, którzy przeciw jego podmuchom podnosili bunt.

Mimo ważności tych wszystkich i wielu innych spraw trzeba stwierdzić, że na ich temat — mimo przyśpieszonego tempa życia i coraz to dojrzalszych lat własnych — bohater nasz niewiele miał do powiedzenia, jak już bowiem wspomnieliśmy, zasięg jego wyobrażeń o świecie nie był większy od dziecięcej piąstki. Tym niemniej na usprawiedliwienie Tomasza Dudy, gdy miał lat dwadzieścia sześć i ciągle nieporównanie lepiej orientował się w filmowych gwiazdach niż w siłach, które rządziły jego życiem, wypada stwierdzić, że miał co jeść, miał się w co ubrać, nie mieszkał pod mostem, mógł sobie pozwolić, gdy mu przyszła ochota, na piwo z kolegami, stać go było wreszcie na kino i niedzielną kawiarnię, co prawda już nie z panną Haneczką, bo ta porzuciła go dla

zwoleżera z ulicy Łazienkowskiej, lecz z inną panienką, kasjerką kina „Stylowy" — nie był więc jednym słowem dość ubogi, aby interesować się losem biedaków, ani dość zamożny, aby podzielać niepokoje bogaych. Krocząc sobie równo i spokojnie pomiędzy nędzą i zamożnością, nie lękał się dla siebie pierwszej i nie pożądał na razie drugiej. Tymczaem nastał rok trzydziesty dziewiąty i po miesiącach coraz szybciej nędzących nad skraj przepaści przyszła kolej na miesiąc wrzesień.

Tomasz Duda podobnie jak wielu innych obywateli w wieku poborowym nie otrzymał na czas karty mobilizacyjnej i gdy w niespełna tydzień po rozpoczęciu działań wojennych rozkazano młodym ludziom porzucić zagrożoną stolicę — usłuchał tego zalecenia i wraz z kilkoma najomymi przyłączył się pewnej nocy jesiennej do tłumów opuszczających miasto.

Ci znajomi, rzecz jasna, wcale się ze sobą nie umawiali, bo na to nie było czasu. Po prostu, gdy rozkazano ruszyć w świat, Duda zaraz po zamknięciu sklepu uczynił to, mając za towarzysza jednego ze swoich kolegów, też ekspedienta od Bajorka, Franka Czarnieckiego. Ale już na Nowym Świecie dołączył się do nich znajomy szatniarz z barutomatu, Arkady Pająk, potem przyplątał się trzynastoletni Jasio Piętka, piccolak z restauracji należącej do Bajorka, wreszcie już całą czwórką natknęli się przy kolejce otwockiej na pana Zajączkowskiego, pomocnika buchaltera zatrudnionego w głównej dyrekcji przedsiębiorstw prezesa. Ponieważ Zajączkowski doświadczył w ostatnich dniach kilku przykrych bombardowań, a znał z widzenia szatniarza, mimo społecznych różnic dzielących go od pozostałej czwórki sam zaproponował swoje towarzystwo. Ruszyli więc przez Pragę w piątkę, a już pod Wawrem przyłączył się do nich jeszcze jeden człowiek, znajomy tym razem piccolaka, niejaki Wiktor Kłos, z zawodu jak się okazało ślusarz. W tym samym Wawrze, wśród wielu limuzyn pomykających w ciemnościach w kierunku na Lublin wyminął ich zielony Packard i wkrótce wyprzedził ich o wiele, wiele kilometrów. Nasza natomiast kompania dalej powędrowała piechotą, zdążając jednak od pierwszego bombardowania na zatłoczonej wojskiem i uciekinierami szosie już nie głównym traktem, lecz drogami bocznymi. Ech, bracie, nastały czasy!

Pora była piękna, niebo dzień w dzień gładkie jak grzeczność i kiedy się tak w większej kompanii szło przed siebie równiną podlaską wdychało się w miejskie zakurzone płuca zapachy łąk i lasów, sypiało w stodołach i po stogach siana, a rankiem zimną wodę ze studni na łeb lało, to aż uwierzyć było chwilami trudno, że świat stanął raptem do góry nogami. A jeśli nawet potwierdzały tę zadziwiającą prawdę łuny

rozświetlające nocne horyzonty, spalone wsie, stękania ziemi gniecionej ogniem i żelazem, obdarci żołnierze poszukujący swych rozbitych lub zgoła nieuformowanych oddziałów, a nade wszystko ludzie, ludzie i jeszcze raz ludzie, którzy jak szarańcza wylegli na szosy i drogi i aż po najbardziej zapadłe wsie i osiedla zanosili swe tłumoki i niepokój jeśli się więc nawet widziało to wszystko, a trudno było nie widzieć i jeszcze się do tego miało głowę jak wiadro blekotu pełną plotek domysłów i nadziei, to i tak trudno było przypuścić, iż świat, jeśli już rzeczywiście stanął na głowie, nie powróci wkrótce do swej dawnej pozycji. A jednak świat do starej pozycji nigdy już na stałe powrócić nie miał, ponieważ zawsze wraca kłamstwo, czasem kot do domu, niekiedy zguba do właściciela, lecz życie nigdy nie powraca do kształtu który na huk wystrzału rozpadł się jak zmurszałe i tylko starym próchnem świecące drzewo.

Okrągły miesiąc trwała wędrówka Dudy i jego towarzyszy, bowiem równo w miesiąc po opuszczeniu rodzinnego miasta wrócił Duda do Warszawy. Kiedy się z nią rozstawał, ruszając z małą walizeczką na niewiadomy los, miał przy sobie niewiele więcej ponad sto złotych. Gdy natomiast z początkiem października stanął z tą samą walizeczką nad skrajem ogromnego leja po bombie, jaki u samych granic miasta witał na ulicy Grochowskiej powracających, podobnych setek mia w portfelu około pięćdziesięciu. Cóż, duża gotówka, bracie, w owych czasach! Co najmniej półtora roku musiałby na nią Duda za kontuarem pracować, żyjąc — rzecz jasna — tylko powietrzem i wiślaną wodą. A teraz oto los, straciwszy jak i jego dotychczasowi właściciele głowę zatracił ustalony porządek w rozdzielaniu swych ciosów i darów i począł działać bez sensu, łamiąc na przykład oś w karecie, którą pewna hrabina wyjeżdżała ze swego majątku na kresach, a bezrobotnemu warszawskiemu robociarzowi dając dowództwo na barykadach Woli. Tak więc i naszemu Dudzie, wzorowi przeciętności, los w tych przewróconych do góry nogami dniach niespodziewanie pofolgował. A może po prostu nastały czasy przychylne Dudzie? Może twarde dotąd rygory zazdrośnie strzegące korzyści dla uprzewilejowanych tak się w ciągu owego miesiąca wojny rozluzowały, iż nawet dziecięca piąstka Dudy mogła sięgnąć po swoją zdobycz? Jak było, osądźcie, moi drodzy, sami.

Zaczęło się od drobiazgu. Pewnego dnia przechodząc wraz z towarzyszami przez spalone miasteczko, dostrzegł Duda w całkiem nowy sposób to, co i on sam, i inni ludzie już od dawna zauważyli: wszędzie mianowicie, na drogach dawał się odczuwać dotkliwy brak papierosów. I tak buchalter Zajączkowski już od połowy września zbierał pożół

łymi od nikotyny palcami niedopałki i ćmił je żarłocznie przez ulubiony cybuszek, aż stało się nieszczęście, bo oto w czasie jednego noclegu fajeczka zadziała się w stogu siana. Od tej nieszczęsnej nocy Zajączkowski, mężczyzna spokojny i zrównoważony, zbiesił się i odmienił jak dekoracja pokazana od tyłu. Znów dokuczliwa, bo nieustanna pożądliwość słodyczy zżerała pozbawiony nikotyny organizm szatniarza Pająka. Ekspedient Czarniecki nie palił, natomiast młodego ślusarza, choć był namiętnym palaczem, w ogóle te sprawy nic nie obchodziły, ciągle bowiem tylko majaczył, że musi się za wszelką cenę dostać do wojska, stale też przynaglał swoich towarzyszy do szybszego tempa, aż wreszcie doszło na tym tle pomiędzy nim a buchalterem do nieporozumienia i Wiktor Kłos wraz z piccolakiem Piętką, również palącym się do karabinu, odłączyli się pewnego dnia od całego towarzystwa i poszli swoją drogą. Od tej historii humor buchaltera jeszcze się pogorszył, a Pająkowi bez przerwy majaczyły się ciastka z kremem i nadziewane czekoladki. Duda natomiast posiadał naturę dostatecznie zdrową i wstrzemięźliwą, aby nad brakiem nikotyny przejść do porządku dziennego. Nadarzyły się papierosy — chętnie się zaciągnął. Brakło ich, potrafił się obejść. Przyczyną zaś, że brak papierosów ukazał się Dudzie w całkiem nowy sposób, był, jak wspomnieliśmy, drobiazg.

Gdy czterej towarzysze rozeszli się po spalonym miasteczku w poszukiwaniu żywności, Duda dowiedziawszy się od cyklisty w smokingu, że na oddalonej ulicy znajduje się piekarnia i sprzedają w niej chleb, podążył we wskazanym kierunku. Przybył jednak za późno. Pieczywa już nie było i zawiedziony tłum wybijał właśnie szyby w piekarni. Duda szybko wycofał się ze zbiegowiska, nie lubił bowiem niepraworządności. A wracając ku rynkowi pustą uliczką wśród tlących się jeszcze gdzie niegdzie zgliszcz, ujrzał naraz siedzącą na gruzach i popłakującą siwą, pomarszczoną kobiecinę, a tuż przy niej przycupniętą na ziemi malutką dziewczynkę w czerwonym czepeczku.

Duda nie miał serca nieczułego, przystanął więc i aż mu dech zaparło ze zdziwienia, że dziecko może mieć pyszczek tak spiczasty, a rączki i nóżki jak cztery suche patyczki.

Spytał więc:

— Co się wam stało, babciu? Czego płaczecie?

Staruszka podniosła wyblakłe oczy. Stojący przed nią młody człowiek budził zaufanie swoją krzepką postacią i szczerą, otwartą twarzą. Jakżeż miała nie płakać? Poczęła się zwierzać. Została oto na świecie sama jedna z tym małym dzieckiem, wnuczką, chudziątkiem nieszczęśliwym, i co ma robić, kiedy idzie jej już osiemdziesiąty rok i słaba jest

w nogach, a została sama jedna jak ten palec, jak ten krzyż na drodze, czy kochany pan to rozumie? Oczywiście rozumiał. Dalej więc opowiadała, jak jeszcze trzy dni temu miała i dom, i córkę, i zięcia, i starość spokojną zapewnioną, a dzisiaj i domu nie ma, wszystko spalone, zniszczone, i córka nie żyje, i zięć także gorzką ziemię gryzie, idź więc tylko, człowieku, gdzie cię oczy poniosą, więc i przyszła tu właśnie do tego miasteczka, bo tu jej druga córka za ogrodnikiem zamężna mieszkała; ale że nieszczęście nigdy nie chodzi samo, więc i po niej, i po nim żadnego śladu nie znalazła, ludzie nawet nie wiedzą, czy zginęli oboje, czy powędrowali gdzie w świat, taka to dola, wszystko poszło z dymem, i bliscy, i dobytek cały, ona tylko jedna z tą torbą żebraczą została i to dzieciątko, kruszyna niewinna, co teraz jej w tułaczce towarzyszy, lecz gdy i jej starej nie stanie, to co ze sobą takie chudziątko zrobi, gdzie się podzieje, gdzie główkę na noc złoży? O bodaj nigdy spokoju, ani snu lekkiego nie zaznali ludzie, którzy tę straszną wojnę na łzy i wielki ból biednych ludzi podpalili!

Duda słuchał opowiadania staruszki ze szczerym zmartwieniem.

— A co wasz zięć robił? — zapytał, żeby coś powiedzieć.

Okazało się że był inwalidą jeszcze z poprzedniej wojny i dzięki koncesji tytoniowej miał sklepik z papierosami, nie duży, lecz wystarczający na życie, ale jak nadleciały samoloty i bomby na stację poczęły padać, to zięć powiedział: niech mama zaraz idzie z Celinką do piwnicy, to oczywiście poszła, ale nawet dojść nie zdążyła, kiedy bomby jak grad zaczęły lecieć z jasnego nieba.

— To powiadam, kochany panie — mówiła monotonnie — Celinkę tylko przycisnęłam do siebie, oczy zamknęłam i do imienia Jezusa westchnęłam, a tu dokoła cały świat zakołysał się i zaczął walić. A kiedy oczy otwarłam i patrzę przed siebie, to widzę, że z naszego domu garstka tylko gruzu została...

— Tak — bąknął Duda — towar też poszedł z dymem.

Poszedł, rzecz jasna, że poszedł. Co prawda w piwnicy zostało sporo jeszcze papierosów, lecz gdzież miała głowę o nich myśleć? A jak nie pomyślała zaraz, to i źli ludzie wszystko porozkradali. Oj ludzie, co to za ludzie! Tylko jednego sąsiada, szewca, sumienie widać ruszyło, bo kiedy szła w świat, to przyniósł jej na drogę trochę papierosów, które jak opowiadał od stracenia uratował.

Serce w Dudzie stuknęło żywo, jak srebrna moneta.

— Sprzedaliście już pewnie te papierosy? — zapytał głosem nieco zmąconym.

Okazało się, nie tylko papierosów nie sprzedała, lecz nawet o ich obecnej wartości nie miała pojęcia. Duda przystąpił z nogi na nogę.

— A dużo tego macie? — spytał.

Dokładnie nie wiedziała, a na oko musiało być tego dobytku z pięćdziesiąt pudełek. Gruczoły naszego przyjaciela wydzielające ślinę przestały nagle pracować. Za to jego maluśkie jak piąstka wyobrażenia o świecie drgnęły i ciut, ciut się rozszerzyły.

— Sam wprawdzie nie palę — powiedział z namysłem — ale chętnie bym wam pomógł, babciu, i kupił od was te papierosy. Pieniądze się wam przydadzą, nie?

Też pytanie! Jakżeż się mogą pieniądze nie przydać, jeśli się grosza przy duszy nie ma? Potwierdzając więc prawdę, że miłosierny uczynek zawsze spotyka nagroda, starowinka zapłakała ze wzruszenia i wśród łez błogosławić poczęła swego dobroczyńcę. Ten zaś również wzruszony pomógł jej wydobyć papierosy z torby. Papierosy okazały się różnych gatunków, były tam Mewy i Płaskie, Ergo i Śląskie Rarytasy, razem dokładnie czterdzieści siedem pudełek.

Wkrótce potem Duda lżejszy o złotych dwadzieścia, a bogatszy o pierwszą w życiu samodzielną transakcję, podążył w kierunku rynku żegnany błogosławieństwami uszczęśliwionej staruszki. Na rynku pokręcił się trochę wśród tłumu takich samych jak i on rajzerów, tu popatrzył, tam zajrzał, porozmawiał z tym i owym, i w rezultacie tych drobnych posunięć umiejszył swój bagaż o pudełek dziesięć, a kapitał powiększył o złotych sto. Ponieważ towarzysze jego nadal nie wracali, jeszcze raz obszedł rynek, potem w towarzystwie młodego człowieka w długich butach skręcił w boczną uliczkę i gdy wkrótce potem wrócił na umówione z przyjaciółmi miejsce znów był lżejszy o paczek dziesięć, a bogatszy tym razem o złotych sto pięćdziesiąt. Był jednak dobrym kolegą i w kwadrans później, kiedy zebrała się cała czwórka, zarówno buchalter Zajączkowski jak i szatniarz Pająk zaciągali się żarłocznie Mewami dziękując Dudzie, że o nich pamiętał i wynalazł papierosy drogie wprawdzie, bo po paskarskiej cenie dwudziestu złotych za paczkę, lecz przecież papierosy.

Od tej chwili naszym dwóm znajomym nigdy już palenia nie brakowało. Duda regularnie zaopatrywał ich w różne gatunki o cenach zmiennych wprawdzie, lecz trzeba stwierdzić, że coraz niższych w miarę jak pieniądze obu palaczy topniały. Ponieważ jednak nie byli jedynymi odbiorcami, młody człowiek pomyślnie korzystał ze swoich poszerzających się wyobrażeń o świecie i przy pomocy papierosów, a wkrótce

potem i zapałek, których brak również dawał się we znaki, otwierał przed sobą nowe i do tej pory nawet nieprzeczuwane horyzonty.

Możecie zapytać, czemu na coraz to świeże źródła papierosów natrafiał właśnie Duda, a nie na przykład tak bardzo ich potrzebujący buchalter Zajączkowski lub trapiony pożądaniem słodyczy szatniarz Pająk? Ba! Prosta na to odpowiedź. Taka już bowiem jest natura ludzka, że gdy człowiek musi wydawać pieniądze dla zaspokojenia własnych namiętności — słabnie i rozeznanie traci; ten natomiast, któremu przyświeca nadzieja zarobku — wzmacnia się jak ugór podlany gnojówką. Z tych więc względów nie szatniarz Pająk i buchalter Zajączkowski, ani ekspedient Czarniecki, lecz jedyny z naszej czwórki Duda w pewien pochmurny dzień październikowy śmiało stanął u granic Warszawy, nad skrajem leja po bombie, po środku ulicy Grochowskiej. I on również jedyny z kompanii śmiało ruszył naprzód.

Lecz teraz baczność, przyjaciele! Zdaje się, że jeśli dalej zechcemy dotrzymać ambitnie kroku synowi Loni Dudzianki, czeka nas duży, bardzo duży wysiłek, niełatwo bowiem biec, gdy świat się kołysze, ziemia żarzy pod stopami i bezpieczność jest tak niepewna jak krucha kładka ponad przepaścią. A jednak choć świat się kołysał, ziemia paliła i bezpieczność stawała coraz bardziej zawodna, nasz bohater wciąż i wciąż przyśpieszał kroku. Już daleko odbiegł od sklepu, za którego kontuarem spędził był spory szmat życia. Gdyby przynajmniej biegł równo, być może nadążylibyśmy za nim. Lecz jak sobie z takim poradzić?

Oto śmiały swój krok niespodziewanie wydłuża i raptem pędem się przed siebie puszcza, mknie coraz szybciej i szybciej, pędzi i pędzi, a nam tchu brak, serce uszami chce wyskoczyć, aż tu nagle, gdyśmy już, już mieli naszego biegacza dopaść — on skręca w bok i kiedy my mniej od niego zręczni zawracamy dopiero po chwili, jego już nie ma, czmychnął, zniknął, prysnął, rozwiał się, jakby czapkę niewidkę wsadził na głowę.

Przychwycili go może ludzie z trupimi główkami na czarnych mundurach, łapiący przechodniów po ulicach jak hycel psy? Odstawią go na Pawiak, a za dni kilka powiozą transportem do obozu i tam ostrzygą, w pasiak ubiorą i tak przemienionego będą pejczem, kułakiem i głodem w stronę śmierci popychać? O, Tomku Duda, na tośmy ci przez tyle lat wiernie od dziecka towarzyszyli, na tośmy dróżki i ścieżynki ku zadufaniu całkowitemu wiodące śledzili, abyś teraz, gdy śmiało przybliżasz się do mety, wyszedł dymkiem z krematoryjnego pieca jak tylu ludzi nierozsądnie się porywających na silniejszych wrogów? Zawsze

przecież byłeś i rozsądny, i rozważny, i nie lubiłeś zadzierać z silniejszymi. Jak mogłeś nas zawieść?

Lecz czy nas oczy mgiełką wzruszenia zasnute nie mylą? A może jak pustynnej zjawie ulegamy własnym pragnieniom? Przycichnij wzruszenie, nie mąćcie prawdy pragnienia! Ależ tak, dobrze nasze oczy widzą! Żyje nasz Duda. Jest nasz Duda, cały i zdrowy, nawet uśmiechnięty. Rzecz jasna, że to on, jego to krzepka postać i jego szczera otwarta twarz. Lecz jakiż zmieniony! Czy poznałaby go w tej chwili nieboszczka ciotka Waleria, albo ś. p. pan Jan Jaśkiewicz? Prawdopodobnie nie, bo i prezes Bajorek, gdy go dawny ekspedient z daleka pozdrowił, oddał wprawdzie machinalnie ukłon, lecz dopiero po dłuższej chwili, gdy tamten znikł już wśród ruchliwej ulicy, lekceważącym wzruszeniem ramion skwitował rozpoznanie swego byłego pracownika.

A tymczasem nasz Duda dalej jedzie rikszą przez Nowy Świat, wygodnie oparty o niską poręcz. Na sobie ma jasny garnitur, którego do tej pory nie widzieliśmy u niego, na nogach nowe solidne buty, których też nie znamy, rękawiczki zamszowe na rękach, a pod pachą masywną, skórzaną teczkę. Nie nam, niestety, nadążyć za szybkobieżną rikszą! Gromadka starych i wynędzniałych Żydów i Żydówek konwojowanych przez paru młodziutkich chłopców w brunatnych mundurkach ze swastyką oddzieliła nas od pana Tomasza Dudy.

Znów więc gubimy z oczu naszego bohatera, lecz już spokojniejsi o jego skórę i prawie pewni, że od owego dnia wrześniowego sprzed roku, kiedy wyobrażenia Tomkowe o świecie drgnęły i cokolwiek się poszerzyły, znana nam dziecięca piąstka musiała nieźle podrosnąć i co najważniejsze będzie rosnąć dalej. Żegnaj więc na razie, przyjacielu Duda! Kiedyś daleko ci było do siedmiomilowych kroków prezesa Bajorka. Teraz nie nam się mierzyć z szybkością twoich kocich butów. Jeszcze widzimy jasny kapelusz na twojej głowie, wiemy, że się śpieszysz, ponieważ w pewnym składzie na Pradze czeka na ciebie pięć worków kawy, a przed godziną policyjną musisz zdążyć do śródmieścia na ulicę Szpitalną, aby nie przeoczyć okazji i za tanie pieniądze kupić od żydowskiego lekarza dwukaratowy brylant. Słusznie się więc niecierpliwisz i słusznie przynaglasz ciężko oddychającego rikszarza, tego samego bezrobotnego metalowca, który dzięki chwilowemu roztargnieniu losu walczył przed rokiem na barykadach Woli na czele robotniczego batalionu. Ale już i twój kapelusz ginie nam z oczu. Już tylko czysty jak kościelne dzwoneczki dźwięk złotych obrączek, krzyżyków i łańcuszków pobrzękujących w twoich wiatrem niegdyś podszytych kieszeniach odprowadza cię zdążającego śmiało w przyszłość. Do najbliższego spot-

kania, przyjacielu! Nawet tracąc cię z oczu, nie zapomnimy o tobie. A tymczasem zwolnijmy kroku, aby zrównać się z prezesem Bajorkiem i bodaj przez chwilę nacieszyć się jego zamożnymi ruchami, gdy wchodzi do wielkiej kawiarni ozdobionej napisem: *Nur für deutsche.*

Była to właśnie jesień roku czterdziestego, a więc owa pamiętna jesień, w czasie której zgodnie z życzeniami ludzi pobożnych miał się ponad działkowymi ogródkami na Żoliborzu pojawić pewnego dnia ojciec święty Pius XII i błogosławiąc kopiących kartofle urzędników tak do nich miał powiedzieć: „kopta, dobrzy ludzie, kopta, byle do wiosny..."

Prezes Bajorek nie spodziewał się, aby sprawdziły się te pokrzepiające słowa i z najbliższą wiosną wkroczyć miały do Warszawy angielskie pułki. Sytuację na lata najbliższe trafnie ocenił już w pamiętnym wrześniu, a ponieważ ocena wypadła korzystnie dla zwyciężających — kazał w pewnym momencie zawrócić zielonego Packarda w kierunku swego podwarszawskiego majątku. Tam nie tylko spokojnie przeczekał krótki okres wojennych działań, lecz zdołał również nawiązać kontakty z takimi ludźmi, którzy pomimo zwycięskich mundurów i odmiennego języka okazali dla korzystnych interesów to samo zrozumienie, co minister Dąb-Dorecki lub młody prokurator od słabych żołądków żołnierskich.

Jeszcze do września wydawało się synowi dozorcy pałacu biskupiego w Kielcach, iż w zakresie poznania mechanizmu życia osiągnął był w latach ostatnich wiedzę rozległą i ostateczną. Teraz się jednak przekonał, że jeszcze nie dosięgnął najwyższych szczebli drabiny i na całej jego działalności ciążyła zaściankowość. Na szczęście prezes Bajorek należał do ludzi, którzy z popełnionych błędów potrafią wyciągać właściwe wnioski. Wyciągnął je więc w czasie poufnych rozmów w swoim podwarszawskim majątku, a uczynił to ku obustronnej korzyści: własnej i swych nowych przyjaciół. Kiepsko z człowiekiem, jeśli potrzebujący pomocy nikomu nie jest potrzebny. Wszelka natomiast pomyślność tym którzy pomagającym są niezbędni. Prezes Bajorek należał — rzecz jasna — do ostatnich i dzięki temu pomnażając radą i doświadczeniem majątek nowych przyjaciół, zachował i pomyślnie pomnażał majątek własny. Tak oto los, który pod wrażeniem pierwszych wojennych wstrząsów uległ był pewnemu zamąceniu, teraz znów odzyskał ustalony od wieków porządek i pomimo czasów najcięższej ludzkiej niedoli bezpiecznie poprzez ucisk, cierpienia, strach i nędzę poprowadził swoich dotychczasowych właścicieli. Państwo, jak się przekonaliśmy, łatwo

czasem niepodległość traci. Trudniej traci bogaty pieniądze, jeśli działa roztropnie.

Spokojni więc o najbliższą przyszłość prezesa i już wiedząc o nim akurat tyle ile trzeba, cofnijmy się spod drzwi kawiarni, w której dawny ulubieniec dziewcząt z Powiśla ma ważne spotkanie z jednym wyższym urzędnikiem przybyłym niedawno z Paryża, i rozejrzyjmy się po mieście.

Cóż nam właściwie wypada czynić? Dotrzymując kroku posuwającemu się naprzód czasowi nie doścignięmy wprawdzie naszego Dudy, lecz i nie pozostaniemy za nim zbyt daleko w tyle. Bo czyż to nie on we własnej osobie schodzi ze schodków kościoła św. Aleksandra, młodą dziewczynę w ślubnej sukni prowadząc pod ramię? Ależ tak, to Duda! Lecz nim zdążyliśmy się przecisnąć przez tłum przyjaciół państwa młodych, oni już wsiedli do przystrojonej chryzantemami limuzyny i odjechali. Najlepsze życzenia, drogi przyjacielu! Druchny i drużbowie również wsiadają do czekających na nich długim rzędem dorożek i riksz. Nic tu po nas. Listopadowy dzień ma się ku końcowi. Akurat lokaj prezesa Bajorka, znajomy nam dawny szatniarz, Arkady Pająk, nakrywa do kolacji na kilkanaście osób. Niebawem przyjadą goście i dobrymi francuskimi trunkami będą pić zdrowie swego wodza, zwycięskiej armii oraz na cześć bliskiego upadku Moskwy.

Natomiast na odległym krańcu miasta, aż na Marymoncie, w małym pokoiku na pięterku, kilku mężczyzn siedzi pochylonych przy radioodbiorniku i w skupieniu słucha słów biegnących przestrzenią z bardzo odległego miasta. W mężczyźnie o ostrych rysach twarzy i głęboko osadzonych oczach, a ubranym w robotniczy kombinezon i notującym wolno i dobitnie wypowiadane słowa natychmiast — rzecz jasna — rozpoznajemy rikszarza, który w swoim czasie wiózł Nowym Światem Tomasza Dudę. Lecz cóż za niespodzianka! Ten piętnastoletni wyrostek, stojący obok z nogą po chłopięcemu ugiętą w kolanie, lekko piegowaty i z rudawą czupryną zsuniętą na czoło, to przecież nasz przelotny znajomy z września, Jasio Piętka, dawny piccolak. A ten drugi pod oknem, średniego wzrostu brunet z blizną na lewym policzku, siedzący z głową wspartą o dłoń, czyż to nie ślusarz, Wiktor Kłos? Oczywiście, że to on.

Zbliża się jednak godzina policyjna. Rikszarz i Jasio Piętka muszą spieszyć do swoich domów: rikszarz na Wolę, Jasio na Stare Miasto, do tej samej kamieniczki, w której suterynie urodził się przed laty dzisiejszy pan młody. Już na placu Krasińskich rikszarza zatrzymuje dwóch mężczyzn. Zabiera ich, ponieważ chcą jechać w jego kierunku.

Doprawdy, bania ze znajomymi rozbiła się tego jesiennego wieczoru! Przecież jednym z mężczyzn, młodszym, jest prokurator, który niegdyś otrzymał awans za wnikliwe śledztwo w sprawie słabych żołnierskich żołądków. A ten drugi, postawny, o energicznym wyglądzie i ruchach, to nikt inny tylko mąż ciotki Walerii, który wiele lat temu nim został starostą odziedziczył po nieboszczce obraz ze św. Cecylią, bieliznę pościelową i co nieco ciepłej gotówki. Któż by mógł przypuścić, że ci dwaj panowie się znają! Co ich łączy? O czym rozmawiają ściszonymi głosami? Niestety zbyt późna godzina, żeby im towarzyszyć. Więc już tylko na dobranoc zajrzyjmy raz jeszcze przez ciekawość do mieszkania prezesa Bajorka. Prezes wznosi właśnie toast. Na wprost niego, pomiędzy dwoma niemieckimi oficerami, siedzi uśmiechnięta i jak zawsze piękna Zula Korecka, z domu panna Jaśkiewicz. Ciekawe, czy przesunąłby się przez jej oczy lekki cień, gdyby mogła wiedzieć, że właśnie w tej samej chwili, w dalekim New Yorku, wszedłszy o wczesnym świcie na taras drapacza chmur dla zaczerpnięcia świeżego powietrza, były minister i pułkownik Dąb-Dorecki, w mrokach dziejów ubogi student entuzjasta, przechylił się z nadmiaru energii przez balustradę, stracił równowagę i zleciał w dół? Biedny Duda! Siedząc z rozgrzaną i zadowoloną twarzą za weselnym stołem, też bez drżenia ręki popijał koniak nie wiedząc, że został sierotą.

Lecz dość na dzisiaj tego podglądania! Przyśpieszmy kroku, aby nie wyprzedził nas czas. Ludzi pojedynczych, choćby to byli Dudowie w siedmiomilowych butach, zawsze się ostatecznie dogoni. Natomiast czasu kształtującego historię lepiej nie doganiać, lepiej iść z nim krok w krok. Młodzi latami czy dużym ich doświadczeniem obciążeni — zawsze umysłem i sercem pozostaniemy młodzi, jeśli nie będziemy się leniwie wlec w ogonie swego czasu, lecz naprzód będziemy podążać zgodnie z jego rytmem, rozróżniając każdej chwili i w każdej sytuacji nowe od starego, staremu przyśpieszając zagładę, nowemu — wzrost. Pilnujmy więc, żeby się nam opowiadającym o naszym czasie czas ten nie wymknął. Wstyd byłoby, przyjaciele, gdybyśmy mówili o ludzkich dziejach, potykając się, sapiąc i biegnąc z wywieszonym językiem lub co gorsza zawieszeni jak nietoperz w dziupli próchniejącego drzewa. Kibicować — paskudna rzecz. Maruderem być — rzecz jeszcze paskudniejsza. Chodem raka czasom swoim towarzyszyć — żałosna historia. Szkodzić im — haniebna. Naprzód zatem!

Komunikaty z pola bitew ciągle jeszcze donosiły o zwycięstwach wojsk, na których chwałę wznosili od czasu do czasu toasty prezesi Bajorkowie. Świat coraz groźniej się kołysał i bezpieczność z dnia

na dzień stawała coraz bardziej zwodnicza. Zawierzyłeś jej, człowieku, lekkomyślnie i wnet jak mucha w pajęczą sieć uwikłałeś się w najcięższe opresje.

Trudno było na przykład o człowieka bardziej spokojnego niż dawny kolega Dudy, Franek Czarniecki. Zetknęliśmy się z nim wprawdzie w wędrówce wrześniowej, lecz tak się niczym szczególnym nie zaznaczył, iż słowa jednego, poza tym, że był, nie umieliśmy o nim powiedzieć. Gdy duży sklep prezesa Bajorka stał się dostępny wyłącznie dla okupantów, nasz ekspedient musiał ustąpić miejsca volksdeutschowi z Łotwy. Znalazłszy się bez zajęcia i karty pracy trudnił się drobnym pośrednictwem, lecz że miał liczną rodzinę i charakter nadal cichy i powolny— ledwie wiązał koniec z końcem. Niemniej i ta potulność usposobienia nie uchroniła go od niespodzianki, bo gdy zadufany w swą bezpieczność wyszedł był pewnego popołudnia z domu do pobliskiej apteki po puder dla swoich niedawno urodzonych bliźniąt, właśnie jak mucha w pajęczynę wpadł w uliczną łapankę i nim doba upłynęła stracił wszystkie przednie zęby, a gdy się nowa zaczęła — również i życie.

Tak więc już nawet nie kruchą kładką była w tych czasach bezpieczność. Terror i gwałt zaciskały się na narodzie jak pętla na szyi skazańca. Lecz, gdy dobrze słuch wytężyłeś, to wśród dalekich odgłosów zaciętych walk i bliskich odgłosów cierpień mogłeś dosłyszeć, jak pod powierzchnią ucisku i nędzy, strachu i zdrady, łez i rozwydrzonych zabaw wzbierają gniew i bunt, i przeciw wyzyskowi, pogardzie i okrucieństwu, przeciw losowi, którym od paru wieków rządziły bagnety i pieniądze, rosną młode siły oporu. Do góry więc głowy, towarzysze! Front biegnie już nie tylko poprzez ruiny miasta bohatersko walczącego nad Wołgą. Front przebiega wszędzie, gdzie żyją ludzie, a jego linia coraz bezwzględniej zaznacza się wśród wydarzeń nawet najbardziej oddalonych od turkotu czołgów, gwizdu bomb, od powietrza smaganego ogniem i ziemi gniecionej stalą.

Oto z głębi nocy dobiega do nas przytłumiony stuk małej drukarskiej maszyny, pracującej w pokoiku Wiktora Kłosa na Marymoncie. Któż by mógł przed kilkoma laty przypuścić, że ten młody ślusarz, lekkoduch zawracający głowę dziewczętom, będzie pracować z narażeniem życia, gotowy każdej chwili zapłacić śmiercią za dokonany wybór? Pomaga mu Jasio Piętka. Jakżeż ten chłopak rośnie, jakkolwiek stojąc ciągle jeszcze ugina nogę w kolanie. Rano, po paczki wydrukowanych w ciągu nocy ulotek i komunikatów przyjedzie inny nasz znajomy, rikszarz. Uważaj na siebie, przyjacielu! Twoje nazwisko i twój wolski adres odnotowane są wraz z nazwiskami wielu innych twoich towarzyszy

na poufnej liście, którą były prokurator od słabych żołnierskich żołądków oraz były starosta, mąż ciotki Walerii, wręczają właśnie prezesowi Bajorkowi w jego gabinecie. Ten, nie ciekawy nazwisk, położył na liście dłoń, a drugą sięgnął po słuchawkę telefoniczną, aby zamienić kilka słów z jednym ze swych przyjaciół z czasów poufnych rozmów w podwarszawskim majątku, synem przemysłowca z Essen, młodym historykiem sztuki, obecnie przeprowadzającym przy alei Szucha drobiazgowe badania nad komunizmem. Po krótkiej i ku obustronnemu zadowoleniu zakończonej rozmowie, Bajorek sięgnął do biurka po przygotowaną zawczasu paczkę dolarowych banknotów. Z teczek obu naszych znajomych, umniejszone pewną sumką na wydatki osobiste (człowiek idei też musi z czegoś żyć), powędrują dalej uskrzydlone patriotycznymi piórami. I po cóż ci było, pułkowniku ministrze Dąb-Dorecki, przechylać się tak nieostrożnie przez balustradę nowojorskiego drapacza? Wierni przyjaciele przygotowują ci powrót. Nie stało jednak ciebie, pozostali inni. Nasz rikszarz może być dumny, że na jego śmierci zależy ludziom tak licznym i różnym. Znak to najoczywistszy, że młode siły rosną i rosną, gniew i bunt coraz śmielej podnoszą pięści, bo im bardziej posiadacze czują się w swej władzy zagrożeni, tym skorzej i bez żadnych skrupułów zawiązują ponad jątrzącymi ich sprzecznościami napastnicze przymierze. Lecz chociaż rosną młode siły wzmocnione klęską dotychczasowych zwycięzców nad daleką Wołgą, chociaż dojrzewają gniew i bunt, a przeciw wilczemu losowi ociężałemu od ludzkich krzywd i cierpień gromadzą się chmury coraz groźniejsze — dobrze się stało, że najbliższego wieczoru nasz rikszarz nie zdążył wrócić na czas do domu. Tej bowiem nocy, w różnych punktach miasta i przed wieloma uśpionymi domami, zatrzymywały się policyjne auta. Trudno, jest walka — są ofiary.

A czas posuwa się dalej. Wygasły już łuny pożarów płonące przez wiele tygodni nad dzielnicą miasta ogrodzoną przez zwycięzców murem. Wśród walk, jakie się tam toczyły, mignęła nam przez moment sylwetka Jasia Piętki. Oto ze swoją rudawą czupryną stale zsuniętą na czoło i z nogą ugiętą w kolanie stoi z granatem obok krępego i ogorzałego robociarza Żyda. Lecz dym pożaru przesłania nam obu, a teraz już tylko martwa cisza zalega wyludnione ulice i puste domy całej dzielnicy. Znów w głębi lubelskich lasów dostrzegamy przez moment Wiktora Kłosa. Lecz wczesna jesienna noc zaciera i jego sylwetkę, i postacie kilku jeszcze innych ludzi rozkręcających w pośpiechu szyny biegnące wysokim nasypem kolejowym. Teraz jest cisza. Ze Wschodu, gdy słuch dobrze natężysz, wychwycisz echo głucho dudniących armat,

jeszcze bardzo, bardzo dalekie, lecz wciąż się krok za krokiem przybliżające i tu wzmacniane biciem serc tych wszystkich, którzy przeciwko staremu losowi powstali wiedząc, że jeśli jedni ludzie mogli wilczy los ukształtować i umocnić, to drudzy mogą go obalić, aby na jego gruzach nowy los, przyjaciela życia i twórczości, własnymi dłońmi i umysłami zbudować.

Zanim jednak skona ostatecznie na naszej ziemi wilczy los i młody pocznie kierować dziejami, nim wybije krajowi od wieków przygotowywana, a od lat wśród najcięższych doświadczeń dojrzewająca godzina historyczna; nim zatem naród po raz pierwszy stanie na mocnych nogach i młodzieńczą głowę dumnie wyprostuje — przychwyćmy bodaj na chwilę naszego bohatera.

Rozstaliśmy się z nim przed trzema prawie laty, w listopadowy wieczór, gdy z młodą żoną odjeżdżał sprzed kościoła św. Aleksandra. Teraz starsi o lat niewiele, lecz bogatsi o doświadczeń i przeżyć niemało, odnajdujemy go w jego skromnym, bo zaledwie dwupokojowym biurze w jednym z domów w bliskiej okolicy placu Napoleona. Z tabliczki na drzwiach mieszkania możemy się dowiedzieć, że wewnątrz mieści się biuro porad prawnych. Chwileczkę! Czyżbyśmy pomylili przypadkiem adres lub źle zostali poinformowani przez panią Dudzinę, która przy ulicy Brackiej prowadzi mały, lecz dochodowy sklepik ze słodyczami? Zajrzyjmy jednak dla pewności do środka.

Przez mały i mroczny korytarzyk, typowy dla starych mieszkań warszawskich, dostajemy się do pierwszego pokoju. Mimo pięknego dnia letniego jest w nim również ciemnawo i ponuro, ponieważ okna tego pomieszczenia straszącego okropnymi tapetami wychodzą na ciasne i ciężkimi blokami oficyn ściśnięte podwórze. Dwaj młodzi ludzie w luźnych marynarkach i długich butach, siedząc — jeden okrakiem na krześle, drugi na krawędzi stołu — rozmawiają właśnie z jasnowłosą dziewczyną, najpewniej maszynistką, ponieważ duży Remington stoi na jej stoliku.

Lecz porzućmy, ponieważ tak w tej chwili wygodniej, przestarzałą konwencję wątpliwości i przypuszczeń. Zagrajmy w otwarte karty. Kto zabiera się do rzeczy tak ryzykownej jak opowiadanie o ludzkich dziejach, powinien wiedzieć wszystko o wszystkim i wszystkich, a więc co było, co jest i co będzie, nie popisując się — rzecz jasna — swoją wszechwiedzą jak zadufek przemądrzały, lecz rozporządzając się nią oszczędnie i celowo, zawsze mówiąc mniej niż się wie, lecz akurat tyle, aby całą resztę mógł sobie bez trudu dopowiedzieć czytelnik.

Powiedzmy zatem od razu i bez zbędnych omówień, że jasnowłosa dziewczyna jest panienką z bardzo dobrego domu, matka jej, ta sama hrabina, której niegdyś skołowaciały los złamał oś w karecie, zajmuje się pobożnością oraz dobrymi radami, a ojciec, dyplomata, przygotowuje się w Londynie do dużego stanowiska w kraju. Ona sama jest rzeczywiście maszynistką, jakkolwiek pisać na maszynie nie potrafi. Natomiast dzięki obecności panny Sulemirskiej biuro porad prawnych posiada niezbędną siłę fachową, a Duda ma dla swoich walutowych transakcji otwartą drogę do środowiska ziemian. Jeśli zaś chodzi o rozmawiających z hrabianką młodych ludzi, to obaj inteligenccy synkowie, jeden: urzędnika, drugi lekarza, w równym stopniu są przy swoich dziewiętnastu latach ubodzy w wiedzę, jak zasobni w rozległe doświadczenia. Na innym terenie żołnierze podziemnej wojskowej jednostki, nad którą poprzez liczne szczeble konspiracji sprawuje władzę dawny starosta, tutaj znajdują się w charakterze agentów Dudy.

Nie jedyni to zresztą ludzie szefa, tak bowiem nazywają naszego bohatera ci wszyscy, którzy w taki czy inny sposób związani są z nim interesami. Trzeba nam bowiem wiedzieć, że Tomasz Duda bardzo daleko zaszedł, od kiedy począł się posuwać naprzód siedmiomilowymi krokami. Dokoła jego osoby i w ścisłej od niej zależności wiruje teraz jak dokoła słońca wiele planet, te zaś z kolei otoczone są satelitami pomniejszymi. Szef, gdy jest w biurze, urzęduje w drugim pokoju równie mrocznym jak pierwszy. Siedzi tam sobie za ogromnym biurkiem, do niedawna własnością żydowskiego rejenta, i dość na niego spojrzeć, aby stwierdzić, że w ciągu lat ostatnich przytył, kark mu zgrubiał, twarz się poszerzyła, dłonie, zawsze masywne, urosły i ruchy nabrały zamożności. Na sobie ma Duda solidny garnitur z włochatej angielskiej wełny, włosy staranniej niż niegdyś przypłaszczone brylantyną, a na lewej ręce obrączkę i tłusty sygnet.

Dopadliśmy naszego przyjaciela akurat w chwili, gdy podłubując sobie w nosie mówił do chudego mężczyzny, który stał przy biurku i pożółkłymi od nikotyny palcami rozgniatał w popielniczce niedopałek.

— Nic się pan nie martw, panie Zajączkowski. Ludzie po to mają języki, żeby nimi obracać. Źle pan może przy mnie żyjesz?

— Nie, nie powiem — bąknął nasz stary znajomy z września. — Narzekać nie powinienem.

— Jak to pan narzekać nie powinieneś? — na to Duda. — Nie możesz pan narzekać, tak chciałeś pan powiedzieć, co?

— Tak, rzeczywiście, nie mogę.

— No więc? To i wszystko masz pan w porządku. Uczciwie pracujesz i uczciwie zarabiasz. A kto gada? Niedołęgi i biedota, która *Eintopfgericht* na cały dzień musi gotować. Nie przejmuj się tym, panie Zajączkowski. A poza tym zapamiętaj sobie, że u bogatego i zez prosty.

To powiedziawszy roześmiał się szczerze i otwarcie, zaraz jednak spoważniał, ponieważ dostrzegł nas stojących skromnie przy drzwiach.

— Kogo pan uważasz? — spytał.

Ponieważ jeszcze przed wojną usunięty z rady adwokackiej mecenas Liszka, siedzący zazwyczaj w tym samym pokoju przy drugim, nieco mniejszym biurku, był chwilowo nieobecny, w te słowy zaczęliśmy śmiało:

— Szanowny panie Duda! Już od dawna, bo od trzydziestu jeden lat interesujemy się pańską osobą. Najpierw towarzyszyliśmy panu jako dziecku — tu Duda machnął lekceważąco ręką — potem byliśmy świadkami pańskiej wieloletniej solidnej pracy.

— Głupi był człowiek, panie — wtrącił nasz przyjaciel. — Wiesz pan, ile ja zarabiałem u Bajorka?

— Wiemy — odpowiedzieliśmy. — Wiemy jednak również, że kiedy w tym okropnym wrześniu tylu rozsądnych skądinąd ludzi potraciło głowy, pan...

Duda poruszył się w fotelu i krótkim spojrzeniem ogarnął dawnego buchaltera. Ten zaś, wodząc pożółkłym palcem po krawędzi biurka, zapytał swoim spokojnym, nieco matowym głosem:

— Zdaje się, że nie będę teraz panu potrzebny?

— Na razie nie — odparł skwapliwie szef. — Możesz pan iść. Nie zapomnij pan tylko, panie Zajączkowski, że na piątą masz pan być u hrabiego Rogoyskiego.

— Oczywiście, nie zapomnę — skłonił się były kasjer i wyszedł, cicho za sobą zamykając drzwi.

Przez moment zaległo milczenie. Na parapecie półotwartego okna gruchały gołębie, gdzieś wyżej kobiecy głos śpiewał popularną piosenkę „Serce w plecaku".

Na koniec Duda przechylił się przez biurko i uważnie nam się przyjrzał.

— Ile? — spytał.

— Co, ile? — odpowiedzieliśmy.

— Dwa górale starczą?

— Zależy na co — odpowiedzieliśmy ostrożnie.

Nasz przyjaciel spochmurniał.

— Dobrze, dam trzy. Ale grosza więcej.

Wyjął portfel, z niego pięćsetki i te, jeszcze świeżą farbą pachnące, położył na biurku.

— Bierz pan, młody człowieku, i jeśli ci się coś przypadkiem o uszy obiło, to radzę trzymaj pan język za zębami...

— Ależ drogi panie Duda! — zawołaliśmy z oburzeniem.

— Nie skończyłem — przerwał tamten. — A na przyszłość, jeżeli język zbyt świerzbi, radzę i uszy zatykać watą.

Coś takiego! Wszystkiego mogliśmy się spodziewać po naszym przyjacielu, lecz nie posądzenia nas o tak brzydkie sprawki i w ogóle takiego niezrozumienia naszych czystych intencji.

— Panie Duda — powiedzieliśmy zatem — nie przyszliśmy do pana w zamiarze szkodzenia panu w czymkolwiek. Taka szpetna myśl ani przez sekundę nie powstała w naszej głowie. Przeciwnie, przyszliśmy do pana, ponieważ na miarę naszych skromnych możliwości chcemy się panu przysłużyć i uświetnić pańskie nazwisko. Tak, proszę pana! Krótko mówiąc, pragniemy opracować i opisać pański żywot, aby innym dla pouczenia służył. I rzecz jasna, nie żądamy za tę pracę żadnej od pana zapłaty.

Twarz Dudy rozpogodziła się.

— To tak pan od razu gadaj. Niczego więc, powiadasz pan, nie żądasz?

— Drobiazgu! — odpowiedzieliśmy. — Dla uzupełnienia naszych wiadomości i dla tym pełniejszego podmalowania pańskiego portretu chcielibyśmy, aby zechciał pan odpowiedzieć nam na kilka pytań.

Duda schował pięćsetki i całkiem się rozpogodził.

— Tylko tyle? Niech będzie. Stawiaj pan pytania.

Znając dawne, rozmiarów dziecięcej piąstki wyobrażenia Tomka Dudy o świecie, zapytaliśmy na wszelki wypadek:

— Czy pytania mogą zatrącać o politykę?

Siedzący przed nami Duda roześmiał się.

— Czemu nie? Człowiek z głową na karku musi się i na polityce znać.

Uspokojeni w tej mierze i już pewni, że nasze dawne przewidywania dotyczące rozwoju Tomkowej piąstki sprawdziły się całkowicie, zadaliśmy pytanie pierwsze:

— W życiu rodzinnym jest pan szczęśliwy?

— A dlaczego mam nie być szczęśliwy? — odparł Duda. — Moja żona, chociaż z prostego pochodzi środowiska, ojciec jej za dozorcę

był, głowę ma dobrze umeblowaną. Każdemu takiej żony życzyć. Pan żonaty?

— Jeszcze nie.

— To się pan ożeń prędko. Mężczyzna koniecznie, panie, powinien mieć żonę. Dziewczęta owszem, ale sam pan pewnie wiesz, że nawet te przyzwoite tylko swój własny interes mają na względzie. A w małżeństwie masz pan co innego. W małżeństwie masz pan dwie osoby w spółce, a to zmienia całą kalkulację. Ja na ten przykład nie tylko do swojej nie dokładam, ale jeszcze ona, choć jej na niczym nie zbywa, wzięła się za interes i zarabia wcale, wcale. Nie mogę narzekać, dobrze się ożeniłem.

— A czy z siebie jest pan także zadowolony?

Duda spojrzał zdziwiony.

— Jak to, czy jestem z siebie zadowolony? Coś pan! Niby dlaczego miałbym nie być zadowolony? Źle mi się wiedzie?

— Słusznie — powiedzieliśmy pośpiesznie. — Trochę niezręcznie to pytanie zostało sformułowane. A co pan myśli o przyszłości Polski?

— Dobrze myślę — odparł. — Anglia i Ameryka szybko teraz pobiją Hitlera, a jak wojna się skończy, to nam wtedy pomogą odbudować się. Pracy ludziom nie zbraknie, nie ma obawy, dla wszystkich znajdzie się coś odpowiedniego, tym bardziej że i Żydów już na szczęście nie mamy, więc masz pan pojęcie, jaki będzie ruch w handlu? Trzeba tylko, żebyśmy mieli silny rząd, bo Polacy dzielny, ale niezgodny naród. Szkoda, że Piłsudski nie żyje, on potrafił mocno trzymać. Ale nie szkodzi, damy sobie i tak radę, Anglicy i Amerykanie wynajdą już tam kogoś odpowiedniego.

— A słyszał pan może, że przed kilkoma dniami powstał w Lublinie tymczasowy rząd polski, tak zwany PKWN?

— Coś mi się obiło o uszy, ale wiesz pan, że nawet się tym nie zainteresowałem. Po co? Szkoda czasu na głupstwa. Co to za rząd? Sami komuniści...

— A nie sądzi pan, że dzięki zwycięstwom Armii Czerwonej...

— Coś pan! — poderwał się Duda — Bolszewicką agitację chcesz pan urządzać?

— Trudno jednak zaprzeczyć, że Armia Czerwona zbliża się do Warszawy.

— Nie szkodzi, niech się zbliża, nam co do tego? Tutaj jest Polska, panie, nie Moskwa.

— Więc w żadnym wypadku nie dopuszcza pan możliwości, aby w Polsce dokonała się rewolucja?

— Wykluczone. Jaka rewolucja, co pan opowiadasz? Ciekawe, kto tę rewolucję będzie robić? Śmiej się pan z tego! Że jesteśmy narodem niezgodnym i potrzebny nam silny rząd, to prawda. Ale co do patriotyzmu, to już darujesz pan, ale nikt nam patriotyzmu odmówić nie może. Spróbuj pan odebrać chłopu ziemię i Boga, to zobaczysz pan. A robotnik, panie, też chce mieć własne łóżko i własny garnek. Śmiej się pan z tego, powiadam panu. Tylko w takim barbarzyńskim kraju jak Rosja mógł się na pewien czas utrzymać podobny eksperyment.

— Jedno jeszcze, ostatnie pytanie, jeżeli pan pozwoli? — przerwaliśmy delikatnie Dudzie.

Ten nieco ochłonął.

— Wal pan!

— Co pan zamierza robić po wojnie? Jaką działalność i w jakiej dziedzinie zamierza pan rozwinąć?

Duda zamyślił się. Gołębie ciągle gruchały na parapecie, a zamiast kobiecego śpiewu dobiegał odgłos ubijanej widelcem piany.

— Moje plany na przyszłość... — zaczął wreszcie z namysłem Duda.

Lecz w tym miejscu jak w kulawej powieści, kiedy autor nie może sobie ani rusz poradzić z dalszym ciągiem, wątek rozmowy został w gwałtowny sposób przerwany, wtargnęła bowiem do gabinetu szefa sama HISTORIA.

Jej gońcem okazał się młodziutki, płowowłosy chłopiec lat nie więcej niż szesnastu, w skautowskich spodenkach i koszuli z podwiniętymi po łokcie rękawami. Zdyszany wbiegł pędem do pokoju i gdy tymczasem w otwartych na oścież drzwiach stłoczyli się obaj młodzi ludzie w długich butach, hrabianka Sulemirska i jeszcze kilka osób innych, a wśród nich również i mecenas Liszka — on znalazłszy się przy biurku począł w wielkim podnieceniu szeptać coś na ucho szefowi.

Przez dłuższą chwilę słychać było tylko gruchanie gołębi i plaskanie ubijanej piany. Wtem Duda poczerwieniał i poderwał się zza biurka.

— Nie! — krzyknął wielkim głosem.

— Tak! — odkrzyknął tryumfalnie chłopiec w spodenkach.

— Tak! — zawołali od drzwi obaj młodzi ludzie w długich butach.

Znów zaległa cisza, aż naraz bardzo głośno brzdęknął wśród niej trzask rozbitego talerza. Spłoszone gołębie sfrunęły z parapetu. Diabli wzięli pracowicie ubijaną pianę!

Tymczasem szef powziął decyzję.

— To jak takie buty — powiedział już spokojnie — to do roboty, panowie! Chwilkę tylko...

I pochylił się w naszą stronę.

— Wybaczysz pan, ale później dokończymy rozmowy. Masz pan pojęcie, co za draka się szykuje? Za pięć godzin wybuchnie powstanie, a ja mam huk gotówki na mieście. Też wybrali sobie porę, cholera!

Jeszcze więc raz jeden tracimy z oczu naszego bohatera. Nie tylko jego zresztą. Innych naszych znajomych również przesłania mroczna kurzawa. Zbyt tragiczne wydarzenia mają się rozegrać i w sercu zbyt wiele gniewu i goryczy narośnie, aby poprzez niepotrzebną śmierć tysięcy młodych dziewcząt i chłopców, starców, kobiet i dzieci, poprzez łoskot walących się domów, dymy pożarów, krzyk bestialsko mordowanych i milczenie przygniecionych gruzami dojrzeć spokojnymi oczyma dzieje poszczególnych ludzi. Więc, gdy nas mocny głos nowego życia woła z oddali i nim za jego wezwaniem podążymy, przysłońmy na chwilę oczy z bólu i wstydu. Z bólu nad barbarzyńskim tryumfem śmierci i zniszczonym miastem. Ze wstydu za małych ludzi, którzy w obronie wilczego losu i własnych wilczych interesów nie zawahali się zdradzić narodu.

Lecz młody głos przynagla nas, dźwięczy coraz bliżej i silniej, wzywa coraz natarczywiej. Nie marudźmy zatem w tak ważnej chwili! Żal i wstyd niech ustąpią słusznemu gniewowi i uzbrojeni nim śpieszymy torować drogę rodzącym się kształtom nowego życia. Witaj jutrzenko swobody...

Nie zstąpiłaś na nas z obszarów spokojnego nieba, ani przyjazna pogoda towarzyszyła twoim pierwszym dniom. Wydźwignęłaś nas z mroków niewoli wśród błysków artyleryjskiego ognia i kurzawy wznoszącej się spod czołgów, i kiedy wilczy los padł z pogruchotanymi nogami, wiele jeszcze groźnych chmur zgromadziło się dokoła ciebie, zanim młodziutka i wątła zdołałaś przedrzeć się przez mętne ciemności, by nowy los, przyjaciela narodu, wesprzeć swym żarem i blaskiem. Pamiętajmy, że wilczy los, nawet gdy ma nogi przetrącone, nie poddaje się szybko ani łatwo. Oto jego nienawistny skowyt niesie się po kraju bratobójczymi strzałami. Jego wściekłość kąsa sabotażem, oszustwem, oszczerstwem i kłamliwą plotką, a nikczemność ucieka się do podstępu i zdrady. Taki jest wilczy los! Gdy nie może gryźć, czołga się pokornie. Kiedy zdoła uśpić naszą czujność, rzuca się do gardła. Jeśli go tropimy, kryje się do nory i tam odmienia swą postać. Owczą skórę na grzbiet naciąga, w ornat się ubiera, lub czerwony kapturek na

wilczy łeb nakłada. Uwaga zatem, towarzysze! Trzeba się nam skupić dokoła naszego losu-młodzieńca. Musimy mu podać dłonie, aby ustrzec jego kroki od zasadzek, osłonić go przed dotknięciem brudnych rąk i nie dopuścić do niego złych podszeptów. Nasze siły są siłami naszego losu. Nasz rozum jest jego rozumem. I jeśli my urośniemy, on również dzięki nam i dla nas będzie rosnąć.

Gdy zatem w większym niż kiedykolwiek stopniu liczy się teraz każdy człowiek, trzeba i nam rozejrzeć się za naszymi przyjaciółmi i znajomymi. Po nagłej i gwałtownej burzy pastuch wychodzi szukać rozpierzchłych owiec. Pisarz powinien uczynić podobnie, jeśli wśród historycznych wydarzeń pogubiły mu się postacie. Czas zaś najwyższy pozbierać całą gromadkę, żeby wyruszyć z nią dalej. Lato już mamy w pełni i nurt codziennych wydarzeń szybko nas oddala od dnia, w którym zabrzmiały nad miastami armatnie salwy zwycięstwa.

Prezesa Bajorka daremnie by szukać w kraju. Według zebranych informacji dawny ekspedient pana Jaśkiewicza opuścił Warszawę na tydzień przed wybuchem powstania, zimę spędził w Krakowie, odnawiając stare znajomości i nawiązując nowe, a gdy wojska, na których sławę wznosił był w swoim czasie toasty, poczęły się wycofywać na z góry upatrzone pozycje — uczynił to samo, to znaczy wyjechał wraz z kilkoma osobistościami z RGO do Bawarii, a później już za zezwoleniem okupacyjnych władz amerykańskich, również podzielających zdanie, że u bogatego i zez prosty, przeniósł się na krótki pobyt do Brukseli. Cóż? Bruksela daleko, Londyn jeszcze dalej — trzeba się nam chyba pożegnać z prezesem Bajorkiem. Dalszą jego drogę możemy sobie bez trudu dopowiedzieć, będzie ona bowiem bez względu na takie czy inne okoliczności biec przed siebie z tą samą nieomylnością, z jaką igła magnesowa obraca się ku północy. Bywaj więc, Bajorku! Może jeszcze gdzieś i kiedyś się spotkamy. Wszystkiego na razie najlepszego...

Również w kierunku zachodnim, odległy jeszcze w tej chwili Londyn mając za gwiazdę przewodnią, podąża inny nasz znajomy: prokurator. Na razie dotarł do Pragi i popijając Cinzano w kawiarni Sroubka na Vàclavskim Namesti uważnie przygląda się przechodniom, czeka bowiem na przyjaciela kapitana, przedwojennego dwójkarza, który ma mu ułatwić następny etap podróży. Otóż i nadchodzi tamten. Jest to mężczyzna w sile wieku, raczej drobny, łysawy, o lekko pałąkowatych nogach kawalerzysty. Lecz drogę ex-prokuratora równie dobrze jak ślepą drogę znamy, więc nic tu po nas. I już tylko z poczucia zawodo-

wej sumienności zajrzyjmy na chwilkę do odległej Ankony, aby posłuchać Zuli Koreckiej śpiewającej dla żołnierzy Andersa patriotyczne piosenki. Dawną ulubienicę Warszawy czas cokolwiek nadgryzł, lecz co ów szkodnik zepsuł — załatały na razie dolary. Im też zawdzięczając możemy się z naszą znajomą rozstać w momencie dla niej korzystnym, gdy w nocnym lokalu tańczy w ramionach młodego Włocha. Daleko mieszczańskie pisklęta odleciały od swoich gniazd? Nie dajmy się uwieść pozorom. Nie daleko odleciały, wcale nie daleko... W każdym razie widzimy, że staruch-los u nas już przetrącony, na wielu jeszcze przestrzeniach ziemi zachował dość sił, aby w zamian za pieniądze służyć wiernie nawet tym, którzy go gdzie indziej w chwili klęski opuścili.

Tymczasem w kraju los-młodzieniec nikomu nie schlebiał, ani w łatwy sposób szedł na rękę. Przeciwnie, od najwierniejszych żądał najwięcej i największych domagał się ofiar.

I tak oto, na przykład, na skraju wsi kieleckiej dwa krótkie wystrzały zza węgła trafiają o wczesnym zmierzchu mężczyznę jadącego rowerem. Nie zawodzi nas pamięć. Człowiekiem, który wraz z rowerem zwalił się na drogę, jest nasz stary znajomy z czasów okupacji, rikszarz, dzisiaj z ramienia partii pełnomocnik do spraw związanych z reformą rolną. Młody człowiek strzelający z ukrycia z pewnością sprawdziłby, czy jego strzały były skuteczne, lecz nie ma już na to czasu. Ostrzegawcze gwizdnięcie zmusza go do ucieczki. Pomyka więc chyłkiem pomiędzy opłotkami. Jednak nim zniknął w mroku, rozpoznajemy go. Przed niespełna rokiem spotkaliśmy się z nim przecież przelotnie w biurze Dudy. Tymczasem do leżącego na drodze pełnomocnika podbiega dwóch młodych chłopców wiejskich...

Znów ten sam los, tak surowy dla swych najlepszych synów, zdjąwszy z Wiktora Kłosa mundur żołnierza I Armii, ubrał go w mundur funkcjonariusza Urzędu Bezpieczeństwa. Życie w powiatowym miasteczku na Pomorzu Szczecińskim nie jest łatwe. Na każdym kroku czyha tam niebezpieczeństwo. Zamęt i bezprawie są na razie silniejsze od zalążków nowego porządku. Strzec i umacniać te wątłe kiełki z trudem przebijające się przez gąszcz gwałtów, nadużyć i grabieży — to ciężkie zadanie. Twardą więc służbę ma Wiktor Kłos. Tak twardą, iż czasem, gdy nagromadzi się dokoła zbyt wiele ludzkich brudów, ogarniają go wątpliwości, czy rozsądnie uczynił wybierając tę, nie inną drogę. Jakich bowiem sił potrzeba, aby nawet śmiertelnie ugodziwszy wilczy los, uleczyć i odmienić naturę tych, którzy mu służyli? Jak na

przykład wytłumaczyć ludziom wychowanym w ucisku, że życie na innych podstawach niż dawniej zaczyna się kształtować i ani egoizm będzie teraz popłacać, ani chciwość przynosić zysków, ani na cudzej pracy uda się komukolwiek utuczyć?

Gdy takie i inne pytanie osaczały Wiktora Kłosa, nauczył się wśród swoich towarzyszy znajdować krzepiącą odpowiedź, ponieważ jego wątpliwości były również i ich wątpliwościami. Wówczas to poznał ważną prawdę nowych czasów, że łatwo może się załamać i zagubić człowiek pojedynczy, lecz nie załamie się i nie zagubi ten, który z innymi potrafi dzielić swoje słabości i zwątpienia. Samotna bowiem słabość nieuchronnie gubi. Skrywane wątpliwości prowadzą do jeszcze głębszych i ostrzejszych. Natomiast słabość dwóch ludzi może się przerodzić w siłę, a zwątpienia zwierzone drugiemu człowiekowi mogą dać odpowiedź.

Tę nową prawdę odkrył również i inny nasz znajomy, a mianowicie Jasio Piętka. Trudno przewidzieć, jak potoczyłoby się jego życie, gdyby po powrocie z Oświęcimia, a dostał się tam z ulicznej łapanki jeszcze w roku czterdziestym trzecim, nie odnalazł w sercu dość żywej pamięci przeszłości i nie poszukał dzięki temu swoich towarzyszy ze Związku Walki Młodych. Może, jak wielu jego rówieśników, wałęsałby się teraz po kraju w poszukiwaniu niewybrednych przygód i łatwych zarobków? Może odnaleźlibyśmy go w jakiejś knajpie zamroczonego alkoholem i szastającego pieniędzmi, albo przychwycilibyśmy go gdzieś na ziemiach zachodnich przy szabrze?

Wiemy już jednak, że uniknął szczęśliwie tych rozlicznych i z pewnością grożących mu niebezpieczeństw. A powrotu do Warszawy — trzeba to stwierdzić — nie miał wesołego. Kamieniczka, w której mieszkał, leżała jak i cała staromiejska dzielnica w gruzach. Z rodziny nikt mu nie ocalał, rodzice oraz siostra zginęli w powstaniu. Został więc nasz Jasio sam jeden i nie bardzo wiedział, co ze sobą zrobić. Lecz w tym najtrudniejszym momencie dopomogli mu towarzysze i dobrze poradzili, jak powinien pokierować swoim życiem. I oto teraz każdego dnia możemy spotkać Piętkę na jednej z nielicznych jeszcze budow w śródmieściu. Na razie jest pomocnikiem murarskim, a po pracy chodzi na wieczorowe kursa dokształcające. Mieszka na Powiślu, przy rodzinie jednego ze swoich kolegów z budowy. Od czasu, gdyśmy się z nim rozstali wśród dymów płonącego getta, urósł i wydoroślał, rzecz prosta. Jednak rudawe włosy nadal zsuwają mu się niesfornie na lekko piegowate czoło, a gdy mówi z ożywieniem, lub stojąc na

budowie rozejrzy się dokoła mrużąc oczy od blasku słońca i głośno pocznie rozmyślać, jak za lat kilka wyglądać będą nowe domy wzniesione na obecnych ruinach — to pomimo swoich skończonych lat dziewiętnastu zupełnie jak za dawnych czasów ugina nogę cokolwiek w kolanie.

Lecz gdzież reszta naszych znajomych? — spytają czytelnicy. A przede wszystkim, gdzie się podziewa nasz bohater? Czy aby znów się od nas nie oddalił siedmiomilowymi krokami? Słuszne przypomnienie. Więc choć chętnie zatrzymalibyśmy się nieco dłużej przy Jasiu Piętce, pora opuścić nam na pewien czas Warszawę i pojechać do Krakowa, tam bowiem po powstaniu i krótkim pobycie w Częstochowie zamieszkał Duda.

Kraków, jak to letnią porą leży w jego zwyczajach, powitał nas dusznym i od wilgoci lepkim upałem. Przezwyciężając jednak ospałość i rozleniwienie, zrezygnowaliśmy z odpoczynku w cieniu Plantów i wprost z dworca pośpieszyliśmy na ulicę Karmelicką, będąc pewni, że ze względu na niedzielę i porę przedpołudniową zastaniemy naszego przyjaciela w domu. Spotkał nas jednak zawód. Od służącej, z wyglądu młodej dziewczyny ze wsi podkrakowskiej, dowiedzieliśmy się, że oboje państwo są nieobecni. Jasne! — pomyśleliśmy. Pojechali do parku Jordana, albo do lasku wolskiego, któż by w taką pogodę siedział w domu?

Jednak z krótkiej rozmowy ze służącą okazało się, że pan Duda nie pojechał odetchnąć świeżym powietrzem, lecz razem z żoną poszedł na sumę do kościoła Mariackiego. Trochę się zdziwiliśmy, ponieważ przyjaciel nasz od czasu, kiedy pod wpływem wolnomyślnych sądów ekspedienta Bajorka począł zaniedbywać nauki ciotki Walerii, nie okazywał żywszych uczuć religijnych. Domyślając się jednak, że pieniądz jak ciasto pod ciepłą płachetką lubi rosnąć pod opieką boską, nie zdziwiliśmy się zbyt mocno. Przypuszczając natomiast, że w drodze powrotnej z kościoła uda się nam pana Dudę przychwycić i dokończyć rozmowy przerwanej przed rokiem, udaliśmy się w stronę Mariackiego.

Liczne gołębie dreptały po Rynku zdziobując rzucane im okruchy, a pod cienistymi arkadami Sukiennic i na linii A—B spacerowali również liczni handlarze złotem oraz walutami, dziobiąc niedzielnych przechodniów skośnymi spojrzeniami i ściszonymi propozycjami. Gorąco było jak w trzech łaźniach i w ubraniu czuł się człowiek jak w kleju. Natomiast kościół Mariacki cały w słońcu, lecz wypoczęty, dziarsko

pobrzmiewał organami. Suma musiała się już zacząć, a ponieważ kościół upchany był ludźmi po brzegi, część z nich stała przed świątynią. Od czasu do czasu zanurzał się w tę gromadkę któryś z waluciarzy i gdy człowiek dziobnięty skośnym spojrzeniem okazywał zainteresowanie, ofiarowywano mu szeptem kupno drobiazgu, o którego posiadanie właśnie zamierzał się pomodlić.

Jakkolwiek kilka tylko kroków dzieliło od lodów u Noworolskiego, chęć ujrzenia dawno niewidzianego przyjaciela stanęła w poprzek pokusom. Mimo tłoku udało się nam wcisnąć do środka, a nawet posunąć co nieco w głąb bocznej nawy. Gdzież nam jednak wśród tego mrowia ludzkich głów dojrzeć Dudę? Niełatwo człowieka odnaleźć w pustym kościele, a cóż dopiero w przepełnionym! Przewidując jednak, że Duda raczej gdzieś bliżej ołtarza stoi, jeszcze się trochę ku przodowi posunęliśmy.

Wtem serce żywo w nas podskoczyło. Tuż, tuż przed nami, nie dalej niż na wyciągnięcie ramienia, stał niedbale oparty o ławkę wysoki młodzieniec, blondyn w długich butach i luźnej marynarce. Sen? Przewidzenie? Przecież przed kilkoma zaledwie dniami ten sam, dobrze nam z wyglądu znany młody człowiek strzelał zza węgła do jadącego na rowerze pełnomocnika partii. Czyżby skrucha i wyrzuty sumienia przywiodły go do kościoła? Nie wyglądał jednak na człowieka, którego gnębi popełniona zbrodnia lub dręczą wyrzuty sumienia. Właśnie pochylił się z uśmiechem ku młodej dziewczynie siedzącej na ławce. Szepce coś do niej. Ona też się uśmiecha i potakująco kiwa głową. Lecz gdzież nasze bystre oczy? Czyżby kadzidło poszło nam do nosa lub zdrowe dudnienie organów omroczyło wzrok? Wszakże ta jasnowłosa dziewczyna, to panna Sulemirska, a w chudej i jak tyczka wyprostowanej damie obok chyba tylko ślepy by nie rozpoznał starej hrabiny, niegdyś w krytycznej sytuacji skrzywdzonej przez ogłupiały los. Hej bracie! — przypomniało się nam mimo woli ulubione dawnymi laty powiedzenie Leona Bajorka.

I nieco się cofnęliśmy, lecz tak niezgrabnie, że najbliższemu sąsiadowi nadepnęliśmy na nogę. Uczyniliśmy to w momencie najmniej odpowiednim, ponieważ obywatel ów, mężczyzna postawny i nobliwy, właśnie zamierzał przeżegnać się. Skrzywił się więc, rękę zatrzymał w niedokończonym geście i nim zdążyliśmy szepnąć: przepraszamy — nas z kolei kopnął w samą kostkę. Zabolało, bo zabolało, lecz jakaż dzięki temu kopnięciu niespodzianka! Musimy bowiem wyznać, że w natłoku dziejowych wydarzeń zapomnielibyśmy najprawdopodobniej

o Arkadym Pająku, dawnym szatniarzu, a potem lokaju prezesa Bajorka. Tyle się zmieniło od czasu, kiedy krzątał się po przestronnym mieszkaniu, przygotowując kolację dla zaproszonych gości! A oto teraz stoi tuż przy nas, gładko wygoloną twarz ma już spokojną i wpatrzony w daleki ołtarz ponownie nakłada na swój dobrze skrojony i zaprasowany garnitur znak krzyża świętego. Nas oczywiście nie poznał. Zresztą, gdyby nawet rozpoznał, to naszą nieco oszołomioną uwagę i tak już ktoś inny spośród tłumu przyciąga.

Pod niedalekim filarem dostrzegliśmy właśnie jasnowłose chłopię w wyrośniętych shortach i harcerskiej koszuli z podwiniętymi rękawami. Spotkaliśmy się z nim tylko raz jeden, gdy zadyszany wbiegł do biura swego szefa w charakterze gońca HISTORII, lecz sylwetka jego mocno nam zapadła w pamięć. Natomiast po drugiej stronie tego samego filaru... nie, czy to przypadkiem nie przesada? Głupia doprawdy historia, jeśli rzeczywistość zaczyna się układać w sposób tak niewybredny, jakby szła na sznurku naśladując złą sztukę. Lecz cóż mamy zrobić, gdy po tej drugiej stronie filaru naprawdę podnosi się z klęczek nie kto inny tylko mąż nieboszczki ciotki Walerii? Sen? Przewidzenie? Ani sen, ani przewidzenie. Trudno. Były starosta jest byłym starostą, niesposób temu zaradzić, a i nam również nie wypada przekształcać prawdy, aby robiła wrażenie prawdziwszej. W głowie się jednak mąci i cała przeszłość wraz z ludźmi i wydarzeniami poczyna się w niej kołysać jak cienie na omszałym murze. A organy dmą tymczasem pod wysokim sklepieniem coraz zdrowiej, przed ołtarzem cuda się dzieją, dymi kadzidło, migącą kolorowe kapy i infuły, połyskuje srebro, błyska złoto, dzwonią dzwoneczki... Rany boskie, jak duszno i gorąco! Niesposób ustać w jednym miejscu. Znów się więc posunęliśmy parę kroków ku przodowi. Koniec jednak ze zdziwieniem. W tym kościele, jak w lesie: im dalej w kościół, tym więcej wilków.

Nieopodal, w cieniu konfesjonału stoi sobie właśnie buchalter Zajączkowski. Gorzej wygląda niż wówczas, gdy go widzieliśmy po raz ostatni. Cerę ma poszarzałą, a w pochylonych plecach znużenie. Nie dostrzegł nas, przymknął bowiem akurat oczy i w ogóle wygląda na człowieka, który myślami jest gdzieś bardzo, bardzo daleko.

Znów za konfesjonałem, przy bocznej kaplicy, dostrzegamy drugiego z owych młodych ludzi spotkanych przez nas rok temu w biurze Dudy. Ten również jest zamyślony. Na sobie ma amerykański wojskowy dress, w ręku trzyma czapkę politechniki warszawskiej. Cie-

kawe, czy domyśla się, że jego kolega i inni znajomi znajdują się tak blisko?

Nim jednak zdążyliśmy odpowiedzieć sobie na to pytanie, wzrok nasz począł szukać nowych odkryć. Ponieważ jednak filar przysłaniał nawę środkową, znów się odrobinkę posunęliśmy we właściwym kierunku. Nareszcie! Widok na ławki przed głównym ołtarzem stał przed nami otworem. Tylko teraz spokojnie! Żadnego prześlizgiwania się wzrokiem, żadnego gorączkowego myszkowania. Oczy na baczność i równo nimi naprzód marsz!

Tak uczyniliśmy i po chwili, chociaż było gorąco jak w czterech łaźniach, nam zrobiło się jeszcze cieplej. W trzeciej, nie! — w czwartej ławce od ołtarza, tuż przy środkowym przejściu, siedział nasz bohater. Witaj, Duda! Dzień dobry, przyjacielu! Jednak było nie było, od trzydziestu dwóch lat wiernie ci towarzyszymy, więc mógł się człowiek przyzwyczaić do ciebie, a nawet przywiązać. Zdaje się, że znowu cokolwiek przytyłeś, a w każdym razie kark ci na pewno zmężniał, w ramionach też się wydajesz silniejszy niż w roku ubiegłym. Lecz jakich rozmiarów dosięgła twoja dawna dziecięca piąstka? Czy podrosła od naszego ostatniego spotkania? A co z twymi siedmiomilowymi butami? Ileż pytań się ciśnie! Lecz cierpliwości, na wszystko przyjdzie odpowiednia pora. Wprawdzie nabożeństwo trwa długo, lecz nie wieczność, doczekamy się więc jego końca. A na razie radujmy się, że odszukaliśmy przyjaciela, że jest zdrów, dobrze wygląda i ma ładną żonę, ponieważ w siedzącej przy nim młodej, o pulchnym karczku brunetce w słomkowym kapeluszu z dużym rondem łatwo możemy się domyślić pani Dudziny. Natomiast jej sąsiad po stronie prawej, łysawy mężczyzna o podłużnej twarzy i mocno zarysowanym podbródku, to — rzecz jasna — wspólnik Dudy z czasów okupacji, mecenas Liszka.

Kim jednak może być inny mężczyzna, który odwrócił się właśnie w trzecim rzędzie ławek i dojrzawszy siedzącego z tyłu Dudę zamienił z nim ukłon? W sile wieku, przysadzisty i tęgi, z podpuchniętymi lekko oczyma i wątrobianymi plamkami na twarzy i dłoniach... Kogóż on, u licha, przypomina? Jakieś stare, bardzo odległe wspomnienie drgnęło w pamięci. W czasie okupacji spotkaliśmy tego pana? We wrześniu? Lecz nikłe wspomnienie pociąga nas jeszcze dalej i dalej w miniony czas. Ależ tak, oczywiście! Taką samą przecież sylwetkę, jak ów mężczyzna siedzący w trzecim rzędzie ławek, miał w swoim czasie pan Jan Jaśkiewicz, gdy jeszcze był w pełni sił i energii. Takim samym nawet ruchem poruszał się, gdy wyszedłszy na chwilę ze sklepu

przy ulicy Dobrej zatrzymywał się na chodniku z założonymi do tyłu rękoma i odwracał głowę, aby ogarnąć spojrzeniem swój interes. Jasne więc, że mężczyzną, który nas zainteresował, jest syn starego kupca, profesor Uniwersytetu Jagiellońskiego, Teodor Jaśkiewicz, a wysoką i chudą panią obok — jego żona, bratanica prałata, dzisiaj już arcybiskupa Kulfana. Lecz gdzie i kiedy, a przede wszystkim po co uczony badacz sanskrytu, a zarazem jeden z przywódców mikołajczykowskiego PSL-u zapoznał się z dawnym chłopcem na posyłki swego ojca? Cierpliwości! Wszystko wiedzieć, to nie znaczy wszystko powiedzieć od razu. Na razie, jak to słusznie przewidzieliśmy, niedzielna msza dobiega końca, czas więc skierować się ku wyjściu, aby później w tłoku nie zgubić z oczu naszego przyjaciela i przed kościołem przypomnieć się jego łaskawej pamięci. Tak też uczyniliśmy.

Na Rynku niewiele się w czasie naszej nieobecności zmieniło. Słońce się tylko nieco wyżej wdrapało na niebo i taki żar stamtąd leciał, iż wszystko na placu — ludzie i budynki — skwierczało, jak skwarki na patelni. Nawet dziarski hejnał upłynnił się w tym upale i jak podgrzana świeca skapywał z mariackiej wierzy. Mimo to niestrudzeni waluciarze w przewidywaniu końca nabożeństwa coraz tłumniej ściągali z różnych stron i pojedynczo, we dwóch lub w większej nawet ilości obstawiali wszystkie wyjścia wiodące z kościoła. Niebawem organy jeszcze głośniej huknęły i ludzie poczęli opuszczać kościół.

Uwaga teraz! Już pierwsi z naszych znajomych znaleźli się na Rynku. Rosły blondyn w długich butach zamienia właśnie kilka słów z byłym starostą, po czym przyśpiesza kroku, żeby dogonić panie Sulemirskie. Młoda śpieszy się na Sławkowską, do gospody „Jak w domu", gdzie pracuje przy barze, natomiast starej hrabinie również się śpieszy, musi bowiem wykończyć swoje codzienne zamówienie na dwa torty orzechowe oraz w związku z bliskim wybuchem wojny musi spakować co najmniej jeden kufer, aby nie zostać zaskoczoną przez sprzyjające okoliczności i natychmiast, gdy tylko pozwolą, ruszyć w drogę do majątku na Ukrainie. Wobec tak licznych obowiązków młodzi żegnają starą hrabinę i razem idą na Sławkowską, a starsza pani w towarzystwie kuzynki, siedemdziesięcioletniej Bini Mostowskiej oraz jej wnuka, Misia Putanowicza, wraca do swojej kamieniczki na ulicy Garncarskiej. Zresztą młody Putanowicz żegna niebawem obie panie, śpieszy się bowiem na śniadanie u bawiącego przejazdem w Krakowie amerykańskiego ambasadora. Na śniadaniu tym szczególnie mu zależy, ponieważ chciałby przy tej okazji omówić sprawę przewiezienia za granicę rodzinnych zbiorów.

Tymczasem przy byłym staroście widzimy kogoś nowego. Jest to mężczyzna wzrostu raczej średniego, łysawy, o lekko pałąkowatych nogach kawalerzysty. Przegapiliśmy go w kościele, lecz któż się mógł spodziewać, iż człowiek, którego tak niedawno oglądaliśmy na Václavskim Namesti w Pradze, już zdążył się znaleźć w Krakowie. Mimo ożywionej rozmowy bystre oczy byłego starosty, od młodych lat przywykłe do rozpoznawania ludzi, natychmiast dostrzegły studenta politechniki w wojskowym dressie, ledwie ten wyszedł z kościoła. I już go widzimy przy młodym chłopcu. Ten robi wrażenie zmieszanego spotkaniem. Na krótkie pytania swego dawnego dowódcy odpowiada z wyraźnym przymusem. W pewnej chwili potrząsa przecząco głową. Wtedy twarz tamtego pochmurnieje. Jeszcze jedno krótkie pytanie pada. Teraz chłopak waha się. Stoi z utkwionymi w ziemię oczami i w spotniałych dłoniach mnie czapkę. Losie, młodzieńczy losie! Przybądź i podeprzyj tego chłopca w jego trudnej chwili, dodaj mu sił, dodaj odwagi, niech się nie da oszukać i nie pozwoli zgubić. Widać, że dokonanie wyboru musi być dla niego szczególnie ciężkie. Jeszcze się nie zdecydował. Wciąż milczy. Ta chwila przedłuża się. A może tylko nam wydaje się tak długa? Nareszcie! Chłopak nagle się wyprostował i śmiało patrząc tamtemu w oczy, powiedział coś. Nie dosłyszeliśmy, rzecz prosta, słów, lecz z twarzy starosty, gdy odwrócił się plecami do młodego człowieka, możemy się ich domyślić.

Teraz wychodzi z kościoła Arkady Pająk. Ten ma pamięć do ludzkich twarzy! Otwierając przed wiadomą konferencją u prezesa Bajorka drzwi prokuratorowi i staroście raz tylko jeden widział tego ostatniego, a przecież, choć od tamtej chwili dwa lata upłynęły, natychmiast go rozpoznał. Miał jednak widocznie ważne powody po temu, aby uniknąć spotkania z dawnym gościem swego pana, dojrzawszy bowiem tamtego, nie za szybko i nie za powoli odwrócił się, jakby coś sobie przypomniał i podążył w odwrotnym, niż zamierzał, kierunku. Niemniej jednak dostrzegł go i rozpoznał były starosta z innych wprawdzie przyczyn niż dawny szatniarz, lecz również pies na ludzkie twarze. A ponieważ i jemu nie zależało na spotkaniu z byłym lokajem prezesa, również nie za szybko i nie za powoli odwrócił się, jakby coś sobie przypomniał i podążył w odwrotnym, niż zamierzał, kierunku. W ten sposób obaj nasi znajomi wzbogaceni informacją o wzajemnym istnieniu, lecz ubożsi o nieznajomość obustronnego charakteru tej wiedzy, rozeszli się w przeciwnych kierunkach: Arkady Pająk do siebie, na ulicę Sebastiana, na skromny obiad w przestronnym pięciopokojowym mieszkaniu, które — puste za dnia — w póź-

nych godzinach wieczorowych zapełniało się zwolennikami pokera oraz intymnych rozrywek; natomiast starosta (cóż po jego nazwisku, gdy i tak trzecie czy czwarte z kolei już nosi) wspólnie z przyjacielem z Pragi udali się na przekąskę przed ważną konferencją z paroma działaczami z PSL-u, po której czekało ich równie ważne spotkanie na herbacie u profesorowej Jaśkiewiczowej z angielskim attaché wojskowym.

Gdzież jednak tak niecierpliwie śpieszy nasz młodziutki goniec HISTORII? Ojca, przedwojennego majora, ma w Londynie, matkę stracił w powstaniu, a dalecy kuzyni, u których mieszka kątem, byliby raczej zadowoleni, gdyby swoją nieobecnością nie umniejszył ich niedzielnego obiadu. Toteż jasnowłose chłopię w shortach bynajmniej nie kieruje swych długich i opalonych nóg w stronę ulicy Diettla, gdzie w typowo krakowskim mieszkaniu zawalonym starymi gratami jedzą niedzielny rosół jego kuzyni: on — urzędnik bankowy cierpiący na nadkwasotę, ona — dewotka z dotkliwymi komplikacjami kobiecymi. Inne i o wiele bardziej atrakcyjne sprawy go czekają. Najpierw musi załatwić dla Dudy drobny interes walutowy, później ma odwiedzić pewną właścicielkę drogerii, samotną starszą panią, która lubi dla swoich młodych gości przyrządzać czekoladę z kremem, następnie chce zdążyć do kina na film amerykański, a wieczorem czeka na niego składkowa wódka u jednego z kolegów. Jest się więc do czego śpieszyć.

Natomiast tuż obok nas przesunął się buchalter Zajączkowski. Pochylony w plecach i zamyślony, nie zauważył nas i tym razem. Co się z tym człowiekiem zrobiło! Wyraźnie coś mu dolega, jakiś robak go gryzie. Lecz co go gnębi, dlaczego tak przygasł? Nikogo z bliskich w czasie wojny nie stracił. Po powstaniu i on, i jego żona, i córka uniknęli szczęśliwie obozu. W Krakowie urządził się nienajgorzej. Znalazł dwupokojowe mieszkanie, żona wróciła do swego zawodu nauczycielki, a córka dobrze się uczy i w przyszłym roku ma zdać maturę. Biedę więc może cierpi? Przeciwnie. Nadal, jak za okupacji, pracuje przy Dudzie, więc lepiej mu się wiedzie, jak to słusznie w swoim czasie zauważył jego szef, niż przed wojną na posadce buchaltera. Czegóż mu więc brak? Wilczego losu żałuje? Za dawnymi latami tęskni?

Trudno się nam jednak dłużej przy jego troskach zatrzymać, bo oto wśród ostatniej grupy ludzi wychodzących z kościoła ukazuje się Duda z żoną i mecenasem Liszką. Zadowolenie maluje się na szczerej i otwartej twarzy naszego przyjaciela. Nic dziwnego! Właśnie przed chwilą, gdy opuszczając kościół zanurzył palce w kropielnicy, profesor Jaś-

kiewicz czyniąc to samo powiadomił go szeptem, że w niedalekiej przyszłości, najpewniej jeszcze dzisiaj wieczorem będzie potrzebował jego pomocy. „Ile?“ — spytał Duda przeżegnawszy się wilgotnymi palcami. Profesor również się przeżegnał i wymienił sumę, nawet jak na dolary bardzo znaczną. „W porządku — powiedział na to Duda. — O której chcesz pan profesor? Siódma?“ Lecz sanskrytolog słusznie przewidując, że herbata u żony może się cokolwiek przeciągnąć, wolał godzinę nieco późniejszą, na przykład ósmą. Duda zgodził się i właśnie przebieg tej krótkiej, lecz w treść bogatej rozmowy zaznaczył się na jego twarzy zadowoleniem w chwili, gdy go ujrzeliśmy.

Lecz czy pozna nas? — ogarnął nas niepokój, ponieważ pisarza, gdy w grę wchodzi jego własna osoba, podobnie jak jasnowidza opuszcza dar przewidywania. Okazało się jednak, że poznał, rozmowę pamiętał i co najważniejsze chętnie się zgodził, aby dokończyć ją zaraz, po drodze na obiad, który wspólnie z żoną i przyjacielem zamierzał zjeść w „Jak w domu“. Tak więc osiągnięty został główny cel naszej podróży do Krakowa, bowiem w przyjaznym sam na sam z Dudą poszliśmy sobie przez Rynek w kierunku Sławkowskiej, a ponieważ szliśmy wolno, pani Dudzina oraz prowadzący ją pod rękę mecenas Liszka szybko nas wyprzedzili.

Po wstępnych grzecznościach z naszej strony, że ogromnie się cieszymy, że bardzo nam miło i t. d., tak oświadczyliśmy:

— Szanowny panie Duda! Nie będziemy panu zabierać czasu pytaniami, jak się panu powodzi i jak pan żyje. Wiemy przecież, że mimo strat poniesionych w Warszawie potrafił pan nie tylko je wyrównać, lecz jeszcze powiększyć swój majątek...

— Nie mogę narzekać — zgodził się Duda.

— Wiemy także, że założone przez pana i mecenasa Liszkę przedsiębiorstwo przewozowe funkcjonuje bardzo dobrze i trzy pańskie ciężarówki stale kursują pomiędzy ziemiami odzyskanymi i Krakowem.

— Mylisz się pan — poprawił nas Duda z tym samym zadowolonym wyrazem twarzy, który miał opuszczając kościół. — Trzy były, a od jutra będą cztery.

Powinszowaliśmy Dudzie tego sukcesu i rzecz swoją ciągnęliśmy dalej:

— Że ma pan pięknie urządzone mieszkanie na Karmelickiej...

— Owszem, niczego sobie.

— Że zdrowie panu dopisuje, wszystko to wiemy. Słyszeliśmy również, że małżonka już nie pracuje...

— A po co ma pracować? — odparł na to nasz bohater. — Młoda i przystojna kobita nie powinna, panie, pracować. Ożeniłeś się już pan?

— Jeszcze nie.

— To się pan lepiej nie żeń, jak pan nie masz forsy. Ładna kobita, panie, powinna o siebie dbać, elegancko się ubierać, szyk mieć i w ogóle. A to wszystko kosztuje, sam pan rozumiesz.

— A co w takim razie mają robić ludzie niezamożni?

— Nic się pan nie martw — odparł Duda. — Brzydkich kobiet nie brak, starczy dla wszystkich.

— Słusznie, rzeczywiście starczy — zgodziliśmy się. — Ponieważ jednak wszystkie te sprawy są nam na ogół znane, chcielibyśmy uzupełnić sobie obraz szanownego pana pytaniami z innej nieco dziedziny. O czym pan na przykład najchętniej myśli?

— O czym ja myślę? — powtórzył Duda.

I przystanął koło słupa z rozplakatowanymi ogłoszeniami.

— Widzisz pan? — wskazał palcem na wielki afisz. — W Casanowie zmienili program. Liliputy będą występować. Lubisz pan karzełki?

Powiedzieliśmy, że niesłychanie lubimy karzełki.

— Ja też — ucieszył się Duda. — Pojęcie pan masz, co to za interes być takim liliputem? Pieniędzy w bród, karmią, ubierają, na rękach noszą, rajskie życie.

Skręciliśmy właśnie w Sławkowską. Grupa stojących na rogu waluciarzy pozdrowiła Dudę ukłonami.

— Wracając więc do naszej rozmowy... — zaczęliśmy.

Duda skinął głową.

— Właśnie! O coś pan pytał?

— O czym pan najchętniej myśli?

— Aha! Najchętniej. Chytre, panie, pytanie. Dużo przecież człowiek myśli. Ale najchętniej? Różnie bywa. Jak człowiek głodny, to o czym ma myśleć? O jedzeniu myśli, nie? A jak mnie w zeszłym miesiącu szewc za ciasne buty zrobił, to wiesz pan o czym cały dzień myślałem?

— ?

— Nie wiesz pan? No o czym może człowiek myśleć, jak wybulił grubą forsę na buty i nie może w nich chodzić?

— O wygodnych butach — spróbowaliśmy się domyślić.

— Ech, też się pan wybrałeś! Widać, że głowy do interesów, to pan nie masz. Komu ciasne buty sprzedać, myśli człowiek.

— I co, sprzedał pan?

— A co pan sobie wyobrażasz? Pewnie, że sprzedałem. Jeszcze zarobiłem.

— A jak pan ocenia obecną sytuację polityczną? — spytaliśmy z kolei. — Niektóre pańskie przewidywania sprzed roku niezupełnie się sprawdziły.

— Nie szkodzi — odparł Duda. — Jak się nie sprawdziły, to się sprawdzą.

— Jak pan to sobie wyobraża?

— Jak to jak? Zwyczajnie. Dlaczego, myślisz pan, zaprosili Mikołajczyka do rządu?

— Dlaczego?

— Nie wiesz pan, czy też naiwniaka odstawiasz? Strach ich obleciał.

— Przed czym?

— Jak to przed czym? W ogóle. Polacy, panie, są patriotycznym narodem i rząd muszą mieć silny, owszem, zgadzam się, ale rząd musi być narodowy, nie komunistyczny.

— Przewiduje więc pan?

— Co tam przewiduję! Więcej niż własnej głowy jestem pewien, że najdalej za pół roku Mikołajczyk ogłosi się premierem. Widziałeś pan, co się dzisiaj działo w kościele?

— Widziałem.

— No więc!

— Sądzi pan, że ludzie stali się tacy religijni?

— Religia, panie, to prywatna sprawa, a kościół to co innego.

— A nie sądzi pan, że reformy podjęte przez rząd, na przykład reforma rolna czy upaństwowienie ciężkiego przemysłu mogą u nas na lepsze zmienić warunki życia?

— Czyje warunki? Chyba pańskie, bo moje nie.

— Mówimy w sensie ogólnym...

— Zawracanie, panie, głowy! Co grabież ludzkiej własności może zmienić na lepsze. Człowiek, panie, już taką ma naturę, że najlepiej pracuje, jak pracuje na swoim i dla siebie.

— Do tej pory robotnicy nie pracowali zdaje się na siebie?

— A na kogo? Na mnie może pracowali?

— Ale na prezesa Bajorka na przykład.

— Zawracanie, panie, głowy! Co Bajorek ma do tego? Z czego niby żyli robotnicy? Kto im dawał pracę? Pan im dawałeś? Nie. A Bajorek dawał. Nic pan nie mów o Bajorku, mądry był chłop. A zresztą gdzie jest powiedziane, że robotnik, jak ma głowę na karku, musi przez całe życie być robotnikiem? Słyszałeś pan chyba, że miliarderzy amerykańscy zaczynali od gazeciarzy i pucybutów i proszę, do czego doszli! Wszystko to, panie, zawracanie głowy. Ja osobiście nie mam nic przeciwko socjalizmowi, broń Boże. Owszem, przyznaję, że zasady w socjalizmie bardzo piękne. Chrystus też był komunistą. Tylko co z tego, że zasady piękne, kiedy nieżyciowe? Człowieka pan nie odmienisz, szkoda gadać. Zawsze jeden będzie miał więcej, a drugi mniej, jeden na wódkę i dziwki wyrzuci pieniądze, a drugi grosz odłoży i uciuła sobie sporo gotówki. Trzeba trzeźwo, panie, patrzeć na życie, a nie bujać po obłokach. Masz pan przykład z Rosją. Jedna bomba atomowa starczy i cały bolszewizm się rozleci. Mówię panu!

To powiedziawszy przystanął, ponieważ doszliśmy już do kamieniczki, w której u końca mrocznej i nisko sklepionej sieni mieściła się gospoda „Jak w domu".

— Tak to jest — powiedział Duda. — Technika teraz, panie, to grunt. A Ameryka teraz w technice najsilniejsza. No, jak tam, masz pan jeszcze jakie pytanie?

— Pytań by nie zbrakło — odpowiedzieliśmy — ale ze względu na porę...

Nasz bohater spojrzał na swoją złotą Doxę.

— Słusznie, pora, powiedziałbym, obiadowa, a regularne odżywianie się — to połowa powodzenia, pamiętaj pan. Do zobaczenia zatem. A jak pan o mnie coś skrobniesz...

— Oczywiście, naturalnie! — zapewniliśmy naszego przyjaciela.

— Co prawda teraz i tak nic porządnego nie pozwolą wydrukować. Ale nie szkodzi, niedługo będzie inaczej.

I dostrzegłszy na naszej twarzy zrozumiałe z powodu rozstania zmarkotnienie, poklepał nas życzliwie po ramieniu.

— Głowa do góry, młody człowieku! Wszystko będzie dobrze, nic się pan nie martw. Nie w takich tarapatach bywała Polska i jednak szczęśliwie z nich wychodziła. Pamiętasz pan Potop? No, właśnie! Mikołajczyk, panie, ma głowę na karku, wie, co robi, a Ameryka i Anglia nie zapomną o nas. Nic się więc pan nie bój, czas szybko leci. Ile wojna trwała? Sześć lat. I co? Sześć lat minęło, aniśmy się obejrzeli. Zobaczysz pan, za sześć lat kraju pan nie poznasz...

I czas rzeczywiście szybko pomknął. Zadudniły jego motory. Zahuczały śmigła. Blask wzbił się od skrzydeł. Potężny podmuch rozszedł się dokoła. Nic, że droga niełatwa i wśród niebezpieczeństw. Nie groźne krótkie burze, ani wiatry zdradliwe, ani złe chmury gromadzące się od Zachodu. Los-młodzieniec mocno trzyma ręce na kierownicy, wzrok natężył, czujność zaostrzył i zrośnięty z każdym drgnieniem pędzącego czasu prowadzi go coraz pewniejszą dłonią.

Z godziny na godzinę zmienia się pejzaż. Gdzie jeszcze wczoraj czerniały zgliszcza i wśród martwej ciszy ciągnęły się rude ruiny, dzisiaj wznoszą się jasne mieszkalne domy, zielenieją wiosną drzewa i rozlega się śmiech dzieci. Im dalej, tym ziemia piękniej i bujniej rozkwita nowym życiem. Coraz gęściej zarysowują się mury fabryk. Dymią martwe niedawno kominy. Stal płynie z hutniczych pieców ognistymi strumieniami. Dźwigi wznoszą się na wybrzeżach portowych. Lekkie łuki mostów migocą ponad rzekami. Kiełkują młode lasy. Wartkie wody przekształcają się w światła i huk maszyn. Traktory przeorywują pola. Szosy wdzierają się w głąb jałowych pustkowi... I tak oto wśród tych odmian, coraz to nowe na zdobywanej przestrzeni ogarniając, pędzi naprzód zwycięski czas. Pędzi i potężnieje. Coraz mocniej dudnią jego motory. Coraz głośniej huczą śmigła. Od ludzkich serc nabiera sił. Rośnie. Porywa gorącym podmuchem stojących z boku. Obala usiłujących stanąć mu w poprzek. Roztrąca ciemne chmury. Miażdży zdradzieckie wiry. I sześć lat minęło.

Jest rok pięćdziesiąty pierwszy. Wiosna. 1 Maj.

Gdy czoło pochodu ruszyło pod czerwonymi sztandarami — nasz stary znajomy, przed wojną bezrobotny metalowiec, rikszarz za okupacji, a teraz od roku pierwszy sekretarz partii w jednym z województw zachodnich, wyprostował się i uśmiech rozjaśnił jego jeszcze bardziej niż dawniej zaostrzone rysy twarzy. Przestrzelone przed pięcioma laty płuco dokucza mu niejednokrotnie i teraz też odczuwał pod łopatką lekki, kłujący ból. Lecz nie myślał o nim.

Z trybun wzniesionych przed nowym gmachem partii roztaczał się jak okiem sięgnąć rozległy widok na nieprzebrane mrowie tysięcy ludzkich głów, sztandary, maszty, proporce i transparenty, portrety i emblematy. Byli tu ludzie z całego kraju i wszystkich zawodów. Starzy i młodzi. Kobiety i mężczyźni. Uczeni i sportowcy, włókniarki i inżynierowie, metalowcy i urzędnicy, chłopi ze spółdzielni produkcyjnych i żołnierze, górnicy i rybacy, ekspedientki i lekarze. Nowa młodzieńcza Warszawa zabiła jeszcze gorętszym niż zwykle odświęt-

nym rytmem. Jesteśmy w drugim roku Planu Sześcioletniego. W dłoniach wznoszących się oklaskami ponad tłumem, w okrzykach i skandowanych pozdrowieniach huczą górnicze młoty, tętni pulsowanie maszyn, stukają murarskie kielnie, pobrzmiewają głosy wiejskich dzieci recytujących wiersze Mickiewicza, dudni warkot traktorów. Akurat chmara gołębi wzniosła się niebieskim obłokiem ponad pochodem. Czerwone sztandary kołyszą się w słońcu. Idą ludzie i idą...

W pewnej chwili nasz stary znajomy przechylił się przez balustradę trybuny i pozdrowił zetempowca maszerującego w pochodzie. Tamten dostrzegł go, piegowata twarz rozjaśniła mu się, oczy zaśmiały i podniósłszy obie dłonie potrząsnął nimi nad głową. Rzecz jasna, że to Janek Piętka, jeden z najlepszych i najsławniejszych murarzy warszawskich. Któż z mieszkańców stolicy nie zna jego wesołej twarzy z opadającym na czoło kosmykiem rudawych włosów? Wielokrotny przodownik i racjonalizator, odznaczony Złotym Krzyżem Zasługi za pracę przy budowie trasy W—Z, a teraz jeden z budowniczych MDM — minął już trybunę, lecz jeszcze raz się odwraca, aby dojrzeć sylwetkę dawnego przyjaciela. Ileż wspomnień musiało w tej chwili odżyć w pamięci obu!

Lecz my już innych naszych znajomych dostrzegamy w pochodzie. Oto wśród licznych delegatów z podkrakowskiej Nowej Huty widzimy młodego inżyniera, z którym rozstaliśmy się sześć lat temu przed kościołem Mariackim w momencie, gdy po długim wahaniu, mnąc w spotniałych dłoniach studencką czapkę, powziął był ważną decyzję. Znów nieco dalej idzie Wiktor Kłos. Jest w mundurze oficera Bezpieczeństwa. Ma na ramionach dwie gwiazdki, a na piersi kilka orderów. A teraz cóż to za zetempowiec maszeruje mocnym, męskim krokiem w grupie uczniów i profesorów warszawskiego liceum technicznego? Przecież to dawny młodziutki goniec HISTORII. Wyrósł, zmężniał, lecz włosy mu nie przyciemniały, pozostały tak samo płowe jak wówczas, gdy ich posiadacz po wysłuchaniu niedzielnej sumy zniknął szybko pod arkadami Sukiennic, mknąc niecierpliwie ku swoim rozlicznym i raczej dość podejrzanego gatunku zajęciom. Lecz to bardzo dawne czasy i w tym wypadku nie ma po co ich odgrzebywać. Los-młodzieniec nie jest pamiętliwy i nie wypomina człowiekowi błędów, jeśli ten sam się od nich odwrócił. Zresztą już inni ludzie przysłonili naszego zetempowca. Spośród sztandarów i transparentów wznosi się skandowane rytmicznie tysiącem głosów słowo: pokój. To samo słowo, lecz wzmocnione i wyżej ponad falującym tłumem rozbrzmiewające, powtarzają radiowe głośniki.

Uwaga jednak! Czy nas oczy przypadkiem nie mylą? Maszeruje właśnie wrocławski Pafawag, a pomiędzy dwoma robotnikami — oczywiście! — wysoki i szpakowaty mężczyzna w szarym garniturze z odznaką przodownika pracy w klapie marynarki — to buchalter Zajączkowski. Nic dziwnego, że się w pierwszej chwili zawahaliśmy. Przecież to zupełnie inny człowiek niż przed sześcioma laty. Przybyło mu wprawdzie na skroniach siwych włosów, za to twarz odmłodniała, oczy nabrały blasku, plecy wyprostowały się, widać, że myślami nie jest nieobecny. To świetnie! Dobrze, gdy ludzie mają proste plecy i oczy ciekawe życia. Dobrze, jeśli ludziom jest dobrze.

Nie zmącimy chyba jednak radosnego nastroju święta, gdy powiemy, że spośród licznych naszych znajomych, którzy przewinęli się koło nas w związku z niniejszą historią Tomasza Dudy, nie wszystkim los-młodzieniec mógł okazać serce i życzliwość. Nie myślimy już nawet o młodzieńcu w długich butach i luźnej marynarce, ponieważ jeszcze w czterdziestym szóstym roku został zastrzelony w czasie bandyckiego napadu na lokal komitetu gminnego w jednej wsi na Podhalu. O pannie Sulemirskiej również nie myślimy, nie ma jej bowiem w kraju od czterech lat, a stara hrabina jeszcze dawniej zmarła wskutek ciężkich obrażeń, jakich nabawiła się pewnego dnia, gdy zleciał na nią kufer ściągany z antresoli. Oddajmy więc wilczemu losowi, co wilcze; arcybiskupowi Kulfanowi, co przez kościół odprowadzone w zaświaty, a sami zajmijmy się garstką znajomych, którzy wprawdzie żyją i znajdują się w kraju, lecz pod kluczem.

I tak święto pierwszomajowe tylko przez głośnik radiowy dociera do trzech naszych dość starych znajomych czekających w więzieniu śledczym na niedaleki proces. Pierwszym z nich jest mąż ciotki Walerii Dudzianki, były starosta z kresów wschodnich. Drugim —przedwojenny kapitan dwójki, ten sam, co w swoim czasie przybył z Pragi do Krakowa. Trzecim wreszcie — prokurator, którym dawnymi szczęśliwymi laty uzyskał awans dzięki rozsądnej interpretacji akt dotyczących słabych żołnierskich żołądków, a znalazłszy się po wojnie w Londynie począł z nostalgii za ojczyzną odwiedzać kraj, aż na koniec za trzecim przyjazdem ukojono jego tęsknotę. Wszyscy trzej gorliwie się teraz przygotowują do procesu. Starosta pisze obszerny memoriał, w którym usiłuje wybielić siebie za cenę szczegółowego ujawnienia wszystkich swoich dawnych i obecnych kontaktów. Kapitan dwójki obmyśla argumenty, które by umożliwiły mu ofiarowanie swych usług nowemu ustrojowi, a prokurator dokształca się ideowo i właśnie kończy lekturę Zagadnień leninizmu.

Arkady Pająk także daleko poza sobą ma piękne czasy. Do niepowrotnej przeszłości należy pięciopokojowe mieszkanie na ulicy Sebastiana. Dzisiaj odnaleźć możemy dawnego szatniarza w obozie pracy. Również tylko za pośrednictwem głośnika docierają głosy świątecznej radości do profesora Jaśkiewicza. Badacz sanskrytu i literatury staroindyjskiej ma już proces poza sobą i nawet o całe trzy lata zdążył mu się skrócić otrzymany wyrok. Lata rzeczywiście szybko biegną. Przecież to nieomal wczoraj na niedzielnej herbacie popołudniowej angielski attaché wojskowy wręczał profesorowi pakieciki, po które, jak pamiętamy, w myśl króciutkiej rozmowy przy kropielnicy w kościele Mariackim miał się zgłosić o ósmej wieczorem pan Duda. A dzisiaj?

Dzisiaj — rzecz prosta — jest dzisiaj. Lecz gdzież dzisiaj jest nasz bohater? Co porabia nasz zadufek całkowity, bo przecież od ostatniej rozmowy mamy nareszcie prawo tak go nazwać. A może zrzucił z siebie w porę stary kożuch, gdy ten przestał mu służyć i coraz dokuczliwiej począł zawadzać? Może... Lecz nie uprzedzajmy wydarzeń. Nie dopuśćmy, żeby królik z bajki spojrzał na nas ze słusznym zgorszeniem. Rozwalajmy starą formę powieściową, owszem, lecz burząc trzymajmy się zasad.

Otóż 1 maja tysiąc dziewięćset pięćdziesiątego pierwszego roku Duda wstał z łóżka jak zwykle o godzinie dziewiątej. W stosunku do ludzi pracujących już od dość dawna znajdował się w sytuacji uprzywilejowanej i nigdzie nie musiał się śpieszyć, od kiedy bowiem ostatni teren jego działalności, a mianowicie sklep z konfekcją na ulicy Marszałkowskiej, w związku z budową MDM uległ przymusowej likwidacji — Duda stał się niepodzielnym panem swego czasu. Wstawał zaś o dziewiątej, ponieważ zawsze lubił dużo sypiać i sen niezmiennie miał dobry, a również i dlatego, iż wolał zaczynać dzień wówczas dopiero, gdy z mieszkania wynieśli się wszyscy lokatorzy.

Kiedy w roku czterdziestym szóstym, pod wpływem przykrych niepowodzeń, jakie dotknęły firmę przewozową oraz coraz liczniejszych obław na ludzi dziobiących przechodniów skośnymi spojrzeniami ograniczyć musiał zasięg interesów, a wkrótce potem poszukać nawet nowego dla siebie terenu — zdobycie w Warszawie samodzielnego mieszkania nie było wprawdzie łatwe, lecz nie przekraczało możliwości człowieka z głową na karku i pieniędzmi w kieszeniach. Zdobył więc Duda pomieszczenie nieduże wprawdzie, bo zaledwie dwa pokoje z kuchnią, za to w samym śródmieściu i traf zrządził, że na tej samej ulicy Widok, na której dawno, dawno temu jako skromny ekspedient odnajmował

sublokatorski pokoik wraz z życiowymi udogodnieniami. Ostatnią więc z czterech ciężarówek, jaka uniknęła przykrych kontaktów z władzami, przewiózł Duda do stolicy część rzeczy z ulicy Karmelickiej, urządził się i zaczął nowe życie na starych warszawskich śmieciach. Niestety zaczął je sam, ponieważ na krótko przed przeprowadzką żona opuściła go, wyjeżdżając w nieznanym kierunku wraz z mecenasem Liszką, biżuterią i pewną ilością waluty.

Odejście żony zniósł Duda nadspodziewanie lekko, a stratę, jaką poniósł, obliczył raczej w dolarach niż w nieuchwytnych odruchach uczuciowych. Gdzież zresztą było człowiekowi do sentymentalnych wzruszeń? Nadszarpnięte interesy należało przede wszystkim podreperować. Rozglądać się więc począł, czego się chwycić, aby straty wyrównać i znów ruszyć przed siebie siedmiomilowymi krokami. Lecz po niezłych początkach coś się zaczęło psuć w dobrze od tylu lat funkcjonującym mechanizmie zniżek i zwyżek, transakcji z lewej ręki i gromadzenia poszukiwanych a cennych towarów. Bo co zrobił większy krok, to się pośliznął, jakby szedł nie po twardej i pewnej drodze, lecz po zbyt wyfroterowanej posadzce. A co się rozpędził i skoczył, to głową o jakąś niezauważoną przeszkodę stuknął. Niektórzy po kilku takich nieudanych doświadczeniach mieli dość i zaniechawszy dalszych prób wycofywali się na bezpieczne pozycje. Więc jeden przycupnął na skromnej prowincjonalnej posadce, drugi wziął się, a raczej wrócił do pracy fizycznej, inny nabrał raptem ochoty do uczenia się, a znalazł się nawet taki, co ordynarnie plecami odwrócił się do swojej przeszłości, ożenił się z dziewczyną z ZMP i tak się zabrał do pracy, że w niespełna rok został przodownikiem.

Duda — rzecz jasna — nic podobnego nie uczynił, był bowiem człowiekiem twardym i z charakterem. Nabił sobie guza, trudno! — zakleił guz plastrem. Stłukł tyłek — roztarł go. I jednak mimo licznych siniaków udało mu się na koniec tak skoczyć, że obiema nogami i równo wskoczył w bezpieczny interes: otworzył, mianowicie, sklep z konfekcją w dobrym punkcie, na Marszałkowskiej, jak było powiedziane. Towar trzymał u siebie tylko pierwszorzędny: angielskie materiały, amerykańskie koszule, jedwabie francuskie, luksus zatem, który wędrował do jego rąk bądź z przemytu, bądź z zagranicznych paczek. Szczęśliwą rękę miał Duda! Od chwili, gdy jego dziecięca piąstka drgnęła owego pamiętnego dnia wrześniowego, czego się tknął — wszystko zmieniało się w pieniądz. Więc i teraz przez rok co najmniej nylony i krawaty, komplety bielizny i flanele zmieniały się w zło-

tówki, a te w podłużne banknoty dolarowe. Lecz pod koniec roku czterdziestego ósmego i na tym terenie coś się poczęło psuć. Skurczyły się obroty, wzrosły podatki. Potem kleszcze domiarów tak poczęły człowieka ściskać, że aż żebra trzeszczały i język kołkiem w wyschniętym gardle stawał. A jeszcze potem okazało się, że za przechowywanie w większej ilości wełnianych kuponów oraz gromadzenie wielu metrów niewinnej georgetty i chifonu grozi nie tylko konfiskata towaru, lecz jeszcze olbrzymia grzywna, a nawet więzienie. I oto pewnego dnia Duda po raz pierwszy w życiu ujrzał swoje imię i nazwisko wydrukowane w gazecie, niestety wraz z komentarzem, który kosztował go grubo więcej niż w swoim czasie zdołała zabrać niewierna małżonka.

Lecz i teraz Duda ani załamał się, ani zrezygnował ze swoich ideałów życiowych. Grzywny zapłacił, pewną ilość dolarów upłynnił, co cenniejsze towary począł przechowywać u siebie w domu, wystawę sklepu upstrzył krajowymi towarami i już tylko zasługującą na pełne zaufanie klientelę ubierał w kolorowe skarpetki i nylony. I żyło się dalej. Nie takie rzeczy człowiek przechodził i jednak się nie dał. Mimo więc chwilowych trudności i wielu przykrych rozmów z przedstawicielami władz, Duda nie schudł, apetytu nie stracił i snu sobie złymi przewidzeniami nie zamącał. Przeciwnie, wyglądał zdrowo, dostatnio i solidnie, wkroczył przecież właśnie w pełnię wieku męskiego i ktokolwiek ujrzał jego szczerą, otwartą twarz, barczyste ramiona i energiczny krok, nigdy by nie odgadł, że człowiek o takim wyglądzie, dobrze ubrany i dobrze odżywiony, może mieć jakieś kłopoty. Na dobrą sprawę Duda miał właściwie jeden tylko kłopot poważny: wojna, której oczekiwał jak weksel podpisu, wciąż i wciąż się odwlekała.

Tymczasem dłonie Komisji Specjalnej poczęły sięgać również do mieszkań prywatnych, a kleszcze podatkowe zaciskały się na wilczej inicjatywie prywatnej coraz mocniej i dokładniej. Na domiar wszystkiego Urząd Kwaterunkowy, załatawszy szczeliny, przez które można było wsuwać pieniądze, wytropił pewnego dnia dwa pokoje z kuchnią na Widok i z miejsca wlepił Dudzie lokatorów, zostawiając mu do dyspozycji zgodnie z ustawą jedną tylko izbę. Wprawdzie lokatorzy, młode małżeństwo, niejacy Makowscy, wychodzili z domu wczesnym ranem i wracali dopiero późnym wieczorem, on bowiem pracował w Samopomocy Chłopskiej, a ona była instruktorką miejskiego wydziału zdrowia, jednak sam fakt, że trzeba było odtąd dzielić mieszkanie z obcymi i politycznie bardzo podejrzanymi osobnikami zaostrzył czujność Dudy. Cały więc przede wszystkim dobytek zgromadził w swoim

pokoju, porobił różne chytre skrytki i schowanka, jedne na towar, drugie na pieniądze, i wychodząc drzwi zawsze starannie na klucz zamykał.

Jednak sytuacja ta zacieśniła się, gdy mniej więcej w rok później w związku z nowym zagęszczeniem mieszkań warszawskich również i niezależność Dudy w jego własnym pokoju stanęła pod wielkim znakiem zapytania. Na szczęście w nieszczęściu nowy lokator okazał się tym razem człowiekiem stosunkowo nieszkodliwym, był nim bowiem samotny kupiec, do niedawna właściciel owocarni, która raptem w ciągu paru dni znikła wraz z całą podrujnowaną kamieniczką, aby ustąpić miejsca nowej ulicy i nowym domom.

Współżycie obu panów ułożyło się na razie dość pomyślnie. Pan Frankowski miał dużo wolnego czasu, wiele więc chodził po mieście i jego ulubionym zajęciem stała się rejestracja skaz i usterek w nowo zbudowanych domach oraz w nowych ulicznych nawierzchniach. Wieczorem obaj panowie słuchali Głosu Ameryki i uzgadniali swoje opinie co do terminu wybuchu wojny. Wkrótce potem i Duda począł od czasu do czasu towarzyszyć panu Frankowskiemu w jego spacerach, ponieważ, jak już było wspomniane, sklep z konfekcją zakończył swój żywot, a o założeniu nowego interesu w innym miejscu trudno było nawet myśleć. „Wszystko zniszczą i zrujnują" — powiedział Duda. Lecz ani schudł, ani upadł na duchu. Nawet wymianą pieniędzy nie przejął się zbyt mocno. Tyle serca miał dla dolarów, iż nie opłakiwał złotówek. Obliczył zaś, że to, co posiadał, powinno mu starczyć na trzy do czterech lat spokojnego życia. A za cztery lata? Hej, bracie!

Natomiast stosunki ze współlokatorem uległy dość poważnej zmianie, gdy ten przestał naraz chodzić na spacery, Głosu Ameryki począł słuchać nieuważnie, czasem nawet opatrując pewne wiadomości krytycznym komentarzem, aż nagle pewnego dnia zerwał się ni stąd ni z owąd z łóżka o szóstej rano, ubrał się raz dwa i wyleciał z domu, choć lał deszcz i dmuchał wiatr, dwie rzeczy, których bardzo nie lubił. Gdy tego samego dnia wrócił do domu późnym dopiero wieczorem, a następnego znów się porwał na nogi ledwie świt, Duda nie wytrzymał i zapytał o przyczynę tak dziwacznego postępowania. Wówczas pan Frankowski wyznał z lekkim zażenowaniem, iż postanowił skończyć z dotychczasowym trybem życia, wziął więc posadę, a mianowicie został kierownikiem jednego ze sklepów MHD na Mokotowie. I jak tu ludziom ufać, gdy rozumu za grosz nie mają, a charaktery mają jak rozgotowane kluski? Natychmiast po wyjściu pana Frankowskiego, nie

czekając nawet do godziny pół do ósmej, bo o tej porze parszywe politycznie małżeństwo szło do pracy, Duda zabrał się do udoskonalenia i lepszego niż do tej pory zamaskowania swych skrytek i schowanek. Od tego zdarzenia upłynęły cztery miesiące.

Wstał więc Duda w dniu 1 maja o godzinie dziewiątej, lecz przedtem już kwadrans na ósmą zbudziło go współlokatorskie krzątanie się po pokoju. Że też człowiek nigdy nie ma spokoju! Ręką jeszcze pełną senności sprawdził, czy pod poduszką znajduje się na swym miejscu koperta z podręcznymi dolarami, a gdy ją znalazł i pogładził na dzień dobry zaspanymi palcami, odwrócił następnie głowę i spojrzał w stronę swego towarzysza.

Pan Frankowski w długich kalesonach i ciepłej koszulce golił się właśnie pod oknem, dzień bowiem był pochmurny.

— Co się pan tak wcześnie zerwałeś? — spytał Duda.

— Jakto wcześnie? — odparł tamten. — Przecież 1 maj.

Na to Duda:

— To co z tego, że 1 maj? Nie idziesz pan chyba na pochód?

— Dlaczego mam nie iść? Właśnie że idę.

Przez chwilę zaległo milczenie. Parszywe politycznie małżeństwo też się już podniosło i zza ściany dochodził stłumiony dźwięk muzyki radiowej. Duda przeciągnął się pod kołdrą.

— Więc jednak zmusili pana? Zagrozili, co? Nie poszedłbyś pan, to by z posady wyleli...

— Nikt mnie wcale nie zmuszał — odparł dawny właściciel owocarni ostrożnie omijając brzytwą pryszczyk na podbródku. — Idę, bo mam ochotę. Dlaczego mam nie iść?

— Pewnie, dlaczego masz pan nie iść? Musisz pan teraz tak mówić. Ale ja i tak nie uwierzę.

— To niech pan nie wierzy. Czy ja panu każę wierzyć?

— Pewnie, że mi pan nie każesz. Pan mnie w ogóle nie możesz nic rozkazywać. To tylko pan musisz tak skakać, jak panu zagrają.

Tamten nic tym razem nie odpowiedział, ponieważ całą uwagę skupił na drugiej krostce. Wobec tego Duda znów się przeciągnął pod kołdrą, ręce wsunął pod głowę i chwilę leżał sobie bez ruchu patrząc w sufit. Wreszcie odezwał się:

— Ale, że niewesoły, to niewesoły będą mieli ten 1 maj.

— Bo co? — spytał pan Frankowski podpierając dla wygody policzek językiem. — Pański humor zaszkodzi?

— Mój humor nie zaszkodzi. Ja mam dobry humor. Dlaczego miał-

bym mieć zły humor? Ja nie muszę lecieć na pochód z wywieszonym językiem. Co innego zaszkodzi.

— Ciekawe co?

— Jakto co? To nic pan nie wiesz?

— O czym?

— Co pan udajesz! Wszyscy przecież wiedzą.

— Znowu pewnie jakieś bzdury pan wymyślił.

— Jak dla kogo bzdury. Dla nich na pewno nie bzdury. Nie słyszałeś pan, że Rokossowski zabity?

Pan Frankowski zabrał się do powtórnego namydlania twarzy.

— Kto panu takich głupstw naopowiadał?

— Przekonasz się pan czy głupstw. Londyn podawał, wszyscy wiedzą, pan tylko udajesz.

— Nic nie udaję — na to tamten. — A pański Londyn...

— Pański już nie?

— Mój, nie mój, a nakłamał. Rokossowski był wczoraj na akademii.

— Widziałeś go pan?

— Przecież w gazecie jak byk stoi, że był.

— A, w gazecie! To pan już wierzysz, co piszą w gazetach?

— Zdjęcie jest.

— To co, że zdjęcie? Zdjęcie mogło być, ale jak na nim jest Rokossowski, to chcesz pan wiedzieć jaki?

— Jak to jaki? Po prostu Rokossowski.

— To pan tak uważasz. A ja panu powiem, panie Frankowski, że to był Rokossowski wypchany.

— Jaki?

— Wypchany. Nie wiesz pan, co to jest wypchany? Wypchali Rokossowskiego po śmierci i tak pokazali. Już oni to umieją robić, nie bój się pan. A pan się dajesz nabrać na zdjęcie.

Frankowski machnął ręką.

— Ech, szkoda czasu z panem gadać! Chce pan w głupie brednie wierzyć, to niech pan sobie wierzy. Mnie co do tego?

— Pewnie, musisz pan tak mówić, że panu nic do tego, bo ja mam rację.

— A miej pan sobie! — burknął pan Frankowski.

Duda poczuł w dołku lekkie ssanie. Sięgnął więc ręką pod kołdrę i ssanie przycichło. Po czym podłubał w nosie i gdy wydłubał co należy, znów spojrzał w stronę okna.

— Pogody to dziś nie będzie — powiedział z namysłem. — Deszcz będzie.

— Dlaczego ma być deszcz? — odparł tamten. — Bo panu się tak podoba?

— Mnie to ani grzeje, ani ziębi. Ja nie muszę iść na pochód jak pan. Ale deszcz będzie, dość spojrzeć, wisi w powietrzu.

— Panu może wisi, bo PIM zapowiedział pogodę.

— Wierzysz pan, co mówi PIM?

— A dlaczego mam nie wierzyć?

— Jak pan nie wiesz dlaczego, to co panu będę tłumaczyć?

Pan Frankowski wytarł twarz ręcznikiem, przygładził ręką swoje sztywne włosy przystrzyżone na krótkiego jeża i począł wkładać czystą koszulę. Świąteczny garnitur miał przygotowany na krześle.

— Bierzesz pan nowy garnitur? — zainteresował się Duda znów dłubiąc w nosie.

— Biorę. A dlaczego mam nie wziąć?

— Szkoda, zmoknie i będzie do niczego.

— To będzie. Mój garnitur, nie pański.

— Pewnie, że nie mój. Ja nie chodzę w sześćdziesiątce.

— A ja chodzę — odparł pan Frankowski naciągając spodnie. — Wcale dobra ta sześćdziesiątka.

— Jak dla kogo. Dla pana może dobra, dla mnie nie. Co się komu podoba. A nowej sześćdziesiątki i tak pan sobie na posadce rządowej prędko nie sprawisz. Ile pan zarabiasz? Głupie grosze.

— Głupie, nie głupie, a w każdym razie zarabiam. Nie gniję, jak inni.

— Niby jacy inni?

Pan Frankowski przerwał zapinanie szelek.

— Chcesz pan wiedzieć, jacy? Proszę bardzo! Pan gnije. A tak, tak, właśnie pan. Wstyd, jak Boga kocham, panie Duda. Młody z pana jeszcze, zdrowy człowiek, a psuje się pan jak ryba z przeproszeniem od głowy.

Duda zaśmiał się pogodnie.

— Moja głowa za dobra na pański rozum. Takich, panie, owocarni jak pańska, to ja mogłem mieć nie sto, ale tysiąc, rozumiesz pan?

— Ale nie ma pan żadnej.

— Nie szkodzi — na to Duda — ten się śmieje, kto się śmieje ostatni.

— Ech, szkoda czasu! — machnął ręką Frankowski.

Włożył marynarkę, skropił chusteczkę wodą kolońską, jeszcze raz przygładził włosy i wyszedł.

Duda przeciągnął się na łóżku.

— Głupiec! — powiedział głośno, gdy trzasnęły drzwi wyjściowe.

Po czym zdrzemnął się i dopiero w godzinę później zbudziło go łaskoczące ciepło: dzień był piękny i pełen słońca.

Lecz w maju, jak wiadomo, dzień już bywa długi, zwłaszcza, jeśli się go chce spędzić w domu. Dłużył się więc Dudzie ten 1 maj. Gdy wstał, wsunął najpierw nogi w pantofle, przeciągnął się w plecach i ramionach, po głowie się podrapał, pod pachami i ziewając jeszcze leniwą sennością, poszedł otworzyć radio. Ponieważ na stacjach angielskich był zły odbiór, nastawił na zachodnio-berliński Rias i przy dźwiękach amerykańskiego jazzu udał się do kuchni. Tam odemknął z kłódki duży kufer i począł przyglądać się konserwom ułożonym w kilku warstwach, zastanawiając się, co sobie zrobić na śniadanie.

Mimo zamkniętych okien z podwórza dochodziły odgłosy radia nastawionego akurat na transmisję defilady wojskowej na placu Czerwonym w Moskwie. Duda skrzywił się i zawahał. W końcu sięgnął po pudełko sardynek. Ostatnie wprawdzie było, lecz trudno. Otworzył je i chcąc stłumić przykre ssanie w dołku zaciągnął się zapachem oliwy. Lecz ssanie nie przycichło, przeciwnie: nasiliło się pod wpływem odgłosu samolotów odrzutowych przelatujących w odległości tysiąca kilometrów. Wrócił zatem do pokoju, wzmocnił jazz z Riasu, znów przeszedł do kuchni, uważnie chwilę nadsłuchiwał, aż wreszcie zdecydował, że w uszczelnieniu niedość szczelnych okien dopomoże napoczęcie ostatniej paczuszki angielskiej herbaty. Tak też uczynił. Trochę to pomogło, lecz niezupełnie.

Śniadanie jadł długo i wolno, jednak bez większego zadowolenia, ponieważ sardynkom dobrze służy świeża bułka, źle natomiast czerstwy chleb sprzed kilku dni, a tak się właśnie złożyło, że w ostatnich tygodniach Duda ani rusz nie mógł bezpiecznie wymienić dolarów i wyczerpawszy złotówki został tak dokładnie bez grosza przy duszy, iż od paru dni musiał zaniechać wszelkich bieżących zakupów.

Jadł więc Duda swoje śniadanie długo i bez zadowolenia, zjadł wszystkie sardynki, wypił do dna oliwę, zapił mdlącą tłustość gorzką herbatą, potem zapalił długiego Pall Malla i udał się do klozetu, lecz krócej tam zabawił niż zwykle, bowiem pojedyncza szybka w ubikacji jeszcze słabiej niż podwójne okna w kuchni chroniła przed odgłosami z zewnątrz. Przedwcześnie więc i wciąż z leciutkim ssaniem w dołku

powrócił do pokoju, a ponieważ słońce natrętnie pchało się do środka, odgrodził się od głupiego blasku zsunięciem zasłon pamiętających jeszcze czasy ulicy Karmelickiej. Po czym zabrał się do przeglądu swego dobytku.

Najpierw otworzył tapczan, umocnił ciężkie wieko drewnianą podpórką i wlazłszy skurczony do środka począł macać ręką w głębi sprężyn, aż na koniec z twarzą nieco nabrzmiałą z wysiłku domacał się poszukiwanego przedmiotu. Dobrą jednak chwilę musiał się jeszcze szamotać, rozrywając sobie przy sposobności o ostre sprężyny rękaw pyjamy, nim wyszarpnął z odległych czeluści nieduże zawiniątko. Tymczasem w radio organy z mieszanym chórem wlazły na amerykański jazz i zgiełk się uczynił okropny. Duda zaklął i z twarzą bardzo już poczerwieniałą wygramolił się wraz z zawiniątkiem z tapczana, żeby zrobić porządek z odbiornikiem. Gdy to uczynił i Rias, w którym akurat jazz się skończył, zamienił na nabożeństwo z Kopenhagi — obejrzał rozdartą pyjamę, podwinął uszkodzony rękaw i usiadłszy przy stole zabrał się do rozwijania zawiniątka.

Była to stara, bardzo postrzępiona i brudna koszula, lecz w jej zwojach, jak w ciepłym gnieździe, spoczywał cały poza wiadomą kopertą majątek Dudy w złocie i walutach. I oto ssanie w dołku przycichło. Hej, bracie, piękny jest jednak świat i niezłe jest życie! Lecz z powrotem zwijając po pewnym czasie koszulę Duda nie zawierzył jej całej poprzedniej zawartości. Uczynił inaczej. Do zawiniątka schował tylko część walut i złote drobiazgi, pozostałe natomiast banknoty podzielił na dwie mniej więcej równe części i zamyślił się, jak i gdzie je schować. Niełatwa to jednak rzecz ukryć przed ludzkim okiem własną przyszłość. Lecz na czym polega chytrość? Aby przechytrzyć i zmylić chytrość wrogów. Zadecydował więc w końcu Duda, że skrytki najprostsze są najpewniejsze. I jeden zwitek dolarów wsunął do narciarskiego buta (gdzież te czasy, kiedy jeździło się zimą do Zakopanego na narty!), drugi zaś pakuneczek wcisnął w głąb miękkiego fotela.

To uczyniwszy znów wlazł do tapczana i najcenniejsze zawiniątko umieścił jak należy. Przy sposobności zajrzał i do przeciwległego kąta, gdzie pod bielizną pościelową spoczywało pięć angielskich kuponów na ubrania. Leżąc na brzuchu podniósł prześcieradło, a tu spod prześcieradła wyleciał mól. Duda natychmiast plasnął obiema dłońmi, jednak chybił. Za to drugi mól wyprysnął z kąta. Więc drugi raz plasnął Duda leżąc niewygodnie na brzuchu i ponownie nie trafił. Trudno. Nie zaw-

sze można zabić mola. Zaprzestał więc pogoni za szkodnikami i zabrał się do przeniesienia kuponów w inne miejsce.

Ta praca zabrała mu sporo czasu i dochodziło już południe, skończyło się nabożeństwo z Kopenhagi i pochód pierwszomajowy pełnią okrzyków i dźwięków orkiestr huczał w ulicznym głośniku, gdy Duda, z grubsza uprzątnąwszy pokój, bowiem przychodna posługaczka zjawiała się tylko w dni powszednie, zabrał się do golenia i mycia. A że się nie śpieszył, czynności te skróciły mu dzień o całą godzinę. Lecz co dalej?

Pospacerował sobie trochę po pokoju w króciutkich, siatkowych kalesonach amerykańskich, sprawdził dłonią gładkość policzków, klepnął się parę razy po tłustawych piersiach, podłubał w nosie, w lusterku się przejrzał, włosek z nosa wyrwał, kichnął, znów pospacerował, potem białe nogi uważnie obejrzał i pomyślał, że powinien tego lata pojechać nad morze, żeby się opalić, a na koniec znów leciutkie ssanie czując w dołku uchylił firankę i wyjrzał na ulicę. Była pusta. Tylko jeden starszy pan w meloniku szedł sobie wolnym kroczkiem środkiem jezdni, ciągnąc jamnika na smyczy. W pewnej chwili jamnik przystanął, jego pan uczynił to samo, jamnik podniósł nogę i zrobił siusiu, obejrzał kałużkę, powąchał, po czym obaj, starszy pan i jamnik, podążyli dalej. Zsunął więc Duda z powrotem zasłony i poszedł do szafy zastanowić się, jaką włożyć koszulę. Zrazu wybrał granatową pochodzenia amerykańskiego, ponieważ jednak zwykł był do niej nosić krawat z przewagą koloru czerwonego, rozmyślił się i wyjął koszulę szarą z angielskiej popeliny. Nałożył potem koszulę, guziczki pozapinał i znów sobie trochę pospacerował, a co spojrzał na swoje białe nogi, to tym silniej utwierdzał się w przekonaniu, że musi latem wyjechać nad morze.

Tak to nie śpiesząc się, przeciwnie: spacerując po pokoju i rozmyślając o tym i owym, dobrnął do godziny drugiej. Wówczas wyświeżony i różowy, pachnący mydłem Palmolive, a ubrany w garnitur z szarej flaneli, stanął wobec pytania: co robić dalej? Rozsądek poparty apetytem doradzał zjedzenie obiadu. Lecz co zjeść na obiad? Od paru dni Duda z konieczności żywił się konserwami. Niestety, zewnętrznej urodzie kolorowych i solidnych puszek nie odpowiadała ich zawartość. Duda skrzywił się na samą myśl, że znów przyjdzie mu jeść szynkę na słodko z marchewką, lub wołowinę z selerami też na słodko. Lecz głód jest głodem, więc Duda pogrzebawszy w zawartości kufra wybrał po długim wahaniu i przy nasilonym ssaniu w dołku szynkę na słodko, potem jednak zamienił ją na wołowinę na słodko i po nowym, głęb-

szym namyśle znów wrócił do szynki, a na deser dobrał sobie ogromną puszkę z sokiem cytrynowym.

A po obiedzie? Po obiedzie, z uczuciem czczości połączonym z lekkim wstrętem do jedzenia usiłował złapać Londyn, gdy jednak trzaski atmosferyczne udaremniły mu kontakt ze światem, zamknął radioodbiornik, zdjął krawat i marynarkę, wyciągnął się na wznak na tapczanie, kanty spodni równo wyprostował, żeby się nie pogniotły i złożywszy ręce na brzuchu, przyglądał się chwilę zamglonym spojrzeniem sufitowi, potem zaś ziewnął i zasnął.

Gdy obudził się, szary zmierzch panoszył się w pokoju. Duda sprawdził godzinę na złotej Doxie: dochodziła siódma. To i po święcie! Nie śpieszył się jednak ze wstawaniem. Jeszcze senność przyjemnie nim kołysała i oczy niechętnie się ku życiu otwierały. Przeleżał więc bez ruchu z dobry kwadrans, a gdy senność z niego wyparowała i mrok całkiem uczciwy w pokoju się uczynił, podniósł się, w plecach i w ramionach swoim zwyczajem się przeciągnął, paroma ziewnięciami ostatek snu wydmuchnął, potem zapalił światło, podłubał w nosie, przejrzał się w lusterku, włosy szczotką przygładził, krawat starannie zawiązał, marynarkę nałożył... i co dalej? Doprawdy, trudno było dalej siedzieć w domu. Wyspane i wypoczęte ciało Dudy domagało się na gwałt powietrza i ruchu. Więc choć jeszcze wczoraj postanowił, że przez cały dzień pierwszomajowy nie wyjrzy nosem na ulicę, teraz postanowił wyjść. I tak też uczynił, kopertę z podręcznymi dolarami wsunąwszy przedtem do tylnej kieszeni spodni.

Wieczór był ciepły i pogodny. Duda stanął przed bramą i rozejrzał się dokoła. Od Marszałkowskiej dochodził gwar tłumu, więc po namyśle skierował kroki ku Brackiej. Tam znów od Alej huczało życiem, jaśniało światłami Cedetu i niosło skoczną muzykę z głośników. Założywszy zatem ręce do tyłu podążył w kierunku przeciwnym, Szpitalną, w stronę placu Wareckiego, dawniej Napoleona. Tam i ludzi było mało i cisza panowała. Pomalutku doszedł Duda do placu i przystanął na rogu, gdzie dawniej mieścił się lombard miejski. Przed rokiem prócz ruin i gruzów, wypalonych domów i tumanów pyłu niczego innego w tej części śródmieścia oko nie widziało. Teraz dokoła rozległego placu wznosił się gąszcz rusztowań i wiele już wysoko podciągniętych gmachów zarysowywało swe kontury. Ileż jednak wspomnień nadciąga z minionych czasów! Tu na przykład, na tym rogu, w cieniu ustawionego wówczas przy skwerze straganu z książkami nawiązał Duda pierwszą poważniejszą transakcję. Ile to lat minęło od tego zimowego dnia?

Dwanaście prawie. Ładny kawałek czasu. Zaraz po tej transakcji podziękował Bajorkowi za pracę. Jak to wtedy Bajorek powiedział? „Tobie, mój Duda, do interesów, jak mnie do klasztoru". No i omylił się Bajorek, choć miał niezłą głowę.

Duda uśmiechnął się z zadowoleniem i sięgnął po swoje Pall Malle. A ot tam, na Boduena, gdzie teraz wysoko aż po mroczniejące niebo sięgają rusztowania, mieściło się biuro porad prawnych. Wtedy były interesy! Pieniądze leżały nieomal na ulicy. Tylko schylać się po nie i brać. Rąk miał człowiek za mało, żeby wszystko zgarnąć. Ciekawe jednak, co teraz Liszka porabia? Gdzie się obraca? A może po szerokim świecie z Tusią buja, do wielkiej polityki, jak mu się zawsze marzyło, nareszcie się dorwał? Duda znów poczuł leciutkie ssanie w dołku, więc myśl skierował na inne tory. Jakże się na przykład ta kawiarnia na rogu Sienkiewicza nazywała? Marlena? Nie, Marlena była przecież w Jerozolimskich, w roku czterdziestym trzecim, akurat wtedy, gdy zaczęły się uliczne rozstrzeliwania, interes ryżowy ubijał tam z niejakim Gutkiem, dawniej jednym z komiwojażerów Bajorka. Volksdeutschem zrobił się ten świnia Gutek, ale głowę do interesów, przyznać trzeba, miał. Więc jeśli nie Marlena, to jak? Znachor był na Boduena, owszem, nieźle jeść dawali, chociaż Liszka zawsze wolał jadać we Fregacie, albo u Aktorek na Mazowieckiej. I słusznie. Umiał, prawdę mówiąc, układać menu ten Liszka. Na kartę nigdy nie spojrzał, tylko od razu zamawiał to, na co miał ochotę...

Tak tu wspomnienia, jak rtęć z rozbitego termometru, ślizgały się w głowie Dudy, rozdzielały się na drobniutkie kruszyny, toczyły szybko, szybko, coraz prędzej i łączyły ze sobą, a poruszone — znów rozlatywały się na różne strony. Jednak nazwy kawiarni, w której poznał swoją przyszłą żonę, ani rusz nie mógł sobie Duda przypomnieć. Nic zresztą ważnego! Nie wszystko jedno, jak się nazywała?

Mrok tymczasem zgęstniał i cały Warecki plac zamazał się w ciemnościach. Tylko jego środkiem, pomiędzy parkanami budowli, wiodła jasno oświetlona jezdnia, po której chodziły trolejbusy i autobusy. Od strony Nowego Światu dobiegała teraz muzyka. Niosła się melodią kujawiaka gdzieś wysoko, wysoko ponad ogarniętymi mrokiem rusztowaniami i lekko przytupując wśród wiosennej nocy cichła i zanikała daleko w głębi placu.

Duda postał jeszcze parę chwil na rogu przy dawnym miejskim lombardzie, potem krokiem jeszcze wolniejszym niż przedtem ruszył z głową zanurzoną we wspomnieniach w kierunku Mazowieckiej. Doszedł

jednak nie dalej niż do połowy placu, gdy ujrzał, że wprost w jego stronę krokiem również spacerowym i rozglądając się uważnie dokoła jak człowiek nie tutejszy, idzie wysoki, chudy mężczyzna, dobrze już siwawy, z płaszczem na ręku. Duda aż przystanął ze zdumienia. Co za niespodzianka!

Idący spacerowym krokiem mężczyzna zauważył właśnie w tym momencie Dudę, lecz raczej przykre zdziwienie niż radość odmalowało się na jego twarzy. Zawahał się nawet przez moment i, jak się zdaje, miał ochotę Dudę wyminąć, lecz już za późno było, aby mógł przejść na drugą stronę, a tamten stał tuż naprzeciw.

— Kogo widzę? — wykrzyknął Duda uradowany, że będzie miał do kogo usta otworzyć. — Jak się pan masz, panie Zajączkowski? Nie poznajesz pan starych znajomych?

Główny buchalter Pafawagu zatrzymał się.

— Poznaję — powiedział krótko.

— Kopę lat się nie widzieliśmy — na to Duda serdecznie.

— Pięć, o ile się nie mylę.

— Pięć i pół — uzupełnił Duda — ja mam dobrą pamięć, jak pan pamiętasz. Teraz mamy maj, a pan gdzieś z końcem września czterdziestego piątego ulotniłeś się z Krakowa.

— Wyjechałem po prostu.

— Tak się mówi! — roześmiał się Duda. — Jeżeli kłopoty pan z władzami miałeś, to trzeba było wprost do mnie walić, cośbyśmy poradzili. Źle pan miałeś przy mnie?

— Kłopotów z władzami jeszcze nie miałem — odparł Zajączkowski — a czy źle, czy dobrze powodziło mi się przy panu, to zależy od punktu widzenia.

— Jakiego punktu widzenia? Coś pan niejasno mówisz, panie Zajączkowski. Powiedz pan lepiej, gdzie mieszkasz?

— We Wrocławiu.

— Też pan sobie miejsce wybrał! Granica pod bokiem.

— Więc co z tego?

— Jak to co z tego? Jak dziecko pan pytasz.

Zamiast odpowiedzi Zajączkowski spojrzał na zegarek.

— Wybaczy pan — powiedział — ale śpieszę się, więc pożegnam pana.

— Zaraz, poczekaj pan! — przytrzymał go Duda. — Obraziłeś się pan?

— Nie, ale nie sądzę, żebyśmy sobie mieli coś więcej do powiedzenia.

— Coś pan tak zhardział? — na to Duda. — Forsę grubą zrobiłeś pan w tym swoim Wrocławiu, czy co?

— Nie.

— Co, nie? Nie zrobiłeś pan forsy?

— Nie zrobiłem.

— To co pan tak nosa zadzierasz? Ja do pana jak do człowieka, a pan jak jeż się nastroszyłeś. Zmieniłeś się pan coś, panie Zajączkowski.

— Owszem — odparł buchalter — nie przeczę. Zmieniłem się. Za to pan nic się nie zmienił.

— Ja? Pewnie, że nie. A coś pan myślał?

— Nic. Mówię tylko, że się pan nic nie zmienił.

— Gdzie się pan tak śpieszysz? — spytał Duda widząc, że tamten zamierza się jednak pożegnać. — Co to za znaczek nosisz pan w klapie?

— Odznakę przodownika — odparł Zajączkowski.

— Jakiego znów przodownika?

— Pracy.

— Patrzcie! I to pański, broń Boże, znaczek?

— Mój.

— Takie buty! — pokiwał głową Duda. — Przekupili pana jednak. Sprzedał się pan.

Nagła decyzja odmalowała się na twarzy buchaltera Zajączkowskiego.

— Panie Duda, wprawdzie z początku chciałem uniknąć tej rozmowy, ale dobrze, że mnie pan do niej niejako zmusza...

— A widzisz pan! — ucieszył się Duda. — W którą pan idziesz stronę, podejdę z panem kawałek.

— Wydaje mi się — na to Zajączkowski — że nasze drogi idą w zupełnie odwrotnych kierunkach. Zresztą to, co chcę panu powiedzieć, nie zabierze dużo czasu.

— Nie krępuj się pan, ja mam czas.

— Tym lepiej. Otóż chcę panu powiedzieć całkiem po prostu, że odkąd się znamy zawsze miałem pana, daruje pan to słowo, za świnię. Chwileczkę, pozwoli pan, ale jeszcze nie skończyłem, przeciwnie — dopiero zacząłem. Otóż zawsze, jak powiadam, miałem pana za świnię małego formatu, podkreślam to, nie dużego formatu jak na przykład Bajorek, lecz małego, a nawet karłowatego powiedziałbym. A mój błąd

na tym polegał, że nie powiedziałem panu tego na samym początku naszej znajomości, kiedy zaczął mnie pan naciągać na papierosach.

— Coś pan! — oburzył się Duda. — Sam się pan o papierosy napraszałeś. Nie napraszałeś się pan może?

— Owszem, napraszałem się. A pan grubo na tym zarabiał.

— Skąd pan wiesz?

— Wiem. Myślał pan, że oczu nie mam? Otóż mogę pana zapewnić, że bardzo dobrze wszystko widziałem.

— To co pan do mnie masz pretensję? Do siebie miej pan pretensję.

— Właśnie o tym mówię, ponieważ oszukuje nie tylko sam oszust, lecz i ten, co z oszustwa świadomie korzysta.

— Patrzcie! — Duda z politowaniem pokiwał głową. — Na kaznodzieję, widzę, wykierowałeś się pan.

— Na kaznodzieję się nie wykierowałem — odparł spokojnie Zajączkowski — ale właśnie coś w rodzaju kazania mam zamiar panu powiedzieć.

— Obejdzie się — burknął Duda. — Mnie pańskie kazanie wcale nie potrzebne. We Wrocławiu mów pan swoje kazania.

— Właśnie, że tu je powiem i do pana. Co pan sobie myśli? Sądzi pan, że autor tej całej historii, w której my bierzemy udział, może wszystko powiedzieć od siebie? Oczywiście, nie! I dlatego mnie prosił, żebym powiedział panu, co należy. Uważam, że wybór uczynił słuszny, ponieważ tą sprawą właśnie ja jestem osobiście zainteresowany, już od dawna leżała mi na sercu i kiedy dzisiaj pana spotkałem, to tylko fałszywa delikatność, powiedziałbym inteligencka delikatność, powstrzymała mnie w pierwszej chwili od powiedzenia prawdy. Otóż niech pan z łaski swojej przyjmie do wiadomości, że oprócz jednego błędu popełnionego jeszcze we wrześniu mam sobie do wyrzucenia i drugi błąd o wiele zresztą poważniejszy od tamtego. Ten mój drugi błąd na tym polegał, że w czasie okupacji i później przez kilka miesięcy po wojnie trzymałem się pana i dla własnej korzyści maczałem palce w pańskich brudnych interesach.

— Teraz dla pana brudne — wtrącił Duda. — Wtedy były czyste.

— Myli się pan. Zawsze pańskie i podobne interesy były dla mnie brudne.

— Ale z głodu to byś pan bez tych brudnych interesów zdechł.

— Nie wiem, może bym zdechł, a może nie. Przypuszczam, że raczej nie.

— Ale w dziurawych butach i portkach to byś pan chodził.

— Prawdopodobnie. Ale to wcale mego błędu nie umniejsza. Przeciwnie, wiedziałem przecież dobrze, co robię, a z wygodnictwa i tchórzostwa robiłem wiele rzeczy, których uczciwy człowiek w żadnym wypadku nie powinien się dotykać. Ale od pięciu lat, czy jak pan słusznie zauważył od pięciu i pół, zerwałem z tym wszystkim i mogę śmiało powiedzieć, że solidnie przez cały ten czas pracowałem, wiele rzeczy zrozumiałem i dzisiaj, na szczęście, gdy dochodzę do pięćdziesiątki, mogę każdemu człowiekowi śmiało spojrzeć w oczy i z tej odznaki, którą noszę, jestem, jeśli chce pan wiedzieć, szczęśliwy i dumny. Tak, panie Duda, szczęśliwy i dumny. Natomiast pan, panie Dudą, pozostał pan tym samym, czym był, to znaczy świnią, raz jeszcze podkreślam, żeby być dokładnym, świnią małego, a nie dużego formatu, co zresztą w istocie na jedno wychodzi. Wyobraża pan sobie, że doszedł pan do wielkich rzeczy. A tymczasem dzięki mniejszym i większym krętactwom doszedł pan do pieniędzy, te zaś tak panu uderzyły do głowy, iż sądzi pan, że w życiu tylko pieniądz coś znaczy. Mam nadzieję, że będzie pan jeszcze miał okazję przekonać się o swej omyłce, oczywiście pod warunkiem, że utrze pan w porę nosa własnej głupocie. O ile bowiem, jak wspomniałem, jest pan świnią małego formatu, o tyle głupcem jest pan formatu największego. To by było wszystko, co chciałem panu powiedzieć i jeśli nie ma pan nic przeciwko temu, to pozwoli pan, że pana pożegnam. Nic? Zatem do widzenia.

To mówiąc skłonił się i wolnym, spacerowym krokiem podążył w swoją stronę. Duda natomiast dłuższą jeszcze chwilę stał z otwartymi ustami, wpatrzony w oddalającego się przodownika pracy. Wreszcie, gdy tamten zniknął za rogiem Szpitalnej, Duda uśmiechnął się pogodnie, strzepnął palcami i na głos powiedział:

— Dureń głupi! Mnie będzie rozumu uczyć...

I pogardliwie wysunąwszy dolną wargę, ruszył przed siebie.

Lecz przez całą Mazowiecką ssało go uporczywie w dołku i nieprzyjemne myśli próbowały mu się zalęgnąć w tyle głowy. Jakże się jednak czasy zmieniły! Przed pięcioma laty taki parszywiec Zajączkowski w spodnie by się prędzej zesiusiał niż ośmielił powiedzieć to wszystko, co teraz bez jednego zająknięcia wygarnął. Plecy za sobą, głupi dureń, czuje. Socjalizmu się nażarł i jak od grochu go wzdęło. Parszywy mydłek inteligencki, psiakrew!

Zrazu usiłował Duda przepędzić tę złość wzbierającą w tyle głowy, lecz daremne były jego próby, aby przód głowy ożywić myślami po-

godnymi i przyjemnymi. Co się bowiem w sobie zanurzył, i tu i tam pomacał, to taką pustkę odnajdywał, że niczego nie mógł się uchwycić. A gdy tymczasem daremnie tak pod czołem szukał i szukał, w tyle głowy tuż nad karkiem złość gęstniała i rosła. Za okupacji spróbowałby, łobuz, takich kawałów, usadziliby go wtedy razem z Liszką aż miło! Taki już jest człowiek, że skoro nie może zemsty wywrzeć, usiłuje sobie przynajmniej wyobrazić, jak by to było, gdyby mógł swą przewagę pokazać i bezkarnie się pomścić. W połowie zatem Mazowieckiej wynędzniały i zgłodniały buchalter Pafawagu klęczał przed Dudą i całował go po rękach, natomiast nieco dalej, nie dochodząc do Traugutta, akurat przed dawnym lokalem Fregaty, ten sam Zajączkowski blady i z trzęsącymi się dłońmi stał przed mecenasem Liszką, ten zaś pytał go łagodnie: „A może do Oświęcimia ma pan ochotę przejechać się, kochany panie Zajączkowski? Proszę bardzo, niech się pan nie krępuje, my to możemy panu ułatwić". Więc buchalter znów pada na kolana, a wtedy przechodząc sobie przez ulicę Traugutta odzywa się Duda: „Widzisz pan, panie Zajączkowski, jak to niedobrze zadzierać z silniejszymi i mądrzejszymi...". Jeszcze na placu Małachowskiego wahały się dalsze losy buchaltera i już, już na bardzo cieniutkim włosku wisiały, i kroczek tylko jeden dzielił go od pasiaka, gdy wtem spoza niedalekiego rogu Królewskiej buchnął w Dudę od strony placu Saskiego gwar tłumu i zgiełk muzyki. Ocalał dzięki temu buchalter Zajączkowski, dosłownie w ostatniej minucie wymknął się zemście, a Duda raptem w czasie odkręcony, lecz niezupełnie jeszcze przywrócony rzeczywistości, machinalnie przeszedł kilka kroków i zatrzymał się dopiero na samym rogu, gdy szeroką perspektywą otworzył się przed nim widok na plac Saski.

Ludowa zabawa kipiała na placu, że hej! Wysoko ponad nim rozpinały się jak świetlny namiot smugi reflektorów, a wśród tej jasności orkiestra przygrywała na estradzie. Skoczna polka niosła się właśnie swobodną przestrzenią, a dokoła estrady i jeszcze dalej aż po krańce placu, pomiędzy masztami, na których lekko falowały na wietrze czerwone i narodowe flagi, wirowały w tańcu jak na karuzeli setki, setki par; migały jasne suknie kobiet i kolorowe swetry, wznosiły się dłonie okrągłymi gestami, tu i tam, i jeszcze gdzie indziej niósł się młodzieńczym głosem przyśpiewek. I tak w rytm tej muzyki i tańca, wszystko dokoła huczało i pulsowało życiem, radością, zabawą; przyśpiewki coraz żywiej i głośniej poczęły się przerzucać z jednego krańca placu na drugi, aż wreszcie cały tańczący tłum zawirował w chóralnym śpiewie i jakby

dla rozmachu i rozpędu zbyt mało było oddechu i przestrzeni, reflektory wyprostowały się naraz i wysoko pomiędzy ich lekkimi ścianami odsłoniło się ogromne i młode niebo migocące wiosennymi gwiazdami. Potem reflektory poczęły się ze sobą krzyżować i ponad placem, muzyką i zabawą, ponad rozśpiewanym tłumem zawirowały nieomal w rytm polki.

Przez dłuższą chwilę Duda stał bez ruchu, jakby się we własny pomnik zamienił. Mijali go różni ludzie śpieszący ku zabawie, roześmiane dziewczęta i chłopcy w zetempowskich koszulach i czerwonych krawatach, ludzie dojrzali, a nawet w wieku podeszłym, a on wciąż stał wrośnięty swoją szczerą i otwartą twarzą w powietrze, stał i stał i choć twarzy jego nawet lekki cień nie zamącił, w dołku ssało go coraz uporczywiej i silniej. Aż wreszcie ocknął się i chcąc ominąć zabawę, która tak niespodziewanie wyrosła na jego drodze, skierował się w stronę ogrodu Saskiego.

Wprawdzie odgłosy z placu i tutaj docierały, za to ludzi było mniej, gdzie niegdzie tylko spacerowały przytulone do siebie pary, a już w bocznych alejkach pustka i prawie spokój rozciągały się pod pierwszą zielenią rozłożystych kasztanów. Począł więc kluczyć Duda wśród tych z rzadka tylko latarnią oświetlonych alejek, lecz gdy przedtem ssał go wstręt do ludzkiego zbiegowiska, teraz ciążyć mu poczęła samotność. Co za świat rzeczywiście, że człowiek gęby nawet nie ma do kogo otworzyć! Takie i podobne myśli snując, skręcił w najbardziej boczną alejkę, gdy wtem już nie zdziwienie, lecz sto zdziwień zawisło mu u nóg i rąk.

Natomiast siedzący na ławce łysawy mężczyzna o wydłużonej twarzy i energicznie zarysowanym podbródku, dostrzegłszy oniemiałego Dudę przyglądał mu się chwilę bez zdziwienia, po czym uczynił ręką uprzejmy gest zapraszający do zajęcia miejsca obok. I Duda skorzystał z zaproszenia i usiadł.

Przez parę minut milczenie kleiło się pomiędzy obu mężczyznami. Duda siedział na brzegu ławki sztywno wyprostowany i z dłońmi ulokowanymi na kolanach, jakby każdej chwili gotów do podniesienia się. Tamten za to rękę niedbale oparłszy o poręcz i nogę założywszy na nogę, robił wrażenie człowieka dobrze w tym miejscu i w tej pozycji zadomowionego.

On też pierwszy się odezwał:

— Jak zdrowie pańskiej szanownej małżonki?

Duda odrobinkę drgnął.

— Co, proszę?

— Pozwoliłem się spytać, jak zdrowie pańskiej szanownej małżonki? Tu w Dudzie rozluźnił się spokój.

— Coś pan! To pan chyba powinieneś wiedzieć.

— Niestety — na to tamten — pańska małżonka raczyła rozstać się ze mną akurat trzy lata temu. Sądziłem, że raczyła wrócić do pana.

— Nie — odparł Duda ponuro. — Nie wróciła.

— Bardzo mi przykro.

— A mnie wcale — odparł porzucony mąż. — Ale gdzież ona jest w takim razie, do diabła!

Łysawy mężczyzna rozłożył ręce.

— Niestety, wiem tyleż samo, co pan, a tylko domyślać się mogę, że raczyła najprawdopodobniej uszczęśliwić sobą innego mężczyznę.

— Tak pan myślisz — mruknął Duda. — To taki z niej ananas?

— Kochany panie Duda — na to tamten — gdybyśmy byli pięknymi kobietami, czyż nie staralibyśmy się uszczęśliwić sobą możliwie dużą ilość mężczyzn? Jak pan sądzi?

— Nic nie sądzę — odparł Duda. — Jestem, chwała Bogu, mężczyzną.

— Ja też tak sądzę. Mówiłem jednak w trybie warunkowym. Fantazji trzeba trochę mieć, kochany panie Duda. Zawsze panu zwracałem uwagę na pewien niedowład pańskiej fantazji. Przepraszam, nie dosłyszałem...

— Nic nie mówię — wyjaśnił Duda.

— Przepraszam, wydawało mi się, że pan coś powiedział. Tak, tak, kochany panie Duda, fantazja konieczna jest w życiu. Ale pan i tak, o ile się nie mylę, nie wygląda na nieszczęśliwego?

— A dlaczego miałbym być nieszczęśliwy?

— Słusznie! Dlaczego? Powodzi się panu zatem?

— Dlaczego miałoby mi się nie powodzić?

— Też słusznie! Dlaczego? W takim razie, jako człowiek szczęśliwy, któremu dobrze się powodzi, nie odmówi pan, mam nadzieję, staremu swemu wspólnikowi pożyczki, powiedzmy... stu, stu pięćdziesięciu, albo żeby suma była równa, pięciuset złotych?

Duda po raz drugi popadł w osłupienie.

— Coś pan! Pan jesteś bez forsy?

— Czasem i w jeziorze wysycha woda, kochany panie Duda.

— Ale pan? Z taką głową! Ja myślałem, że jesteś już pan co najmniej ministrem w Londynie.

Mecenas Liszka uśmiechnął się uprzejmie.

— Bardzo jestem panu zobowiązany za tak pochlebną opinię o moich zdolnościach, muszę jednak panu zwrócić uwagę, kochany panie Duda, że nawet najlepszą głową historii się nie przebije.

— Jakiej historii? — na to Duda. — W jaką historię pan wlazłeś?

— We współczesną historię, kochany panie Duda — odparł mecenas. — Mówię o historii współczesnej.

To wyjaśnienie uspokoiło Dudę.

— Chyba, że tak. Myślałem, że coś gorszego. I tym się pan przejmujesz? Nie poznaję pana.

— Ba! Ja siebie również nie poznaję.

Teraz dopiero Duda spostrzegł, że ubranie na Liszce bardzo jakoś nędznie wygląda, tu jest przetarte, tam się strzępi, koszulę miał mecenas również nie pierwszej czystości, a poza tym był nieogolony, co dawniej nigdy mu się nie przydarzało.

Mecenas zauważył spojrzenie swego dawnego wspólnika.

— O ile się nie mylę, dość krytycznie ocenia pan mój wygląd zewnętrzny?

— Istotnie... — bąknął Duda.

— Zgadzamy się zatem, ponieważ ja go również oceniam ujemnie. Wracając jednak do mojej propozycji, to chociaż może pan sądzić, że w swoim czasie...

— Co tam będziemy, mecenasie, mówić o starych historiach! — machnął wspaniałomyślnie ręką Duda. — Oczywiście, służę pożyczką, panu zawsze. Tylko...

— Niech się pan nie krępuje, kochany panie Duda. Tylko?

— Co się mam krępować? Jestem, widzisz pan, chwilowo bez tych tutejszych, wie pan, bez tych złotówek, ciężko, wiesz pan, teraz chwilowo z wymianą i tak się jakoś złożyło...

— Domyślam się. Trudno. To jest właśnie, kochany panie Duda, historia.

— Jaka tam historia? Dolary mam przy sobie. Kilkoma mogę zaraz służyć. Zmienisz je pan sobie.

Sięgnął do kieszeni spodni, lecz mecenas powstrzymał go.

— Wie pan, kochany panie Duda, dajmy temu lepiej spokój. Szkoda doprawdy fatygi.

— Dla mnie żadna fatyga. Panu zawsze.

— Wzrusza mnie pan. Obawiam się jednak, a nawet jestem pewien, że za pańskie dolary nie zjem dzisiaj kolacji.

— To jutro pan zmienisz.

— Ach, jutro! A pan co jada, jeśli można wiedzieć?

Duda wyjaśnił.

— A, konserwy! — powiedział mecenas z uprzejmym uznaniem. — Owszem, dobra rzecz konserwy.

— Sam pan rozumiesz, że to przejściowe — na to Duda. — Byle tylko przeczekać.

— Co przeczekać, kochany panie Duda?

— Jak to co? Nie wiesz pan?

Mecenas wskazał palcem w stronę placu Saskiego.

— Ma pan zapewne na myśli tę zabawę. Obawiam się jednak, że może pan długo, bardzo długo czekać i co najgorsze w ogóle końca się nie doczekać.

— Nie bój się pan, my mamy czas.

— To po pierwsze. A po drugie, obawiam się także, czy pan w dostateczny aby sposób, kochany panie Duda, przemyślał sytuację ludzi naszego pokroju?

— Jak to, czy przemyślałem? Pewnie, że przemyślałem.

— I co pan o niej sądzi?

— Dobrze sądzę. Wszystko się ułoży.

— Co wszystko?

— Jak to co? Nie myślisz pan chyba, że nic się nie zmieni?

— Nie, nie myślę.

— No więc!

— Natomiast myślę, że to, co jest teraz, za rok będzie jeszcze silniejsze. Tak, tak, kochany panie Duda. A za dwa lata jeszcze większych sił nabierze.

— Żartujesz pan!

— Może. W każdym razie mnie ten żart już przestał bawić. I co by pan na przykład powiedział, kochany panie Duda, gdyby mecenas Liszka zgłosił się pewnego pięknego dnia na milicję i powiedział: jestem taki a taki, poszukujecie mnie, panowie, o ile wiem, od dwóch lat, proszę bardzo, mnie osobiście znudziła się już ta zabawa, jestem więc do waszej dyspozycji...

Duda szeroko otworzył usta i zaniemówił.

— Nie sądzi pan, że to byłoby dosyć rozsądne postawienie sprawy?

— Oszalałeś pan? — wybuchnął Duda. — Dobrowolnie pakować się do więzienia?

— Widzę, że przypisuje pan zbyt wielkie znaczenie formalnym drobiazgom.

— Ładne drobiazgi, coś pan!

— Czy to rzeczywiście taka wielka różnica, kochany panie Duda, pójść do więzienia dobrowolnie dzisiaj, czy jutro pod przymusem?

— Pewnie, że różnica! Jutro wojna może wybuchnąć, jutro...

— A owszem, wiele rzeczy może się jutro zdarzyć.

— Więc sam pan widzisz!

— Jutro może być trzęsienie ziemi, może na nas spaść meteor — mecenas podniósł się z ławki. — No, do widzenia kochany panie Duda. Bardzo mi było miło pana spotkać, obawiam się tylko...

— Niczego się pan nie obawiaj. Byle przeczekać.

— Słusznie. Mimo to obawiam się... — i tu pod sam nos podsunąwszy Dudzie wskazujący palec, pokiwał nim kilkakrotnie — obawiam się, kochany panie Duda, że z pana potężny głupiec!

To mówiąc wsunął obie dłonie w kieszenie swojej mizernej marynarki i odszedł, zostawiając Dudę jego osłupieniu.

Tym razem Duda nieprędko przyszedł do siebie. Z głową, jakby w watę zawiniętą i na nogach również jak z waty wyszedł z ogrodu, przeszedł ulicą Niecałą do placu Teatralnego, potem placem na ukos i ciągle szczelnie okutany miękkim tumanem skierował niepewne kroki w ulicę Senatorską. Tam dopiero w pewnym momencie przystanął i głośno podzielił się ze sobą swoim strapieniem:

— Z taką głową człowiek i tak zidiocieć!

Po czym otrząsnął się, jakby strząsnąć chciał z siebie resztki otumanienia, pokiwał kilkakrotnie głową, jakby i ją pragnął przepłukać, zapalił Pall Malla i już własnym, normalnym krokiem zdrowego człowieka podążył dalej. Niebawem znalazł się na Krakowskim Przedmieściu.

Lecz po co tu właściwie przyszedł? Znów pełno było dokoła świateł, sztandarów i masztów. Pełno ludzi zdążających na zabawę na Marienszstadt jaśniejący w dole od blasku lamp i reflektorów. Znów głośniki niosły górą muzykę i śpiew. I niebo ponad tym wszystkim jeszcze rozleglejsze było niż w ciasnym śródmieściu! Świeży nocny powiew szedł od Wisły.

Minął Duda wygięty łagodnym łukiem rząd nowych domów wiernie wskrzeszających stare warszawskie kamieniczki, minął kolumnę Zygmunta wyżej niż dawniej strzelającą w górę, spojrzał na ciężki cień odbudowywanej katedry. Stare Miasto kusiło ciszą i ciemnością, lecz tak daleko nie miał ochoty zagłębiać się w miniony czas. Nigdy nie

ubił swoich wspomnień z dzieciństwa, a im bardziej się od nich oddalał, tym niechętniej o nich myślał. Lecz ze wspomnieniami bywa niekiedy tak: jeden krok niebaczny uczyni się w ich stronę, a czas natychmiast rozstępuje się tysiącem głębokich szczelin i różne echa od dawna milczących głosów poczynają się stamtąd wydobywać, cienie twarzy, gestów i postaci, mgliste zarysy domów i pejzażów nabierają życia, i cały ten świat zapomniany, zagubiony, czasem nienawistny poczyna się kształtować z ech, cieni i zarysów, poczyna rosnąć i rosnąć coraz natarczywiej wywoływać niespełnione nadzieje, daremne łzy, nieopłacone upokorzenia, aż wreszcie człowiek choćby nie chciał musi przez moment ujrzeć, że nie tak, jak pragnął, pokierował nim los, i innymi ścieżkami, niż zamierzał, potoczyło się życie.

Tak więc i ku Dudzie nadciągać poczęły wspomnienia. Nawet oczu nie musiał przymknąć, aby ze strzępków nagle odmienionego krajobrazu układać się poczęły żywe kształty ech i cieni. Oto Lonia Dudzianka pochyla nad balią poczerwieniałą twarz i zmęczonym ruchem ręki odgarnia z czoła ciemne włosy. Szybko jednak obłok pary przesłania jej sylwetkę. Znów w niskich drzwiach suteryny stoi pochmurna i ospowata ciotka Waleria. Mówi coś swym surowym głosem. Lecz słów nie słychać. Za to wyraźnie słychać krzyki chłopaków obrzucających kamieniami małego Tomka Dudę. A ten nie broni się wcale. Patrzcie, patrzcie! Przykucnął pod ścianą domu i tylko głowę rękoma przysłania. „Jednak człowiek doszedł do czegoś w życiu" — mruczy Duda sam do siebie z zadowoleniem, patrząc przymglonymi oczami w dalekie światła na praskim brzegu.

— Cześć, panie Duda! — rozległ się naraz tuż obok dźwięczny młody głos.

Spojrzał Duda i widzi przed sobą dwóch nieznajomych ludzi: jeden już koło czterdziestki, o ostrych rysach twarzy i głęboko osadzonych, przenikliwie patrzących oczach; drugi młodziak jeszcze, w koszuli zetempowca, średniego wzrostu, z rudawą czupryną zsuniętą na czoło.

— Nie poznaje mnie pan, co? — mówi z uśmiechem zetempowiec. Jasne! Jak widzieliśmy się ostatnio, to byłem o... taki pędrak. Pamięta pan Jasia Piętkę?

Dobra pamięć i tym razem nie zawiodła Dudy.

— Dlaczego mam nie pamiętać? — odparł. — Piccolakiem pan byłeś w Gastronomii?

— Ten sam! — ucieszył się Piętka. — Rajzowaliśmy razem we wrześniu, nie? Poznajcie się — zwrócił się do swego towarzysza.

Duda uścisnął dłonie obu mężczyzn. Lecz przez skórę czując, co to za jedni, zjeżył się w sobie jak wilk, gdy mu zaleci człowiekiem.

— A Wiktora Kłosa pamięta pan? — mówił Piętka. — Wie pan, taki czarny, ślusarz, do wojska chciał koniecznie wyrywać i ja z nim potem razem poszedłem.

— Coś sobie przypominam — mruknął Duda. — Stare czasy.

— Jasne że stare! A pana, wie pan, dlaczego dobrze zapamiętałem? Bo pan z tej całej paczki poza Wiktorem był najmorowszy. Spokojny, rzeczowy, głowy pan nigdy nie tracił, słowo daję — dobry kompan. Szkoda żeś pan z nami nie poszedł. Wiecie, towarzyszu — zwrócił się do stojącego z boku mężczyzny — że myśmy przed wojną wspólnego tak zwanego pryncypała mieli. Ja byłem za piccolaka w Gastronomii, a ten obywatel był ekspedientem w interesie Bajorka. Słyszeliście może o Bajorku? Zielonym Packardem, wiecie, zawsze rozjeżdżał...

— Coś niecoś słyszałem — odparł tamten. — Naszych ludzi denuncjował w Gestapo.

— Nie? — zdumiał się Piętka i lewą nogę ugiął lekko w kolanie. — Co wy mówicie? Wiedziałem, że był z niego porządny kawał drania, ale żeby aż tak? Żyje, nie wiecie?

Sekretarz wzruszył ramionami.

— Pewnie gdzieś żyje. Uciekł w porę.

— Szkoda — na to Piętka z żalem w głosie. — Ładnego pryncypała mieliśmy, panie Duda, nie ma co mówić, nie?

Wtedy Duda:

— Przepraszam panów, ja z dyrektorem Bajorkiem nie miałem wprawdzie podczas okupacji nic do czynienia, ale żeby Polaków denuncjował, to nie wierzę. Miał wady jak każdy człowiek, mylił się czasami w sądach, to owszem, ale żeby Polaków denuncjował...

— Są na to dowody — powiedział sekretarz. — Pewne osoby związane z górą AK dostarczały mu spisów ludzi, których należy zlikwidować, a on te spisy przekazywał do Gestapo. Wielu naszych najlepszych aktywistów wpadło dzięki temu.

— Naszych? — spytał Duda.

— Peperowców ma się rozumieć — wyjaśnił Piętka.

Duda wydął dolną wargę.

— Chyba, że tak! To trochę zmienia postać rzeczy.

Obaj mężczyźni spojrzeli po sobie.

— Jakto zmienia? — spytał wolno Piętka. — Że peperowców denuncjował? To znaczy, że peperowców mógł denuncjować, a Polaków nie?

— Co, proszę? — spytał Duda.

— Jakto jest: peperowcy Polacy według pana czy nie?

— Co pan głos podnosisz? — najeżył się Duda. — Ja się polityką nie zajmowałem i nie zajmuję.

Piętka cofnął się o krok i obejrzał Dudę od stóp do głowy. Ten jeszcze bardziej się najeżył.

— Co mi się pan tak przyglądasz? Człowieka pan nie widziałeś?

— Owszem, człowieka widziałem, czemu nie? — przeciągnął Piętka.— Ale apolitycznego jeszcze nie widziałem, przyglądam się więc. Owszem, owszem, wcale nieźle apolityczny człowiek wygląda.

— A pan byś może chciał, żeby wszyscy jak dziady wyglądali?

Nim Piętka zdążył odpowiedzieć, wmieszał się do rozmowy jego towarzysz.

— Dajcie spokój, towarzyszu Piętka. Przyjrzeliście się już apolitycznemu?

— Przyjrzałem.

— Możemy wobec tego iść, nie?

Piętka zastanowił się przez moment i roześmiał.

— Jasne! Idziemy, towarzyszu sekretarzu, coś tutaj niedobrze pachnie. Cześć, panie apolityczny!

I z ożywieniem rozmawiając poszli Krakowskim Przedmieściem.

— Tchórze! — mruknął Duda pogardliwie, gdy tamci byli już daleko. — Ale im dałem po nosie!

I rozgrzany przyjemnym, wewnętrznym ciepłem tak się jakoś w sobie rozweselił, że naraz przestali mu i ludzie przeszkadzać, i światła, i sztandary kłuć w oczy, i w ogóle cały nastrój świątecznego wieczoru przestał mu wadzić. Grunt, to nie dać się zastraszyć i nie pozwolić wziąć się za mordę pierwszemu lepszemu ważniakowi! A wieczór, owszem, wcale przyjemny. I podgrzewając w sobie radosną myśl, że jemu o wiele więcej takich wieczorów życie przyniesie niż wszystkim ważniakom razem wziętym do kupy, począł schodzić ku trasie W—Z.

Już na dole wetknął głowę w głąb tunelu i omiótł jego gładkie ściany uważnym spojrzeniem, ponieważ jeszcze przed kilkoma miesiącami zapewniał go pan Frankowski po powrocie z jednego ze swoich spacerów, że niebawem tylko patrzeć i ściany tunelu na pewno się zarysują. Na razie jednak żadnych rys dostrzegalnych dla oka ludz-

kiego nie było, natomiast poprzez dwie płyty w chodniku niedaleko przystanku tramwajowego rzeczywiście biegło pęknięcie.

— Szmelc teraz dają, nie materiał — mruknął Duda i założywszy ręce do tyłu podążył trasą w kierunku mostu Śląsko-Dąbrowskiego.

Ach, ile powietrza dokoła! Cała chmara gwiazd zaroiła się na niebie, wiaterek rześki, lecz łagodny wiał od Wisły, a z mariensztackiego rynku muzyka dobiegała i ludzie tam w dole roili się gdziekolwiek tylko spojrzeć — na schodach, pod skarpą i wśród uliczek wbiegających pomiędzy jasne domki osiedla.

Zatem Duda, wciąż rozgrzany przyjemnym wewnętrznym ciepłem, szedł sobie dalej i dalej i tak bardzo był zadowolony z siebie i w ogóle z życia, że gdy natknął się na grupkę idących pod rękę i śpiewających zetempowców, nie tylko ich nie skarcił surowo, lecz nawet nie zauważył, że jeden spośród nich, płowowłosy chłopiec, który go przypadkiem ramieniem potrącił, kiedyś załatwiał mu drobne usługi. Ba! a nawet domyślić się nie mógł, że młodziutkie, też jasnowłose dziewczątko, które szło pomiędzy zetempowcami, spotkał już kiedyś przed laty we wrześniu, wśród ruin spalonego miasteczka. Szedł więc dalej Duda przed siebie nieświadom odległej przeszłości, która się o niego tak blisko teraz otarła, i nic nie mąciło jego przyjemnego, wewnętrznego ciepła. Aż tu w pewnej chwili rakieta jak korek z butelki wystrzeliła spomiędzy domków mariensztackich, wzbiła się wysoko w górę i tam rozprysła się na tysiące kolorowych i migocących światełek. Zaraz za nią drugi wąż kolorowy trysnął. Po chwili całe wiosenne niebo paliło się i migotało.

Duda zatrzymał się i oparł o poręcz wiaduktu, żeby wygodniej przyjrzeć się sztucznym ogniom. A traf zrządził, że akurat w tej samej chwili i tuż obok, nie dalej niż na wyciągnięcie ręki, to samo uczynił inny człowiek. Był to mężczyzna w wieku Dudy, może trochę, lecz niewiele, starszy, niski i drobny, w garniturze nieco zbyt na siebie obszernym, w czarnych zakurzonych kamaszach i w czapce, pod którą zarysowała się twarz złożona z policzków przypominających dwie bańki, perkatego nosa i krótko przystrzyżonych, słomianego koloru wąsików. Twarz ta była mocno opalona, a dłonie, które ów mężczyzna oparł o poręcz, były dłońmi człowieka pracującego fizycznie.

Wszystkie te szczegóły zebrał Duda do kupy za jednym spojrzeniem i jeszcze raz je sprawdziwszy, podsumował wnioskiem, że człowiek ten na pewno musi być kmiotkiem. Tymczasem kolorowe widowisko dalej się na niebie rozgrywało, lecz zarówno Duda jak i jego sąsiad

przy poręczy roztargnionym wzrokiem śledzili świetlne efekty, gdy bowiem jeden spoglądał niby to w górę — drugi myszkował po nim uważnym spojrzeniem.

Serce w Dudzie zabiło żywiej, nieomal jak przed laty, gdy po raz pierwszy zdecydował się zawrzeć uliczną znajomość z pewną panienką. I oto naraz, gdy znów wyczuł na sobie myszkujący wzrok tamtego, powziął decyzję. Wspiął się leciutko na palce i kołysząc się i nie odrywając oczu od nieba, rzucił od niechcenia przed siebie:

— Pieniędzy to nie żałują na takie rzeczy...

I dalej kołysał się na palcach i spoglądał na niebo. Z tyłu przejechał po wiadukcie tramwaj. Gdy jego dudnienie oddaliło się, nieznajomy nieco ciszej niż Duda, lecz również w przestrzeń powiedział:

— Cudze pieniądze niewiele kosztują.

— Nic nie kosztują — na to Duda po chwili. — Dużo ludzkich łez jest w tych fajerwerkach.

I nie przestając się kołysać na palcach, jednym okiem spoglądał na niebo, a kącikiem drugiego pomyszkował w bok. A tamten patrząc przed siebie, jakby mówił do powietrza, do wiatru:

— Żeby to chociaż łez. Człowiek popłacze i przestanie. Ale ziemia nie przestanie.

Duda westchnął i przestał się kołysać.

— Ziemia cenna rzecz. Zniszczyć by ją chcieli.

Drobny i niski nieznajomy zaśmiał się cichutko.

— Chcieć mogą.

— Pewnie, że mogą. Ale swego nie dopną.

— Nie dopną.

— Cierpliwości tylko trochę.

— Siły.

— Pieniędzy.

— A chytrość? O, chytrością daleko można zajechać...

— A podstępem?

Drobny i niski mężczyzna o baniastych policzkach i perkatym nosie znów się cichutko zaśmiał.

— Ładny wieczór — powiedział Duda.

— Ładny, ale za rok ładniejszy będzie — odparł tamten.

— Nie dla wszystkich.

— Już tam pan Bóg nas nie opuści.

I tak sobie gwarząc ani się spostrzegli, jak zwrócili się ku sobie twarzami i kmiotek z perkatym nosem patrzył życzliwie na Dudę,

ten zaś, zamożnie ubrany i dobrze odżywiony, z sympatią przyglądał się nowemu znajomemu. Na koniec w pewnej chwili Duda powiedział:

— Duda się nazywam.

Na to właściciel perkatego nosa odchrząknął:

— Nieszporek moje nazwisko.

Poczem uścisnęli sobie dłonie i niebawem można ich było dojrzeć zmierzających wśród ożywionej rozmowy w stronę Krakowskiego Przedmieścia.

— Pan ze wsi jesteś? — zaczął Duda.

— Ze wsi.

— Z daleka, można wiedzieć?

— Gdzież z daleka? Spod Łowicza.

— Ładne strony, bogata ziemia, co?

— Ziemia zawsze bogata jak gospodarz bogaty, a biedna jak biedny.

— Pan jesteś gospodarzem?

— A jak inaczej?

— Duże gospodarstwo?

— Mogłoby być większe.

Okazało się z dalszej rozmowy, że Nieszporek ma ponad dwadzieścia morgów ziemi ornej i trochę jeszcze łąki, a do całej tej zamożności doszedł w czasie okupacji, bo przed wojną biedakiem był na dwóch zaledwie morgach.

— Jak tam teraz na wsi? — zapytał Duda. — Cisną?

— Och panie! Nic innego nie robią tylko cisną. Ale i tak nie docisną i co moje, to będzie moje.

— Słusznie, nie daj się pan.

— A pan na urzędzie pracuje? — spytał z kolei Dudę Nieszporek.

— Ja? Coś pan! Ręce będę przykładać do papierków? Interesami się zajmuję.

Nieszporek pokiwał z uznaniem głową.

— Duże też teraz robi się w mieście interesa? — spytał.

— Starczy — odparł Duda.

— Lepsze niż w wojnę?

— Różnie bywa. Też cisną.

— Bardzo cisną?

— Starczy. Ale byle przeczekać.

— A o wojnie, co tutaj, panie, w mieście mówią?

— Dobrze mówią, będzie wojna.

— Byle tylko prędko, panie — westchnął Nieszporek.
— Co się pan martwisz? Masz pan pieniądze?
— Trochę się znajdzie — odparł wstydliwie Nieszporek.
— No więc? Przeczekasz pan i doczekasz.
— Ale cisną.
— Niech cisną. Sam pan powiedziałeś, że co twoje, to i twoje pozostanie.
— Powiedziałem, ale ja bym chciał mieć więcej.
Duda zamyślił się.
— Mądry z pana chłop!
— Ja bym, panie, i na pięćdziesięciu morgach dał radę. I na stu też bym sobie poradził. Żeby tylko robocizna była tania.
— Będzie tania. Nic się pan nie martw, wszystko przetrzymamy włos nam z głowy nie spadnie. U bogatego i zez prosty, nie?
Nieszporek przystanął.
— Jakeś to pan powiedział? U bogatego...
— ... i zez prosty. Nie tak może jest?
— Pewnie że tak. Sprawiedliwie powiedziane. A mądrze, oj mądrze!
— A widzisz pan! Mądrość z pieniędzmi przy jednym dyszlu chodzą. Dyszel się u was na wsi nazywa ten drąg pomiędzy koniami, co?
— Dyszel, a jakże! Słusznie, mądrość z pieniędzmi przy jednym dyszlu chodzą. Też mądrze powiedziane. Pan, widzę, ma tęgą głowę!
I tak wzajem sobie prawiąc grzeczności i dzieląc się swymi doświadczeniami i myślami, szli Duda z Nieszporkiem najpierw Krakowskim Przedmieściem, potem Nowym Światem, aż doszli do Alej.
Tam akurat kilku chłopców i dziewcząt zaimprowizowało tańcówkę na chodniku. Jeden młody siadł sobie na schodkach przy narożnej kamienicy i zagrał na harmonii, a reszta zaczęła tańczyć. Rzecz jasna, przechodnie zaraz gromadzić się dokoła poczęli i niebawem wśród ciasno stłoczonego tłumu kilkanaście par wirowało pod melodię walczyka. A w pewnej chwili zetempowiec przygrywający na harmonii zaśpiewał:

Na prawo most, na lewo most,
A w dole Wisła płynie.
Tu rośnie dom, tam rośnie dom
Z godziny na godzinę...

— Rośnie, rośnie — szepnął Duda Nieszporkowi do ucha — a po miesiącu rozlatuje się.

Nieszporek kiwnął głową i cichutko się zaśmiał. Wielu natomiast ludzi podchwyciło popularną melodię i pogodny warszawski walczyk poniósł się po ulicy.

Naraz spomiędzy tłumu począł się energicznie ku wolnej przestrzeni przepychać postawny mężczyzna pod pięćdziesiątkę, tęgi i barczysty, dużego wzrostu, o szerokiej i krwistej pańskiej twarzy. Gdy znalazł się poza kołem, które opasywało tańczących, obciągnął na sobie marynarkę, poprawił krawat i mruknął:

— Ale smród!

Powiedział to wprawdzie na swój prywatny użytek i nikt tych słów z tłumu nie dosłyszał, lecz dosłyszeli je stojący obok Duda i Nieszporek. Natychmiast też obaj ożywili się i z zainteresowaniem spojrzeli na krewkiego jegomościa. Ten również spostrzegł, że jego niezadowolenie zostało spostrzeżone i poufale całą swoją ogromną postacią przybliżył się ku Dudzie i Nieszporkowi.

— Śmierdzi jeszcze polski ludek, co? — mruknął. — Nogi by się przydało naszej demokracji umyć i tyłek podetrzeć, co?

Obaj przyjaciele zaśmieli się: Duda męsko, Nieszporek po swojemu. Barczysty jegomość zachęcony tym dowodem uznania wyraźnie zdradzał ochotę na pogawędkę. Usunął się więc trochę na bok, za nim Duda i Nieszporek.

— A panowie skąd? — zagadnął tęgi pan. — Tutejsi, warszawiacy?

— Ja jestem warszawiak — na to Duda — a ten pan ze wsi.

— Ze wsi? A skąd?

Nieszporek powiedział skąd.

— Znam. Telatyccy tam mieli majątek.

— A jakże, mieli! — ucieszył się Nieszporek. — Dobrzy byli panowie.

— Prawdziwi panowie zawsze byli dobrzy — odparł tęgi pan. — A w Warszawie co, przyjacielu, porabiacie? Stolicę przyjechaliście obejrzeć?

— Tak różnie...

— Różnie, powiadacie. Słusznie. Dobry cel podróży. I co, spółdzielnię już u was założyli?

— Chcą.

— Chcą, powiadacie. To pewnie założą?

Nieszporek uśmiechnął się całą twarzą: perkatym nosem, baniastymi policzkami, nawet słomianym wąsikiem.

— Różnie może być.

— A, jak różnie, to już dobrze!

— Są tacy, co nie chcą żadnego kołchozu.

— A, jak tacy są, to jeszcze lepiej! A pan, kolego — zwrócił się z kolei w stronę Dudy — pan w jakim fachu pracuje?

— Też różnie — odparł skromnie Duda. — Przeważnie w interesach.

— W handlu znaczy się. Owszem, podoba mi się. Potrzebne w Polsce głowy do interesów. I cóż tam w handlu słychać? Uspołecznić próbują?

— Próbować mogą, ale to nie dla nas.

— Nie dla nas, powiada pan. A, jak nie dla nas, to dobrze!

Ponieważ górował wzrostem nad Dudą i Nieszporkiem, z dosyć wysoka obrzucił ich przyjaznym spojrzeniem.

— To co, moi mili barankowie, przeszlibyśmy się trochę w kompanii? W kupie zawsze lepiej niż samemu, co? Kurciański jestem.

Duda i Nieszporek również wymienili swoje nazwiska i po tym wzajemnym zapoznaniu samorzutnie ulokowali się po obu stronach nowego znajomego i tak we trójkę: pan Kurciański w środku, Duda po jego prawej ręce, a Nieszporek po lewej ruszyli Alejami ku Marszałkowskiej.

— A pan szanowny czym się zajmujesz, jeśli można wiedzieć? — spytał Duda z akcentem szacunku w głosie.

— Wiedzieć można, ale zgadnij pan.

Duda zastanowił się.

— Dyrektor?

— Ee! a mnie to po co? Pensja mała, odpowiedzialność duża.

— Profesor?

— Do niczego! — wykrzyknął pan Kurciański. — Do niczego, moi mili barankowie!

— To może... różnie — jeszcze raz spróbował odgadnąć Duda.

Pan Kurciański zaśmiał się hucznie.

— A, to już lepiej! Już ciut, ciut, ale jeszcze niezupełnie. No, trudno, nie zgadniecie, moi mili barankowie. A wyglądam na kogo?

— Na pana — powiedział pośpiesznie Nieszporek.

— Słusznie, słusznie! Zgadza się. Państwo mam we krwi i kościach. Ale panem, moi mili barankowie, jestem tylko dla przyjaciół, a na co dzień wiecie kim jestem? Nie zgadniecie. Trudno. To już sam wam powiem. Na co dzień, moi mili barankowie, biurokratą jestem.

Duda i Nieszporek zadarli głowy.

— No, i jak wam to się podoba, moi mili barankowie? Biurokratą

jestem, ot co! A wiecie, co to znaczy? To znaczy, moi mili barankowie, że na skromnej, ale dość ważniutkiej posadce jedną rączką napisze się okólnik i drugą schowa do akt jakiś papierek, a potem znów jedną rączką przytrzyma się pisemko i drugą napisze się instrukcję. No! Ładne? Zgrabne? Dwie rączki, a bałaganów ile? Dużo, bardzo, bardzo dużo! Zrozumieli?

— Zrozumieli — odpowiedzieli zgodnie Duda i Nieszporek.

— Jak zrozumieli, to dobrze! A na wsi, co tam ludziska mówią o wojnie?

— Będzie wojna — odparł z przekonaniem Nieszporek.

— A w sferach handlowych?

— To samo mówią — odpowiedział Duda.

— Jak to samo, to górą, moi mili barankowie! Bo mój mały palec także tak powiada. A on nigdy się nie myli. O, nie myli się!

— Byle przeczekać — na to Duda.

— Słusznie, byle przeczekać. Bardzo słusznie. Podoba mi się.

— I nie dać się docisnąć — dorzucił Nieszporek.

— Też słusznie! Nie dać się docisnąć. Podoba mi się. I kupą, ot co! Razem się trzymać, moi mili barankowie.

Skręcili w Marszałkowską, a ponieważ godzina już była późna — miasto powoli zacichało i kroki trzech przyjaciół głośno postukiwały po chodniku. Gwiazdy zalotnie mrugały na niebie. Wiaterek poruszał świątecznymi flagami. W głębi Marszałkowskiej rysowały się kontury rusztowań MDM-u.

Nagle pan Kurciański przystanął. Duda i Nieszporek uczynili to samo.

— No, i popatrzcie tylko, moi mili barankowie! — huknął swoim basem pan Kurciański. — Marksiści powiadają, że istnieje jakaś tam walka klas. Wróg klasowy, tak powiadają. Mówią tak?

— A jakże, mówią — powiedział Nieszporek. — Wróg klasowy.

— Właśnie — dodał ironicznie Duda.

— No proszę! A my tutaj, jak jest nas trzech każdy z innej parafii społecznej pochodzi. Nie tak, moi mili barankowie? Pan kolega pracujesz w handlu, więc mieszczuch, dobrze mówię?

— Dobrze — zgodził się Duda.

— A wy mój przyjacielu ze wsi, znaczy się chłop. Słusznie?

— Pewnie, że jestem chłop — odparł Nieszporek.

— No proszę, a gdzie tu pomiędzy nami walka klas? Żadnej walki klas nie ma, co?

— Nie ma — zgodnie potwierdzili Duda i Nieszporek.

— A który z nas któremu wrogiem klasowym? Żaden. Słusznie?
— Słusznie — odpowiedzieli jednocześnie Duda i Nieszporek.
— To co wobec tego, pytam, marksizm wart? Nic nie wart, moi mili barankowie! Mam rację?
— Masz pan — rzekł Duda.
— Mądrze powiedziane — dorzucił Nieszporek.
— A widzicie! A jak mam rację, to wszystko w porządku. Ruszajmy więc, moi mili barankowie! Byle tylko kupą.
I wziąwszy się pod ręce podążyli naprzód. Hej, bracie!

Jerzy Andrzejewski

PAMIĘTNIK Z CELULOZY*)

V

Zaraz po tej naradzie ojciec, zostawiwszy Szczęsnemu 5 złotych na życie, ruszył do Rzekucia, a Korbal pobiegł do znajomych po narzędzia. Zabawił niecałą godzinę, tak że o pierwszej poszli na Kozłowo z siekierą i łopatami.

Szli piękną szosą Warszawską, wysadzoną z obu stron drzewami. Minąwszy świeży mur Nowego Cmentarza, ujrzeli szlaban rogatek miejskich. Obok stał domek drewniany. Na przyzbie siedział, wygrzewając się w słońcu, człowiek ogromny, o byczym karku, ogolony i łysy jak arbuz.

— Dzień dobry, panie Sosnowski!

Pozdrowiony otworzył jedno oko i zmierzywszy Korbala mętnym spojrzeniem, znów je zamknął. Chciał splunąć, ale tylko wargi oblizał.

— Ale się spasł na rogatkowym. Już się nie wita. Siedzi, łobuz, przy szlabanie i forsę zgarnia: od wozu 10 groszy, a od samochodu — pół złotego!

Zeszli z szosy, i przystanęli na wzgórku, z którego roztaczał się widok na kotlinkę usianą gdzieniegdzie daszkami; z jakimś stawkiem pośrodku, a dalej było niewielkie wzgórze, które dymiło. Dymy wydobywały się z jam. W jamach ludzie gotowali.

— To oni tam mieszkają?

— No! Każden jeden jak tu przyjdzie, to kopie sobie taką „arkę" i mieszka tamuj póki co, i znosi po trochu cegłę albo drzewo, albo czerepy, aż się pobuduje. A pierwszy zamieszkał tu Kozłowski, dlatego tak się nazywa — Kozłowo.

Ścieżką zeszli do białej chałupki krytej papą.

— Czołem, panie wójcie! — zawołał Korbal do okna.

— A niech ta będzie czołem — zgodził się ktoś w głębi izby głosem niepewnym i zachrypniętym.

— Znów całuski? — pytał się Korbal, zaglądając do środka.

— A dyć jakże inaczej. Trza żyć. Może tym się poratujem?

— Może. Na odpust?

— Ano... W Wieliszewie. Jutro jadziem.

---

*) Patrz numer poprzedni Twórczości.

Szczęsny też zajrzał do chaty. Pachniało piernikami. Kobieta wygarniała je właśnie z pieca, a mężczyzna przy oknie ślinił obrazki i na ciepłe jeszcze serduszka dużym palcem przyciskał. Na obrazkach pan z panną się całował przy aniołku z wielką strzałą. A ten, co ślinił, był mały, z kaczym nosem, spod którego wyłaziły przygniecione wąsy.

— Panie wójcie, ja za interesem.

— A bo co?

— „Arka" potrzebna.

— To sobie zróbcie. Nad Żabim Skrzekiem, zara koło Walczaka — miejsce niczego, gront suchy.

— I place, panie Kozłowski.

— Ii, na to mamy czas.

— Nie mamy, panie Kozłowski. Musi być w try miga. Dziś place zajmiemy, jutro zabudujemy. Forsę mamy.

— Macie?

Gdy Kozłowski, forsą poruszony, wystawił się pod światło, to się dopiero wydało, jakie ma on oczy: szeroko rozstawione, jakby nawet nie oczy, ale ślepia, małe, schowane w głębokich dołach pod brwiami, kłujące.

— A co pan myśli? My z Celulozy. Dziewięciu nas. Dziewięć placów chcemy od zaraz, za kwitami, żebyś miał pan z nami spokój i ochlaj, jak się patrzy.

— No to ja tak znowuż zaraz nie mogie... Dziś za późno, jutro odpust mam. Pojutrze, panie Korbal, pojutrze czyli znaczy się w środę pójdę do magistratu i radcy zamelduję.

Pogadali jeszcze o tym i tamtym, po czym Szczęsny zszedł za Korbalem na samo dno kotlinki, do gnojówki, zwanej Żabim Skrzekiem, dokąd rowkami odchodziły brudy z okolicznych budek. Obeszli te wonności dokoła i wspinać się poczęli na przeciwległy pagórek, szukając dogodnego miejsca na „arkę".

Wreszcie Korbal wbił łopatę i odmierzywszy kilka kroków, krechę obcasem przeciągnął.

— Stąd dotąd. A na głębokość trzy metry.

Splunęli w dłonie i wzięli się do kopania.

Kopali nawet wtedy, gdy maślany krężel księżyca wypadł na mleczną drogę i potoczył się po łebkach gwiazd. A kiedy zdarzyło mu się zapaść w chmury, to całe bractwo, leżące na trawie przed sklepem Sosnowskiego, podnosiło zalane twarze i groziło biedakowi:

— Gdzieś wlazł, gdzie?! Świeć prosto, pieska twoja niebieska...

Nazajutrz kopali tak samo zawzięcie od świtu do zachodu i wykopali jamę długą na trzy metry, a wysoką, że można było wyprostować się swobodnie. Pod tylną ścianką rozesłali słomę, zdobytą u chłopów, powracających z targu i po raz pierwszy położyli się do snu we własnej siedzibie.

— Jutro trzeba od frontu żerdziami zagrodzić — powiedział ziewając Korbal. — Zostawić tylko na przełaz, resztę zagrodzić i gliną obrzucić. I górę trzeba podeprzeć, bo to nie wiadomo...

Obudzili się późno. Spaliby jeszcze, strasznie zmordowani, gdyby nie szuranie i głosy nad nimi.

Wyjrzawszy, zobaczyli Żydów, którzy przybyli razem z Kozłowskim z Wieliszewa i siedzieli wczoraj na kupie całą rodziną: ojciec z matką — już nie młodzi, syn z córką lat może 14—16 i najmłodsze — dziewczynka kilkuletnia. Teraz robili sobie „arkę", rodzice ze starszymi dziećmi, we cztery łopaty — ziemia pryskała na wszystkie strony.

— To ty co, parchu jeden — wrzasnął Korbal — innego miejsca nie znalazłeś, tylko akurat nade mną?! Zmiataj stąd, gejzyr sobaczy!

— Nu, dlaczego zaraz gejzyr? — uspokajał go z góry Żyd. — Ja tu przyszedłem, bo pan sąsiad...

— Czekaj, czekaj, ja powiem — przerwała Żydówka, i do Korbala — Pan wybaczy, ale to moja wina. Bo kiedy pana zobaczyłam...

— Oj, Fejga, ty nic nie mów — ostrzegał ją Żyd. — Ty nic nie mów, bo pan jest zły. Ja powiem...

— Ty nic nie powiesz! Też mówiec... Więc kiedy pana zobaczyłam, to mówię do męża: „Lejzorku, ten pan to mi się wydaje taki lepszy, taki kulturalny. On nie skrzywdzi biednego krawca. On nawet obroni, jeśli łobuzy przyjdą. Zobaczysz, będziemy dobrze żyli, może nawet coś mu uszyjesz"... Oj! — krzyknęła przeraźliwie, załamując ręce. — Oj, co ja nie widzę! Już! Już jest!

I schodzić poczęła w dół z ręką wyciągniętą w stronę Korbala.

— Pan podniesie rączkie. Ot tak... Nu, czy nie jest podarte pod paszkami?! Ajaj, takie wstydliwe podarcie... Pan pozwoli!

Zręcznym ruchem ściągnęła z Korbala marynarkę i poszła do męża.

— Lejzorku, weź to zaraz do roboty. Pan będzie spokojny. On to ładnie panu zaszyje. Lejzorek jest piękny krawiec, prima krawiec. Jak Bóg da, kupimy maszynę, to ludzie we Włocławku będą mówić: „szyj pan tylko u Lubarta!"

Po kwadransie przyniosła Korbalowi marynarkę.

— Wcale nie znać. Pan sąsiad ma dobry ranek, pan sąsiad już zarobił pół złotego. Na zdrowie...

Korbal coś tam mruknął. Czuł się widać głupio. Kupiła go baba tą marynarką, nie ma co... Ostatecznie, nic mu nie przeszkadza, że Żydzi mieszkają nad nim. Ale żeby za pół złotego?

Zapiął się więc, ramionami niezależnie ruszył i zawołał:

— A nie masz ty, gejzyr, czosnyku trochę?

— Co cóś czosnyk?

— Bo szalenie lubię. Ale żeby był ten prawdziwy, żydowski...

Fejga wzięła się pod boki, rozpromieniona, zwycięska.

— Nu, nie mówiłam? — rzekła z rozczuleniem. — Jak on to ładnie powiedział: żeby był prawdziwy, żydowski...

Była chuda, wysoka, hałaśliwa, w ogóle ta Fejga — wstyd powiedzieć — podobna była do matki Szczęsnego.

Starsze dzieci nie odzywały się wcale, kopiąc bez przerwy. Może wstydziły się za rodziców, że tak się płaszczą, nadskakują. A to najmłodsze nic sobie z nikogo nie robiło. Szło do obcych z ufnością w oczach ogromnych i nie do wiary niebieskich. Jeszcze nie bite, nie krzywdzone... Brajńcia, Brajnyśkie — tak na nią matka wołała, a chciałoby się powiedzieć — Wieśka. Jasna i wiejska. Brudna była, bo brudna, mordkę miała całą umorusaną i koszulinkę Bóg wie kiedy praną, a taka delikatna i rozśpiewana, że nawet Korbal ją w końcu pogłaskał:

— Ale toto sobie świergoli...

Ale ona najchętniej szła do Szczęsnego, chyba dlatego, że mówił z nią poważnie.

Pod koniec dnia, gdy „arkę" od frontu ścianką z żerdzi zamknęli i sufit słupkami podparli, zostały na ziemi kawałki kory. Szczęsny zrobił łódeczkę, kawałek szmatki naciągnął na maszcik i Brajńcia pobiegła do Żabiego Skrzeku. Puszczała tam swoją łódeczkę, ale wróciła z pustą rączką.

— A gdzie masz łódeczkę?

— Chłopcy się bawią.

Nawet nie zdawała sobie sprawy z tego, że zabrali. Dopiero Szczęsny na nich huknął, wtedy oddali.

Wieczorem leżąc na słomie, Szczęsny długo rozmawiał z Korbalem o placach. O tych placach, które już wybrali, wyznaczyli i za które jutro Kozłowski wpłaci zarządowi miejskiemu po złotówce „tytułem symbolicznej dzierżawy". Licho wie, co to znaczy, ale kwit dają za pieczątką i budować się wolno.

Na dworze deszcz kropił, a u nich było sucho i wygodnie, i można było myśleć o domku z ogródkiem i małym chlewikiem.

Obudziło Szczęsnego uderzenie w brzuch. Coś go uderzyło i zapłakało. Chciał krzyknąć, ale poczuł w ustach ziemię. Ziemia sypała się z góry i w „arce" się kotłowało. Korbal klął i kopał na wszystkie strony. Ludzie podnosili się, wpadali na siebie i znów się walili, i tylko Fejgi głos w tym kołomęcie brzmiał spokojnie:

— Już, już, panie Korbal, już jest dobrze!

A jak miało być dobrze, kiedy ziemia się obsunęła i cała rodzina Lubartów wpadła im do „arki"?

Korbal krzyczał, żeby się wynosili póki dobry, ale to było takie sobie gadanie. Nie wyrzuci przecież na dwór, kiedy leje jak z cebra.

Nareszcie wszyscy jako tako się pokładli. Szczęsny wiedział już, że to co spadło mu na brzuch — to Brajńcia. Położył więc obok, kurtką przykrył, ale ona spod kurtki wyciągnęła ręce, namacała podbródek, uszy, nos.

— Masz nos?

— Mam. Nawet duży.

— Dlaczego duży?

— Żebym łapał zapachy.

— I muchy?

Korbal warknął, żeby dali spokój, mała więc przytuliła się do niego i szeptem powtórzyła: „I muchy?" — „No jak kiedy — wykrętnie odszepnął Szczęsny — czasem wciągam do tej trąby". — „Pokaż — i paluchem go w dziurkę od nosa. — Pokaż. Tam siedzą?"

— Sza, Brajnyśkie, sza — uspokajała ją matka. — Musisz spać. Pan się gniewa.

Mała wierciła się czas jakiś, ale już nie gadała. Szczęsny czuł na szyi łaskotanie jej rzęs, jak mrugała, potem mrugała coraz rzadziej, w końcu łaskotanie ustało. Usnęła. Szczęsnemu przy tym dziecku było ciepło i dobrze.

Z rana Lubartowie wyprowadzili się wyżej, do jakiejś opuszczonej „arki". Była mała, na bezdzietne małżeństwo, zaczęli więc ją poszerzać. A Szczęsny z Korbalem, naprawiwszy u siebie szkody po nocnej katastrofie, zabrali się do stawiania pieca.

Przy tej robocie zastał ich pan radca.

Radca wiele słyszał o Kozłowie, nieraz podpisywał kwity na place dla bezdomnych przy rogatkach miejskich, ale nigdy tam jeszcze nie był. Kiedy więc zgłosił się do niego dozorca terenów miejskich, Koz-

owski Feliks, po podpis na dziewięciu nowych kwitkach, radca bryczkę awołał i z Kozłowskim na miejsce pojechał.

— To to jest, powiadacie, „arka"? — pytał się radca, zaglądając do rodka. — A Noe? A gdzie jest w takim razie Noe?

— Noe, panie dziejku, za panem stoi — odparł Korbal, zgarniając kant cegły glinę z ręki. — Kozłowski pierwszy tu się ratował.

— Kozłowski, he? — dziwił się radca. — A dlaczego przyszliście u, Kozłowski?

— Bo zostałem, proszę pana radcy, z dozorstwa wyrzucony. Byłem Rozorcą na Trzeciego Maja. Gospodarz powiedział, żebym sobie poszedł, więc co, myślę sobie, mam iść do Wesołego Miasteczka? To już lepiej á rogatki.

— I pan się przeniósł.

— Pewnie. Spokojnie tu, bez ścisku. „Arkę" sobie zrobiłem. Bez rok rzymałem się w ziemi, dopokąd nie dało się wyleźć do domku.

— Patrzcie, ja na domek nie mogę sobie pozwolić... Jak to zrobiliście? Z czego?

— A z czerepów, panie radco. Na cegłę nie miałem, to chodziłem do Fajansa. Brałem stare formy po talerzach, co fabryka wyrzuca. Jak koście białe. Po naszemu — czerepy. Pełno tamuj tego śmiecia. Brałem te czerepy do worka, nosiłem i żona nosiła, aż się uzbierało na chałupę. Wtenczas lepić zaczęliśmy gliną, i ot stoi — proszę popatrzeć.

Radca spojrzał na białą chatkę, pokiwał z uznaniem.

— No, no, nikt by nie uwierzył... Z czerepów. A inni?

— A to już jak kto może. Jeden z obladrów buduje, drugi glinę z trocinami miesza, bogatszy — z cegły.

— Widzę, widzę... Kilkadziesiąt budek. A ile tu was jest wszystkich razem — w „arkach" i w domkach?

— A z dzieciami to chyba ze czterystu będzie. Ludzie idą i idą.

— Słowem, nowa dzielnica rośnie — Kozłowo, he? — zaśmiał się radca i nagle spoważniał.

— Swoją drogą to nie jest w porządku. Kozłowo? Co to jest? Ja dwadzieścia lat pracuję dla miasta i żadnej dzielnicy po sobie nie zostawię, a wy co — w nieśmiertelność sięgacie? Wielki człowiek, he?

— Kiedy pod słowem, panie radco, nikogo nie namawiałem. A taką nieśmiertelność to mogę oddać za dwa złote miesięcznie i wszystkim tu będę mówił, żeby nazywali według pana radcy...

— No dobrze, dobrze... Zobaczymy. Pokażcie mi teraz te place.

Korbal i Szczęsny też z nimi poszli. Pokazali swe place, wszystkie już wymierzone — dziesięć metrów na dziesięć. Jeden tylko plac Szczęsnego, miał dwanaście na dwanaście. Bo Szczęsny wybrał przy „arce" — gdzie w jednym rogu stał głaz, a w drugim było usypisko. Musieli mu naddać, aby wypadł kwadrat.

— Ale ty masz oko, chłopcze — pochwalił radca. — Piękny widok!

Przed sobą mieli jeziorko Grzywno. Na przeciwległym brzegu zmierzwione krzaczki i sosenki, prześwitując gdzieniegdzie łysinką piasków, ciągnęły się pod ulicę Płocką i Stodólną. Dalej wznosiły się kominy Celulozy i Elektrowni Miejskiej, a jeszcze dalej, na zarzeczu, mieniły się wszystkimi odcieniami zieleni pięknie zalesione wzgórza Dolnego Szpetala.

Z łagodnych stoków spływały do Żabiego Skrzeku domki różnego kształtu i koloru. Młody lasek rósł za wałem z chorągiewką, skąd ciągle dochodziły odgłosy strzałów. Była to strzelnica Czternastego pułku piechoty.

— Tak — westchnął radca — ja bym tu sobie willę postawił, gdyby was nie było. Przegapiłem... A więc, powiadacie, już czterysta osób? I co za jedni? Złodzieje, dziewki, włóczęgi różne, co?

— No nie można powiedzieć, panie radco — odrzekł Kozłowski, dotknięty na honorze swej dzielnicy. — Porządne ludzie też przychodzą, najwięcej spośród robotników. Od Bohma, od Fajansa, z Celulozy... Jeszcze więcej ich przyjdzie, a te dziewczyny i skoczki stąd się wyniosą.

— Dokąd?

— Ja myślę, że na Kokoszkę.

— Tak, tak... — zastanawiał się radca. — I to wszystko będzie rosło? Samorzutnie, bez magistratu? Można przecie zrobić akcję jakąś, twarzą do szarego człowieka, tanie domki na własność...

Myślał, myślał — w końcu:

— Powiedźcie, Kozłowski, jakie domki są najtańsze?

— Mnie się widzi, że z oblardów, bo to 7 złotych meter.

— Nie, Kozłowski, nie! Można jeszcze taniej. Za darmo można! Po prostu trzeba wydawać kwitki na posusz do miejskich lasów i wraz z kwitkiem — planik! Ścianki z drągów posuszonych, pomiędzy ściankami krowi gnój, takiż dach i domek gotów. Ciepły domek, bo krowi gnój jest kaloryczny, bardzo kaloryczny!

— Panie radco — powiedział ostrożnie Kozłowski, żeby nie wy-

padło jak do małego dziecka — ależ w takim domku nawet bydło nie wytrzyma. Smród, robactwo będzie, szczury...

Przez chwilę pan radca patrzył na niego zgaszony, potem ręką machnął.

— A to róbcie, jak uważacie. Ja chciałem dla waszego dobra...

Poszedł do bryczki na szosie, a Kozłowski, drapiąc się za uchem, odprowadzał go wzrokiem pełnym rozterki:

— To przecie doktór...

— Jaki doktór? — spytał Korbal.

— Nie wiem. Na drzwiach u niego stoi — doktór. Uczony... A w głowie ma same te... kalaryczne! To ja mam dzieci do szkół posyłać?

Po południu Szczęsny został w „arce" sam, bo Korbal wybrał się gdzieś na wesele.

Przyszła Lubartowa. Długo tłumaczyła, co oni są winni panu Kośmińskiemu i co pan Kośmiński jest im winien, a z tego wszystkiego wynikało niezbicie, że jeśli dadzą panu Kośmińskiemu jeszcze cztery dniówki czyli jeden dzień pracy we czwórkę, to będzie koza. A pan Szczęsny rozumie, co znaczy koza dla biednego Żyda.

Szczęsny wszystko rozumiał prócz tego, po co ona to mówi.

Otóż, tłumaczyła Lubartowa, muszą iść jutro do Wieliszewa na folusz pana Kośmińskiego. Brajnyśkie jest za mała, nie dojdzie, ona znów dźwigać Brajnyśkie nie może — spojrzała wymownie na wydatne łono — bo Bóg znów błogosławi...

— Czy pan Szczęsny nie będzie grzeczny? Bo jak tu wszystko jedno jest cały dzień, to niech tylko spojrzy czasem na małą. Ona nic nie potrzebuje. Mądre dziecko. Ma swój garnuszek, w garnuszku ma jedzenie. Tylko spojrzeć, nic więcej, co, panie Szczęsny?

— Dobrze, mogę spojrzeć — zgodził się Szczęsny.

Potem komin od pieca wyprowadzał na zewnątrz „arki", a potem przy wędce majstrował, tak że zupełnie zapomniał o tej rozmowie, i obudziwszy się z rana bardzo się zdziwił, ujrzawszy dziecko przy sobie. Siedziała na słomie obok, obiema rączkami przyciskając do piersi gliniany garnuszek.

— Co ty tu robisz?

— Mamesi kazała.

— Co ci kazała?

— Żebym na ciebie patrzała!

— A mnie kazała, żebym patrzył na ciebie. Twoja matka, widzę, cwana.

Podszedł do pieca. Piec go więcej obchodził: będzie dymił czy nie będzie?

Nakładł chrustu, podpalił. Piec nie dymił. Komin ze starej rynny dawał dobry ciąg. Przystawił więc menażkę z kawą zbożową, zajrzał do garnuszka małej.

— Co tam masz?

— Ferfelki.

Białawe drobne kluseczki były w garnuszku. Złociste oczka na nich drżały jak rosa. Powąchał: rzepak. I też do ognia przystawił.

Po śniadaniu wziął pudełko z robakami i polazł do wyjścia. Mała została przy piecyku. Szczęsny obejrzał się. Patrzyła na niego w napięciu, przechyliwszy głowę, z garnuszkiem przy piersi. No i jak tu taki drobiazg zostawić? Zawołać, jak matka na nią woła — Brajnyśkie?

To imię przez usta nie mogło mu przejść, więc powiedział:

— Chodź, Bronka, na ryby. A garnuszek zostaw na piecu.

Poszli na Grzywno.

Mała trzymała się jego nogawki jak matczynej kiecki, to mu przeszkadzało, dał jej palec wskazujący. Obłapiwszy go, poczuła się pewniejsza, poweselała i zaczęła opowiadać, że widziała ogromnego żuka, na kupce widziała. Ale był ładny! Błyszczący i wielkie miał rogi!

— To rogacz. On zawsze na końskim łajnie... Tym się żywi. Co się krzywisz? A człowiek, myślisz, inaczej? Sosnowski na przykład, wódkę po kryjomu sprzedaje, kradzione rzeczy kupuje... Albo Witkiewicz. Dziewczynę na ulicę wygania, a jak mało przyniesie, to bije. Albo Udałek z Sumczakiem, całe przedsiębiorstwo. Żyją z groszówek od robotników. Temu urwie, od tamtego w łapę weźmie i na kupkę, i na kupkę! Też łajno.

Doszli do wąskiej odnogi Grzywna, które dalej rozlewało się w bajorko. Szczęsny spodnie wysoko podkasał, wziął dziecko na ręce i przeniósł na drugą stronę.

Znalazł tu miejsce, zdawało się, dobre — pod wierzbą, za trzciną. Przykucnął, wędkę rozwinął, robaka nadział i małej podał.

— Popluj.

— A po co popluć?

— Na szczęście. Żeby się ryba łapała.

Mała pluła uczciwie, ile śliny starczyło.

— Dosyć. Teraz zobaczymy, czy masz szczęście.

Zarzucił na czystą wodę pod trzcinę. Brajńcia trajkotać zaczęła, ale Szczęsny palec do ust podniósł — cicho! Ryba się przestraszy.

Brajńcia umilkła i podawszy się naprzód, z rączkami na kolanach, patrzyła z twarzą męczeńską na spławik, który udawał topielca.

Słońce prażyło. W niebie bezchmurnym wysoko, wysoko wisiał jastrząb na skrzydłach rozpiętych. Cień jego szybował niekiedy po powierzchni jeziora. Od wody odblask bił na trzcinę. Gdy wietrzyk marszczył rozmigotaną toń, świetliste fale jedna za drugą przelewały się w górę po świeżych tegorocznych łodygach, zda się drżały jeszcze w powietrzu nad nimi, i to chybotanie świateł było jak dobre wspomnienie.

Nagle spławik drgnął, obrócił się na piórku, posunął pod trzcinę i leniwie, od niechcenia poszedł pod wodę.

Szczęsny podciął. Zatrzepotało i zamarło. Ostrożnie wyprowadził za wodorosty i podciągając pod powierzchnię, wiedział już: leszcz! Pysk rozdziawił, płetwy złożył — zdurniały zupełnie. Spory nawet leszczyk, półkilowy.

Przeciągnąwszy mu drucik z patykiem pod skrzelami, uwiązał go Szczęsny pod brzegiem i odwróciwszy się, wyszukiwał w pudełku dobrego robaka. Wtem słyszy krzyk i płacz. Odwraca się — a ta mała trzyma drucik i beczy. Odczepiła, widzicie, od gałązki, ale zamiast wziąć drucik za koniec, wzięła za patyczek pod skrzelami. Leszcz ześliznąwszy się po drucie, majtnął ogonem i poszedł.

Sklął ją Szczęsny niemożliwie, aż się od płaczu zaniosła. Opamiętał się — cóż toto winno? — i podał jej robaka do poplucia. Nachyliła się, śliną i łzami nakapała.

I odtąd zaczęło brać. Same szprotki wprawdzie, ale gęsto. Przeważnie linki i karaśki.

W Celulozie zabuczało na obiad. Szczęsny rzucił okiem na rybę przy brzegu — ponad kilo będzie — zaczął zwijać wedkę.

— Na dziś starczy. Można się teraz wykąpać.

Odwiesił koszulę na krzaku i naraz spostrzegł, że mała tak samo nogi szeroko rozstawiwszy ściąga przez głowę koszulkę.

— To i ty chcesz do wody? Wody przecież wy się boicie.

— Ja się nie bojem!

Zadzierając roześmianą buzię do niego, łapkami poklepywała się po pupce — ona też! Ona też za nim pójdzie do wody!

— Jak rany, przykro patrzeć, żeś ty takiej wiary. A może chcesz być katoliczką?

— Chcesz!

— No to jazda!

Postawił ją przy brzegu, gdzie wody było jej po kolana, jemu po kostki.

— Pięty trzymaj razem. Na baczność. Przed Bogiem stoisz. Nie myśl o niczym brudnym, ani o koszulce, ani o tym żuku. O czymś czystym myśl sobie — o niebie.

Pokropił złociste kudełki, łapą swą głowinę tę przykrył.

— W imię Ojca, i Syna, i Ducha Świętego... żebyś, głupia, od tej pory była Bronką!

Taki chrzest ma się rozumieć nie jest prawdziwy. Gdyby to był ks. Wojda powiedział — to co innego. Ale z drugiej znów strony, jeśli katolik Żydziaka pobłogosławi i szczery pacierz za niego zmówi — to też trochę trzyma, i ten dzieciak nie jest już tak bardzo żydowski.

Rozgrzeszywszy się tą myślą, podrzucił Szczęsny Bronkę na plecy, krzyknął „trzymaj się mnie za włosy!" — i plusnął do wody.

— Morskie konie jesteśmy, rozumiesz? Koń duży prycha — tu Szczęsny prychnął okropnie — a mały konik cienko rży „ihihi"!

— Ihihi! — śmiała się Bronka, kopiąc go po bokach piętkami, a Szczęsny płynął jak silny zwierz jakiś wodny do połowy wychylony z fali, która szła przed nim. Pływał znakomicie. Wołgę nieraz brał tam i z powrotem, więc co dla niego jeziorko dwuhektarowej powierzchni? Kałuża i tyle.

Z Kozłowa wybiegły wyrostki i dzieci, patrzyły z zazdrością, że tak pływa. Ale ktoś poznał Brajńcię. Sypnęły się wyzwiska, a najgorsze, że Szczęsny usłyszał:

— On już potrzebuje, a że żadnej jeszcze nie ma, to choć taką małą pościska!

— Potrzebuje! — wołała radośnie Brańcia, pluskając w powietrzu piąstkami, do człowieka na brzegu, co półleżąc na łokciu bawił się kamykami. — Takom małom potrzebuje!

— Cicho bądź! — syknął Szczęsny.

Gniew go porwał — na tego tam na lądzie. Zawrócił, by mordę skuć, ale... ale ten człowiek miał szramę! Sina pręga biegła od ucha przez policzek, więc Szczęsny skręcił ostro do brzegu, uciekał ścigany śmiechem chełpliwym:

— Ho-ho-ho, jużeś zwiał? Chodź no, chojraku, pogadamy...

Szczęsny już wiedział, że to drugi Sosnowski. Bo Kozłowo miało dwóch Sosnowskich: jednego przy rogatkach, sklepikarza i pasera, a drugiego złodzieja i bandziora. Tak samo siłacz, ale zręczniejszy i bar-

dziej sprytny. Znikał niekiedy na dłuższy czas z Kozłowa. Korbal mówił, że jest to kuzyn pierwszego Sosnowskiego. Ale Kozłowski twierdził stanowczo, że nic podobnego — żadnego pokrewieństwa. O tym drugim Sosnowskim pieśni podobno śpiewają po więzieniach, a poznać go można po szramie od ucha.

Na brzegu, ubierając się spiesznie, powiedział Szczęsny ze złością do Bronki:

— A ty rąk nie wyciągaj do każdego. Ludzie są podli, rozumiesz? Świnia ruka, gdy knurka potrzebuje, a człowiek cały czas się świni. Nie cierpię ludzi!

Wziął wędkę, pudełko, robaki na drucie. Podał palec małej i odszedł, unosząc z lekka ramiona, jak gdyby przyschła do nich jakaś grudka plugawa i dokuczliwa.

Przeszli krzaczki i sosenki aż do Stodólnej. Tu Szczęsny schował Bronię w zaroślach, a sam poszedł do ogrodów, które wychodziły na tyły Stodólnej. Narwał rzodkiewek, szczypioru i pietruszki. Potem poszli do domu.

W „arce" musiał czym prędzej odgrzać ferfelki w garnuszku, bo dziecko było strasznie głodne. Dopiero gdy je nakarmił, nie bez tego oczywiście, żeby nie skosztować ferfelków, bo mu łyżkę do ust pchała, to się zabrał do gotowania. Rybę wypatroszył, oskrobał, ziemniaki obrał, wrzucił to wszystko do garnka, dobrze posolił, a gdy było już prawie gotowe, doprawił szczypiorem i pietruszką, nie żałując, tak że kożuch się zrobił zielony i para poszła ostra, drażniąca.

Nim podjedli, pozmywali, to i wieczór zapadł.

Za cmentarzem dogasało palenisko. Błyski grały na skraju nieba jak na uchylonych drzwiczkach i cienie drzew cmentarnych padały za szosę, na Kozłowo.

Siedzieli w „arce", twarzami do wyjścia, i chrupiąc rzodkiewki, rozmawiali leniwie.

— Człowiek musi kogoś mieć...

— A po co musi mieć?

— Żeby komuś wierzyć, żeby czasem wszystko powiedzieć. A ja nigdy... Odludek czy co? Raz miałem przyjaciela, ale to się prędko urwało. Potem to już tylko z Brylkiem mogłem pomówić, a i ten w końcu mnie pogryzł.

— Ja ciebie nigdy nie ugryzę!

— Nie przysięgaj, bo to nigdy nie wiadomo. Brylka też trzymałem na kolanach, a on co? Popatrz, jaki znak na łydce. Tak mnie capnął...

Więc myślę sobie: co jest we mnie takiego, że nikt się do mnie nie garnie, najwyżej pies albo taki srajbisz jak ty?

— Ja nie jestem srajbisz! Ja jestem Bronka. Pokropiłeś! zmówiłeś w imię ojca i syna — no nie?

— To nic, że zmówiłem... A ty o tym nikomu nie mów, nawet matce — nikomu, rozumiesz? Bo te twoje Żydy to są jeszcze bardzo ciemne. Mogą cię ukrzywdzić za to, albo nie będą chcieli, żebym z tobą był.

— Nie, nie, żebyś byłeś!

— No to nie rozpowiadaj. Tyś mała jeszcze, głupia, nie wiesz, co to życie. Prawdę powiedziawszy, jak też nie wiem. Jak ks. Wojda prawił o zgodzie, to mi się zdawało, że wiem — tędy droga i już! A Marusik rąbnął po tej zgodzie i zgłupiałem. Zgłupiałem i ze złości nos jednemu popsułem.

— Na zawsze?

— Na zawsze. Będzie chyba krzywy — pies go drapał — co to mnie obchodzi... Ty się lepiej spytaj, co mam z sobą zrobić? W grudniu będę miał siedemnaście albo i osiemnaście lat — sam nie wiem. A do czego ja? Co umiem? To jest życie? Niech je piorun spali albo wojna!

— Dlaczego wojna, dlaczego?

— Bo gdy jest wojna, to wszystko się przewraca i można pójść do góry.

— Wysoko?

— No! Pomyśl tylko: my tak sobie rozmawiamy, a tu zza cmentarza wyskakuje wróg...

— To my zaraz uciekniemy!

— Głupia! Oni uciekną — ja ich znam — ci wszyscy przedsiębiorcy z Udałkiem i Panderą, i policaj... Czternastka też gdzieś poszła, nie ma wojska, nikogo nie ma, rozumiesz? A wróg już na Kozłowie. Co tu robić? Biegniemy na strzelnicę, ten karabin, co za wałem stoi, odwracamy i na wroga! Ja kropię, a ty taśmy podajesz...

Księżyc płynął w lekkiej zadymce. Świecił jak dla ubogich nad doliną biblijną, gdzie po „arkach" ludzie chowali się przed zagładą.

Żabi Skrzek grał wiosennym rechotem nie do wytrzymania, bo żaby chciały się kochać na zabój, miłością wieczną, niepowtarzalną, choć wszystkie wyrostki podniecone i mściwe biły w tę blagę kamieniami, choć wszystkie węże z Grzywna spełzały się na żer.

Tak zejdzie tu prawie do białego rana noc ciepła, czysta, jeśli patrzeć na gwiazdy, cuchnąca, jeśli przejmować się tym, czym ciągnie od dołu. I nikomu nic do tego, że na Kozłowie jest jedna jama przy wielkim kamieniu pod górką, że chłopak w tej jamie śni o ojczyźnie, która się na nim poznała. I gra mu już nie Żabi Skrzek, ale orkiestra. Może nawet z Czternastki. Może kujawiaki tego Łady, co w farze ma tablicę z marmuru. Gra na całego. Wszystkie światła płoną w stolicy. Mrowie ludzi obległo schody przed zamkiem, a po tych schodach bielutkich idzie on, Szczęsny, coraz wyżej i wyżej, na samą górę, gdzie wsparty na szabli czeka komendant w siwej kurtce, by przypiąć mu największy Krzyż Walecznych.

— Ja bym pokazał! Bo co mam do stracenia? Takie życie? Na wojnie, mówię ci, gdybym nie zginął od razu, to bym się z pewnością wydźwignął. Ale teraz?

Światła zabłysły w oddali. Dwa światła wypadły na drogę. Pewnie jakieś auto rządowe — nie zatrzymało się na rogatkach, nic nie dało Sosnowskiemu. Białym blaskiem reflektorów uderzyło w głąb jamy, oślepiając na chwilę, a gdy znikło na ulicy Warszawskiej, to się wydało, że nic nie ma — ani jamy, ani Kozłowa. Sam mrok. W tym mroku Witkiewicz ćwiczy swą dziewczynę — chudą widocznie dziewczynę, bo razy są suche i głuche. I gdzieś nad Grzywnem ktoś na organkach wydmuchuje wciąż tę samą czarną rozpacz: „gęsi za wodą, kaczki za wodą" — i powiedzieć już nie ma co, i nie ma komu, bo ta mała zasnęła, ta Brońcia niby, właściwie Brajnyśkie, ale czy to nie wszystko jedno...

VI

— To nie wszystko jedno — ozwał się ktoś w ciemnościach tuż przy samej jamie.

Mała zajęczała przez sen — Szczęsny widocznie ją trącił albo drgnął na ten głos. Przełożył głowę jej z kolan na słomę, podczołgał się do włazu.

Obok ich „arki" siedział na kamieniu człowiek z papierosem — ognik jarzył się gdzieś na wysokości piersi.

— Posłuchać, co ty tam wygadujesz — doprawdy koń by się uśmiał.

— Niech by się uśmiał. A pana kto prosił?

— Ba, kiedy ja się nie pytam. Zawsze sam przychodzę — nie proszony.

Zaciągnął się papierosem — w błysku tym zajaśniało przymrużone oko i szrama od ucha przez cały policzek.

— Przyszedłem, bo mam interes, a tu słyszę, opowiadasz takie rzewności... Nie można nie słuchać. Bo to i walka nie w kij dmuchał — jeden za wszystkich, na wszystkich, i cud nad Wisłą, i sam komendant krzyż przypina.

W głosie niskim, dudniącym była kpina wymyślna, niespieszna, odmierzana z zimną krwią. Szczęsny palce wbił w ziemię, zacisnął, obdzierany z najtajniejszych marzeń, wystawiony na chłostę szyderstwa.

— Bachorka tym do snu kołysze i mruczy, że Bronka czy Bra... — jak jej tam? — Brandełe — to wszystko jedno. No, myślę, omyliłem się. To nie ten chłopak. Tamten, jak Korbal mówił — to Boże uchowaj, kawał oprycha. Ojciec Korbalowi się żalił, że ze wsi musiał uchodzić, bo by syn spalił gospodarza. A tu ledwo przyszli, już komuś mordę skuł na płaską rzeźbę. A i na mnie się rzucił, tylko że w porę poznał. Ale jeszcze się oglądał, czy aby nie zawrócić, bo może on właśnie po to się urodził, żeby Sosnowskiego chlasnąć!

— No, jeden już chlasnął — odgryzł się Szczęsny. — Jeden już się przede mną narodził.

Gość na kamieniu nie od razu odpowiedział.

— Ale prędko mu się zmarło — odrzekł głucho i wolniej. — Dawno już ziemię gryzie ten, co Sosnowskiego chlasnął. I ty mi więcej z tym nie wyjeżdżaj, jeśli chcesz równo chodzić.

— A co mi tam... Powiedziałem, bo po co pan ze mnie się naśmiewa?

— Szczeniaku! Jaż dla twego dobra — żeby wyszły z ciebie te wszystkie rzewności, żebyś nie myślał, że coś się zmieni, że jest równość, sprawiedliwość... Nic się nie zmieni: Żyd zostanie Żydem, Polak Polakiem, biedny przy biedzie, bogaty przy bogactwie, a ty zdechniesz przy robocie! Albo bez roboty — tak też można... Kto się pozna na tobie, kto przyjdzie z pomocą? Jeden chyba złodziej — Sosnowski. Tak jest, otwarcie mówię, nie wstydzę się. Bo kto jest większy złodziej: Steinhagen czy Sosnowski?

Odrzucił papierosa, otarł usta, a kiedy znów przemówił, to już rzeczowo:

— Może kiedyś o tym pogadamy. Teraz nie mam czasu. O co mi się rozchodzi? Otóż, szmelc tu niedaleko jest dla mnie przywieziony i zakopany. Będzie chyba 200 kilo. W nocy, żeby nikt nie widział, odkopiesz to i poprzenosisz do Witkiewicza. Dam ci po 10 groszy od kila.

— A czemu Witkiewicz sam nie poprzenosi?

— Nie twoja rzecz. Podobasz mi się i już. A może Witkiewicz nie powinien wiedzieć, gdzie zakopane? Co to ciebie obchodzi. Daję robotę, tragarską robotę, płacę od kila. Chyba że się boisz...

— Ja się nie boję, tylko nie chcę.

— E, nie było jeszcze takiego, co by odmówił, gdy Sosnowski prosi. Popytaj tu ludzi, każdy powie: nie można! Nie można z Sosnowskim zaczynać. Lepiej w zgodzie.

Znów w tym głosie kpina zabrzmiała i taka była w nim pewność siebie, że Szczęsny pięści zacisnął. Nienawidził tego tam na kamieniu i czuł, że mu się oprzeć nie może — urzeczenie jakieś: człowiek, który nikogo się nie boi, o którym pieśni śpiewają po więzieniach.

— W nocy nie pójdę — odrzekł, ratując resztki swej niezależności. — W dzień na taczce przewiozę. Ziemią albo gliną przysypię, że niby wiozę na budowę chałupy.

— Można i tak. Więc uważaj: w tym lasku zaraz za strzelnicą. Na dróżce słupek działowy, a na nim sosna z zasiekiem. Od niej odmierz sześć kroków w prawo i kop. Najpierw pójdź tam z grubym drutem. Drutem piasek zgruntuj, wymacaj. Jak natrafisz, to sobie to miejsce zaznacz kamieniem czy jak... Leżą tam rury w kawałkach. Nieduże kawałki, ale ciężkie, bo rury są ołowiane. Potem, gdy Witkiewiczowi oddasz, możesz mi jeszcze ołowia nakopać z wału. W czasie obiadu, po trąbce, kiedy nikogo tam nie będzie, przebiegnij rowem do wału — nikt nie zobaczy. Za tarczami karabinów maszynowych dziabnij tylko łopatką — kule posypią się jak ziarno. Niegłęboko tkwią, na pół metra, całe mrowie. Możesz potem wytopić z nich ołów. Bezpański ołów, nikomu niepotrzebny, a dla mnie jeszcze lepszy niż z rur. Dałbym ci za niego nawet po 15 groszy. No więc? Dobra... Ja teraz wyjeżdżam. Nie będzie mnie parę tygodni, ale ty swoje zrób. Wrócę, to się rozliczymy. I żebyś nigdy nikomu pod żadnym pozorem... Choćby nie wiem co — nic nie wiesz, Sosnowskiego nie znasz... To byłoby na razie wszystko.

Wstał, przeciągnął się ziewając i zaczął schodzić w dół, ale po paru krokach, na odchodnem, jednak drasnął:

— A co do krzyża, to marszałek nie da, ale ja mogę. Mam z wojny krzyż i medal mam... Jak będziesz waleczny, to ci taką blaszkę przypnę.

Szczęsny został sam. Siedział przed swą „arką" oparty o ścianę wykopu, i patrzył przed siebie.

Zamierały zwolna odgłosy Kozłowa, ale dopiero gdy gwiazdy pobladły i wokoło widziało się wszystko brudno-szare, nie bardzo pewne, na tymczasem — dopiero wtedy wszystkie jamy, budki, domki, całą kotlinkę zmorzył sen. Cisza nastała, że zdawało się żadnego dźwięku nie ma na świecie i nigdy nie będzie, chyba tyle, co w uszach dzwoni.

Tę ciszę rozsadził od strony miasta, na szosie, przepity głos Korbala.

Z wesela wracał, wyśpiewując rozpaczliwie:

— Nie dla psa kiełbasaaa, sasa! Nie dla kooota skóóórka... Nie dla cieeebie, Korbal, ta rze...rzeźnicka cóóórka!

Szedł krokiem pląsającym, podrygując rękoma, prosto na chałupę Kozłowskiego, ale tu, gdzie grunt opadał, nagle Korbal się zbuntował. „Nie pójdę!" — wrzasnął i na kogoś się zamachnął, przepędzając precz.

— Dry... dry... — wołał gniewnie. — Drynda!

I zaraz poczuł się widocznie w dorożce, bo się rozsiadł wygodnie na ziemi, pojechał na tyłku w dół, zachwycony, rozśpiewany:

— Jadzie, jadzie sobie paaan!

Ale zjechawszy, podnieść się już nie mógł. Zadarł jeszcze nogę — „Paaan!" — i legł nieruchomo, rozkrzyżowany, z nosem do góry zadartym.

Srokaty piesek podbiegł do niego, obwąchał od nóg do nosa, ale Korbal właśnie świsnął tak przeraźliwie, że lokomotywa lepiej by nie mogła. Piesek odskoczył czknąwszy szczeknięciem, a Korbal świstał na całe Kozłowo, że wlał się w pestkę, do zupełnej pańskości, dostojny ze wszystkich stron i co mu teraz, łobuzy, zrobicie?!

Szczęsny to widział, bo oczy miał otwarte.

Nad Skrzekiem i Grzywnem nie było już prawie oparów. Poszły z wiatrem pod orosiały las, porozsnuwały się między drzewami. Obie tafle odbijały z początku czerwienią, potem miedzią, a potem widziało się, co się widzi w jasny dzień: na lewo — gnojówka, na prawo — jeziorko.

Tu i tam z kominów, z rur, z otworów ziemnych przebijały się pierwsze smużki dymu. Wstawali ci, co mieli do czego. Kobiety przebiegały z kubłami do Grzywna, tam i z powrotem. Mężczyźni, poziewając, szli nad Żabi Skrzek za małą potrzebą, potem, zapinając się, szacowali Korbala zazdrosnym spojrzeniem: ale się uchlał, skurczybyk, za wszystkie czasy...

Odeszli wreszcie do roboty ci, co robotę mieli. Na Kozłowie zostały dzieci, kobiety i ptaszki, które nie sieją, nie zbierają i jakoś się mają.

Dzieciaki obsiadły Korbala jak muchy. Jakiś berbeć dociekliwy patykiem w nosie mu grzebał, chcąc zbadać gruntownie, co tam tak świszcze, a Korbal dalej świstał.

Szczęsny patrzył na to wszystko, śpiąc z otwartymi oczami. Spał na progu swej „arki" i widział sen jak zmora, bo Kozłowo w porannym negliżu.

Tak go zastał tu ojciec. Przyszedł, jak się umówili, do Kozłowskiego, ten dopiero wskazał ich „arkę". Tak samo potem schodzić się poczęli inni. W południe wszyscy już byli na miejscu.

Próbował obudzić Korbala, ale głaz prędzej by się ruszył. Dali więc spokój i poszli do Kozłowskiego. Obeszli z nim razem swe place, jeszcze nie wierząc, że naprawdę je mają w dzierżawie za jedną złotówkę. Ale znowuż te kwity miejskie, z pieczątką... Jak się pobudują, jeden obok drugiego, to i ulica powstanie. A do tego czasu przetrwa się w „arce". Nie cieknie, piecyk jest, posłanie — czy można więcej na początek? Dobrze to wszystko Korbal „wykompinował", należy mu się coś za to, więc pogmerawszy w gotówce, zdobytej ostatnim wysiłkiem, złożyli na ręce cieśli po 112 zł i 50 groszy, za siebie i za Korbala, i poszli całą partią do Celulozy.

Ojciec milczał, zgnębiony jakiś, obojętny na wszystko. Szczęsny wypytywał, co w domu, czy zdrowi, może co zaszło? Tamten odpowiadał niechętnie, że zdrowi, nic się nie stało. Dopiero po dłuższej pauzie wyrzucił z siebie tę prawdę, co go zmogła:

— Grunt sprzedałem.

— Szwagrowi?

Skinął głową. Szwagrowi. Ma nareszcie, jak chciał. Za psi grosz, za sześćset złotych — dwie morgi. Wykorzystał, szuja, że tu gwałt, że nóż na gardle... Więcej nie dał. Dwieście złotych trza było zostawić Weronce na życie, a jak teraz Sumczak swoje weźmie — to ile będzie całego majątku? Jak tu myśleć o domku?

W Celulozie ojciec wywołał Sumczaka, odeszli na stronę, za warniki. Tu Sumczak forsę wziął i zaczął spisywać, jak się kto nazywa, ile ma lat i gdzie się rodził. Szczęsny latał od niego do ludzi, tam i z powrotem, znosząc mu te imiona i lata. Wszystkich Sumczak spisał, tylko Szczęsnego nie chciał, bo — mówił — dwóch z jednej rodziny w żaden sposób nie może, do tegoż jeszcze ten jeden nie ma metryki i pewnie nieletni.

Zbrakło więc do kompletu dziewiątego. Uradzili, że wezmą Gawlikowskiego, z którym Korbal trzymał — z Wesołego Miasteczka. Ale

Gawlikowski nie miał gotówki, prosił, żeby Szczęsny powiedział Sumczakowi, że go spłaci w oka mgnieniu, pod słowem, z każdej wypłaty po 10 złotych — niech tylko do roboty dopuści. Ten się zgodził i wyszedł wreszcie do wszystkich, zabierając z sobą na Plac Drzewny.

A na tym placu drzewa było więcej niż lasu w ich stronach. Z lewa i z prawa stały sągi wysokie, zwane „rejami", gdzie poskładano okrąglaki długości metra i dwóch. Sąg przy sągu, ciasno, długimi rzędami niby ulice — miasto całe, zabłądzić można. W sam środek placu wrzyna się tor kolejowy. Pociągi z drzewem zajeżdżają do wyładunku, gdzie się chce, a wózki po wąskich szynach biegną w różne strony z oskrobanym okrąglakiem.

Sumczak przyprowadził ich pod kantor pana Arciucha, bo ten był tu rządcą. Od pana Arciucha wyszedł młody pisarz, bo z ołówkiem za uchem, poszeptał z Sumczakiem, wziął listę i skinął na nich.

— Chodźcie do magazynu.

Sumczak odszedł, a ten młody wydał im z magazynu sześć ośników.

— Na trzy miesiące muszą starczyć. Po trzech miesiącach otrzymacie nowe, a te wam zostaną.

Chłopi brali ośniki za rączki, czy poręczne? Próbowali ostrza na paznogciu. Chuchali na stal, jak ona parę trzyma? Twarze skupione, niemal uroczyste pochylały się nad nowym narzędziem, które ma ich teraz żywić, z którym człowiek wiąże się na złą i dobrą dolę.

— Pójdziemy teraz na Wilka, tam będziecie strugać.

Później, już przy robocie, dowiedzieli się, że Wilk — to ta część placu, którą Celuloza kupiła od Wilczyńskiego. Obok jest Kaszuba, teren kupiony od Kaszubskiego, a dalej — Miejski, bo się nabyło od Zarządu Miejskiego. A razem plac drzewny ma 18 hektarów i leży na nim ćwierć miliona metrów przestrzennych drzewa.

Przyszli wreszcie na miejsce pracy, w samym końcu, niedaleko płotu.

— Na tej kobyłce będziecie strugać.

Kobyłka była długa — trzy ostre kolce sterczały z niej w równych odstępach.

— Niech trzech stanie z jednej strony, a trzech z przeciwnej.

Stanęli.

— Niech każda para weźmie po obałku i nabije na kolec.

Wzięli po okrąglaku, zwanym tu nie wiadomo czemu — obałkiem. Nabili.

— Obałek trzeba ostrugać z łyka, obrać do białego drzewa. Nic wolno zostawić żadnego murszu, ani łyka, bo to psuje papier. Dwóch robi przy jednym obałku — każdy po połowie. Potem odwracacie, strużecie z drugiej strony i odkładacie za siebie, do sortowania. Sortowników każda partia ma dwóch. Kto u was będzie?

Gawlikowski się wyrwał:

— Ja mogę, z Korbalem.

— Dobrze. Uważajcie więc: to drzewo, które oni oskrobią, musicie posortować na trzy gatunki: na bieloną celulozę, na normalną i na rotacyjną. Na bieloną odkładacie kloce piękne, zdrowe, na normalną — czyste drzewo, a wszelkie posuszowe kloce, chore, z czerwienią — na rotacyjną. Zaczniecie od tej rei, potem przejdziecie do tamtych dwóch. Zaraz numery ich za wami zapiszę.

Wyjął ołówek zza ucha, zapisał.

— Dobra. No i jeden musi dla wszystkich sześciu strugaczy drzewo szykować. Zrąbać musi wszystek mursz i sęki, wyrównać, gdzie ośnikiem nie można się dostać. To kto będzie siekierą?

Puste pytanie — któż jak nie cieśla!

— A więc w poniedziałek o siódmej trzydzieści stajecie tu do roboty. Co ostrużecie, to wasze — po dwa dwadzieścia od metra.

— A czy nie można od zaraz? Do wieczora daleko, jeszcze by się naciachało parę metrów na początek.

Rwali się do roboty. Ustać nie mogli w tym miejscu, gdzie tyle metrów wokoło, a z każdego można wystrugać dwa złote i groszy dwadzieścia.

— Nie, zaraz fajrant. W poniedziałek.

Nie to nie. Czekało się tyle, zaczeka się jeszcze jeden dzień.

Wracali na Kozłowo z ośnikami w rękach, z otuchą w sercach. Teraz już biedę z siebie strząchną! Robić przecie będą w zgodzie, rzetelnie, a żyć oszczędnie. Jeść muszą do syta, na to skąpić nie można przy ciężkiej pracy, ale po co przepłacać? Niech Szczęsny dla wszystkich gotuje i w południe przynosi. Za to każdy mu złotówkę odpali. Osiem złotych co tydzień — ładny grosz dla chłopaka, na ziemi nie leży.

Kucharzyć miał Szczęsny od poniedziałku, bo się znów porozchodzili po domach w pobliskich wioskach — zawiadomić musieli, że się poszczęściło z robotą i życie ułożyć na tymczasem.

W niedzielę, wróciwszy z kościoła, zostawił Szczęsny ojca w „arce" i długo chodził po okolicy, szukając grubego drutu. Znalazł wreszcie

za cmentarzem, ułamał metrowy kawałek i jeden koniec zagiąwszy na rączkę, szedł, wymachując tą laseczką, w stronę strzelnicy.

Spotkał Brońcię z białą kózką.

Mała poskarżyła się, że koza jej się nie słucha. Mamesi kazała chodzić z kozą koło domu, ale ta ciągnie ją za sznurek w krzaki i do lasu — wszędzie. A jak do niej mówić, to bobki robi i dalej sobie idzie.

— A ty ją witką — poradził Szczęsny. — Kto to widział, żeby bydlę rządziło!

Wziął sznurek i kózka od razu spokorniała. Szła równo jak na defiladzie, ledwo jednak Szczęsny przełożył sznurek do ręki Brońci, znów zaczęły się harce i psoty, i różne podstępy — wręcz nie do wiary, ile zmyślności siedzi w takiej jednej żydowskiej kozie!

— Koziu, stój! Cicho bądź, koziu!

— Na kozę tak się nie woła — pouczył Szczęsny. — Na kozę woła się baś-baś! I w ogóle może być ona Baśką.

Spędzili w lasku całe popołudnie. Pod naciętą sosną niedaleko słupka coś rzeczywiście było zakopane. Szczęsny tam grunt ponakłuwał, namacał, tylko że drut się ześliznął z okrągłego, wiadomo — rura.

Wrócili potem na Grzywno — mała z kózką do siebie, i on do siebie.

Z daleka zobaczył ojca z Lubartem na kamieniu przed „arką". Tak byli zajęci rozmową, że nie zauważyli, kiedy on wczołgał się do środka.

Zajrzał do garnka na piecyku — co tam ojciec ugotował? Kasza była i kapusty pełna miska.

Jadł łapczywie, przysunąwszy się do włazu, bo go zastanowiło, o czym ojciec może mówić z ojcem Brońci.

Żyd opowiadał, jak on maszynę stracił. Co znaczy krawiec bez maszyny? W ręku szyło się za króla Sasa. Teraz krawiec musi mieć maszynę i lustro, duże lustro, żeby klientowi robotę pokazać...

Ojciec potakiwał, że to jest to samo, co grunt. Człowiek, któren grunt stracił, nie ma żadnego oparcia, nie ma nic na stałe — suchy liść i tyle.

Szczęsny pojął, że ojciec bez gruntu zmarnieje. Trzeba czym prędzej dać mu nowy grunt, choćby na długość splunięcia, ale własny, i chałupę byle jaką, żeby znalazł nareszcie swe „oparcie".

Gdy Lubart odszedł, Szczęsny wylazł z „arki", przysiadł się do ojca.

— To kiedy budować się zaczniemy?

Ojciec wzruszył ramionami.

— Z czego?

— Jak to z czego? Kozłowski postawił chałupę bez grosza. Widział ojciec? Z czerepów ulepił.

— Widziałem. Ja bym tak nie lepił.

— A jak?

— A tak: ja bym związał słupy ściankami, niechby nawet były całowe, zawszeć można wtenczas od środka otynkować, a z zewnątrz czerepy wygładzić na taflę. Znowuż ten jego dach... Dach u niego strzywy.

— Ba, Kozłowski nie cieśla. A co do podmurówki, to my cegłę damy czy kamienie?

— Musowo cegłę.

Tak go Szczęsny podbechtywał, tak jątrzył, że stary z głazu ruszył. Wziął łopatę, począł kreślić na ziemi tuż za tym głazem, gdzie się ich plac zaczynał: jedna izba metrów pięć na długość, a cztery na szerokość, sionka metr dwadzieścia na szerokość, ze spiżarką w końcu, a kuchnia cztery metry na cztery, z piwniczką. Dach wysoki — na dobry strych...

Chodził po tym swoim domku, przestępując krechy, żeby nie zetrzeć — z pokoju szedł do kuchni — tu, mówił, dziewczyny będą spały, a my, chłopy, w izbie. Oczy mu rozbłysły, poweselał.

— A tak go postawimy, że jedno okno wypadnie na jezioro, a drugie na Celulojzę.

— A więc od jutra?

Stary jakby wypadł z tego domku na ziemię — znów zalękniony, miał przed sobą same kreski bez żadnego pokrycia.

— Ale czego ojciec się boi? Grunt mamy. Trzysta złotych mamy. Starczy na drzewo, na wapno?

— Powinno starczyć.

— Więc kupmy zaraz budulec i wapno. Gliny sami nakopiemy, trochę tych cegieł nazbieramy i czerepów spod talerzy naznosimy. Nic nie kosztuje — można budować. Nawet jak zbraknie na dach czy na coś tam jeszcze — przecież ojciec zarobi. Z każdej wypłaty połowę można odkładać. A ja będę robił jak dziki osioł, niech mi tylko ojciec powi co i jak — wszystko zrobię!

Ojciec ważył to wszystko, jedno z drugim wiązał i z tego wiązania wypadało niezbicie, że można. Rzeczywiście, jeśli się ostro zabrać, można przed zimą chałupę postawić.

Odtąd wszystko stało się bez znaczenia, po prostu z głowy wyparowało — trzymały się tam tylko ceny budulca, wymiary, sposoby, jakby najtaniej i jakby najlepiej? Stawiał w myślach chałupę swą oględnie, po gospodarsku, i coraz to na budę Kozłowskiego spoglądał, porównując, bo gdy się położyli (Korbala nie było, znów gdzieś się na mieście zawieruszył), nagle do syna się odezwał:

— A ty te drzwi Kozłowskiego widziałeś?

— Widziałem. Bo co?

— Na jeden szpunt. Kopnąć, to się od dołu rozlecą.

— A ojciec jak zrobi?

— Ja zrobię jak się należy — filungowe!

VII

Ledwo dzień bladym okiem zajrzał przez otwór do jamy, już ojciec obudził Szczęsnego. Wyleźli, zostawiając śpiącego Korbala, który wrócił z miasta po północy.

Calówką sprawdził cieśla wczorajszy szkic na ziemi, popoprawiał i siekierą kołków naciosał. Linki nie mieli, odwiązał więc kozę Lubartów, sznurem od Baśki przeciągnął linie wykopu.

— A tu — zaznaczył — wykopiesz dół na wapno. Od tego zaczniesz.

Po śniadaniu, gdy ojciec z Korbalem poszli do pracy, Szczęsny wziął się do kopania. Nareszcie robił dla siebie. Tyle lat tyrania dla innych, tyle domów i stodół obcych, a teraz dla siebie, swoje... Byłby tak rwał ziemię do wieczora, ciskał na kopiec — świeżą radość ojcowską... Ale w porę sobie przypomniał o nowym obowiązku i pobiegł na miasto po zakupy.

Chciał ugotować zupę zawiesistą, żeby łyżka stanęła. Ale ciągnęło go do łopaty, zostawił więc zupę na ogniu — niech się tymczasem pogotuje — i znów wlazł do dołu, a gdy z niego wyjrzał po niejakim czasie, pęczak już się przypalił.

Co się potem Szczęsny nie namozolił nad nim, nie dało się swędu zabić ani pieprzem, ani czosnkiem. Pieprz palił w gębie, czosnek kręcił w nosie, a zupa wciąż trąciła zgliszczami.

Z ciężkim sercem poniósł ją Szczęsny do Celulozy. Zdążył na przerwę obiadową. Ludzie dopiero schodzili z roboty. Ale to Szczęsnego uderzyło, że strugacze z innych partii podążają za nim, w ten sam koniec placu.

Zebrało się tam już sporo ludzi i wciąż przybywali nowi, tak że obyłka „chłopskiej partii" znalazła się w zwartym kole świadków milczących i chmurnych. Chłopi jednak nadal robili. Nic dla nich nie istniało poza obałkiem. Pochyleni nad nim, z jedną nogą do przodu, machali rytmicznie ośnikiem jak kosą. Nie mieli jeszcze wprawy, wióry ciały za grube, za to ich Arciuch obsztorcuje, w ogóle robotę brali na siłę — nie na sposób. Ale była w ich pracy taka zajadłość, że widziało się: dojdą! Lekkie, długie będą śmignięcia, bezustannie, jednostajnie, na sposób maszyny. I na liście wypłat te chłopy nie będą na końcu, na pewno nie.

Szczęsny wiadro postawił, miski porozdawał — dopiero wtedy przerwali pracę. Posiadali na kobyłce, na obałkach — gdzie kto stał. Jedli bez słowa, z oczami na łyżce. Żaden w Szczęsnego miską nie cinął, nawet nie przygadał. Czyżby z tego głodu i zmęczenia nie poczuli palenizny. A może mniejsza o smak, gdy tylu strugaczy schodzi się nagle, gdy się na nich, widać, gotują.

— Nie wiem, czy wy sobie zdajecie sprawę z tego, co robicie?

Marusik to powiedział — Szczęsny poznał od razu, nie widząc go jeszcze, bo stał akurat odwrócony plecami.

Wszyscy strugacze zwrócili głowy w jego stronę, wszyscy prócz chłopów". Ci jeszcze niżej pospuszczali, prawie do samych misek: nów sobie, nam nic do tego...

— Mnie się widzi, że nie. Nieświadomi jesteście tej roli, jaką wam narzucono. Chcę wszystko wytłumaczyć, żebyście potem nie mówili: , tośmy wcale nie wiedzieli... Otóż, za Moszewskiego strugacze na tym placu mieli tygodniówkę z tym, że partia nie może ostrugać mniej niż 187 metrów na miesiąc. Pandera ogłosił: „niech będzie nadal 187 metrów na miesiąc. Ale za każdy metr ponadto płacę dwa i pół złotego. Kto na to przystaje?" Strugacze nie bardzo na to szli. Obawiali się podstępu. W końcu partia Wachowicza przyjęła te warunki i w zeszłym miesiącu wyrobiła 300 metrów. Wtedy Pandera zaproponował akord. „Po dwa i pół złotego?" — zapytał Wachowicz. — „Nie, płacę po dwa złote i dwadzieścia groszy". Oczywiście wszyscy zrozumieli, że Pandera chciał tylko wypróbować, ile partia zdoła wyrobić, i akordu nie przyjęli. No cóż, jak nie przyjęli, to Pandera mrugnął do Sumczaka, Sumczak pobiegł na „łączkę" i was postawił do roboty. Do jakiej roboty? A do tej najpodlejszej — żebyście nam po 30 groszy z metra urwali, żebyście pomogli robotnika zgnębić! Tak się rzeczy mają. Wiecie już. Więc zapytuję was, czy na to pójdziecie, jak postąpicie?

Już nie jedli, ale oczu znad misek nie podnosili. Ktoś zawołał: „sami nie wiedzą". Inny odkrzyknął, że wiedzą, tylko się wstydzą.

— Ale czy tacy mają wstyd?

— Za bramę ich! Na wózki!

Tłum prychał docinkami, z pogardy wpadał w gniew. Robiło się gorąco.

Korbal miskę odstawił.

— A jak, po waszemu, mamy postąpić?

— Powinniście powiedzieć Sumczakowi otwarcie: „Panie Sumczak, nie wiedzieliśmy. Nie możemy w swoich uderzyć. Zostaw nas na tych samych warunkach, jakie wszyscy mają".

— A jeśli on odmówi?

— To trzeba zejść z roboty.

Chłopi pobledli. Wyprzedali się przecie do czysta. Sumczak forsy nie odda, więc jakże to: bez pracy i bez grosza? — Śmierć!

Ojciec wstał. Rękę podniósł do ust, łkanie tłumiąc czy gryząc palce. Szczęsny widział, co się z nim dzieje: domek przepadł, grunt przepadł, roboty nie ma, żadnego już nie ma ratunku.

— Ludzie — mówił, drżąc na ciele — nikogo nie skrzywdziłem. Każdemu schodziłem z drogi, biedowałem całe życie, a teraz już nie mogę...

Robotnicy ucichli, mając przed sobą tę wieś wygłodzoną i ciemną. A on wyrwał z obałka siekierę, poszedł do Marusika.

— Zabijcie mnie, ludzie — prosił, wyciągając siekierę — zróbcie do swej woli, zabijcie! Nie chcę waszej krzywdy ni wstydu dla siebie, a nie mogę.

— Uspokójcie się — odrzekł Marusik — nie po tośmy tu przyszli.

— Nie? — pytał się ojciec, wodząc po nich błędnym wzrokiem. — No to ja z placu nie zejdę!

Skoczył do swego obałka, rąbnął w sęk. Obrócił, odrzucił, chwycił nowy obałek i ciachał, że szczapki pryskały na wszystkie strony. Na wąsy obwisłe, wypłowiałe, kapały łzy, a on ciął i ciął zakazane, powtarzając raz po raz: „nie zejdę! Trupa weźmiecie, trupa..."

Zerwał się Korbal, a za nim strugacze. Rzucili się do kobyłki, na miejsca, do przerwanej pracy. Już nic ich teraz od niej nie odwiedzie. Nie oderwie! Póki czucia, póki sił — strugać będą. Niech im rękę rąbią, to ta druga będzie strugała!

— Towarzysze, proszę o spokój! — wołał Marusik do robotników. — Musimy tę sprawę przekazać związkowi.

— Któremu związkowi?

— Ja znam jeden tylko związek, który broni sprawy robotniczej — związek klasowy! Na Toruńskiej.

— Niech się schowa... Ja mam swój związek! Chrześcijański! Na Jaślanej.

Nie zdążyli pospierać się o te związki — który lepszy, który gorszy — bo zaryczało na koniec obiadu. Rozbiegli się do swoich kobyłek.

— Zabierz zupę — powiedział Korbal. — Zanieś na Żabią.

— Po co?

— Do straży. Niech strażacy zjedzą, oni lubią zaswędziałe. A dla was ugotuj coś prostego, bez spalenizny. Idź już, idź... Ważniejsze mamy kłopoty.

Mówił za całą partię. Ledwo sam się dostał, już rządzi.

Szczęsny zaniósł resztki zupy do Lubartów, dla Baśki, ale i koza nie chciała.

Za radą Fejgi zaczął gotować kapuśniak — na poprawkę. Fejga parę razy zaglądała do „arki", doprawiała — niezgorsza kobieta, i do tegoż ona jedna mówi „panie Szczęsny"...

Kapuśniak, owszem, partia pochwaliła, ale niewesoły był to posiłek. Próżno Korbal pokazywał Udałka, jak do nich przybiegł, wypytując, co Sumczak wziął.

— Pobiją się łobuzy o nasze pieniądze.

Nikt nie odezwał się.

— A wy, ojcowie, przestańcie. Przestańcie, mówię, bo martwić się nie ma o co. Korbal z wami. Z Sumczakiem rozmawiałem, widzieliście? Możemy robić spokojnie. Jeśli nawet klasowe będą chcieli nas wyrzucić, to chrześcijański związek obroni. Sumczak ma tam głos. Wy tylko dziś jeszcze się zapiszcie — tak radził — żebyśmy byli kolegami, Sumczak znaczy się i my.

— A jak my ludzi skrzywdzim?

— To se pójdźcie, ojczulku, do kościółka, ale głowy nam nie zawracajcie.

Nie było dla nich dobrego wyboru. Wybierać musieli pomiędzy swą zgubą a podłą robotą. Wziąwszy robotę, zupełnie się w niej zapamiętali. Palce im zesztywniały, rozczapierzone, rosochate — już tylko uchwyty do ośnika, do niczego więcej. Skóra dłoni zgrubiała na podeszew i ciągle pękała. To bardzo bolało. W nocy przez sen jęczeli.

Ale brali reję za reją, szli i szli w głąb placu drzewnego partią zgraną — siekiera, strugacze i sortownicy. Jeden drugiemu robotę podawał, zawsze tę samą, ruchem zawsze tym samym — nie chłop, lecz automat jakiś, robot nakręcony.

Kopce wiórów rosły za nimi i rosła ilość metrów ostruganych po dwa złote dwadzieścia.

Związek klasowy wołał na nich:

— Sługusy! Dzięki nim kapitaliści nas gniotą. Nie ma miejsca dla takich w naszych szeregach.

Związek chrześcijański litował się i niby to bronił:

— Biedaki wsiowe. Jak można wyrzucić takiego, który z głodu siekierę podaje, żeby go zarąbać.

Dyrekcja groziła, że opornych zredukuje. Sumczak, mówiono, już nową partię zbiera na „bezrobotnej łączce".

Łamała się jedność robotnicza i w końcu się załamała.

Partia za partią przechodziła na akord, na nowe stawki — plac drzewny się poddał.

Szczęsny w tym czasie kucharzył, kopał i nosił czerepy.

Ojciec zalał dół wapnem, przywiózł z tartaku za Białą Cegielnią dwie fury budulca: słupy narożne, obladry, kantowiznę i deski calowe na ściankę, a pięciocwierciówki na podłogę. Po fajrancie stawiał szkielet domu drewniany, by później obłożyć czerepami.

Szczęsny o świcie biegł z workiem do Fajansa. Chodził po rumowisku przebierając w starych formach po talerzach. Z jakiejś mieszanki gipsowej czy wapiennej. Okrągłe i białe. Wieczorem nadepnąć, to można się przestraszyć, pomyliwszy z czaszką ludzką.

Połamane czerepy odrzucał, napełniał worek całymi i wracał, by zaraz znów pójść. Dwa worki przynosił co dzień przed śniadaniem i dwa po obiedzie.

Po śniadaniu, gdy partia odchodziła, szedł z taczką na gliniankę i przed dziesiątą zdążył zrobić jeden kurs.

Wożąc glinę, przypomniał sobie o rurach Sosnowskiego. Odkopał cztery kawałki, każdy wagi około 50 kilo. Przewiózł je do Witkiewicza na dwa razy, pod gliną. W niecałe dwie godziny — dwadzieścia złotych! Widział kto taki zarobek?

Zachęcony tym zaczął wymykać się do strzelnicy, po powrocie z Celulozy. Rzeczywiście wał za tarczami nadziany był kulami jak strucla makiem. Pozbierał do woreczka raz, drugi i trzeci, w końcu zauważono jego kopanie. Pewnego razu wpadł w zasadzkę i ledwo

uszedł. Dał więc spokój. Wytopił, co zdobył, około 15 kilo i znów zaniósł do Witkiewicza. Na tym urwała się ich znajomość, bo Witkiewicz wkrótce znikł, porzucając swą dziewczynę. Do „arki" jego po pewnym czasie wprowadził się Michalski, z ich partii, zamieszkał z dziewczyną i już nie każdej soboty szedł na wieś do żony.

Na targ po zakupy chodził z Fejgą. Umiała kupić najlepiej, zawsze też doradziła, co ugotować i jak. Odwdzięczał się jej wiórami.

Gotował na wiórach. Z roboty partia wracała, taszcząc zawsze wór albo dwa.

Fejga zaraz przymówiła się o nie:

— Aj, panie Szczęsny, jakie to dobre palenie. Ja się tak morduję z tymi szyszkami i chrustami.

— Nie trzeba się mordować. Trzeba przysłać Szymka. Przyniesiemy.

Starszego rodzeństwa Brońci Szczęsny wcale nie znał. Ewa z Szymkiem wychodziła zwykle na miasto, a gdy nawet zostawali w „arce", to się trzymali od niego z daleka. Dlatego też Szczęsny wcale nie wiedział, dlaczego Szymek chodzi zawsze z Ewą. Dopiero gdy poszedł z nim po wióry i ten wywalił się do rowu, zawadziwszy o linkę, którą wytyczano nową drogę, to się wydało.

— Co ty ślepy? Nie widzisz?

— Prawie ślepy — odrzekł Szymek. — Widzę, ale słabo. Jak przez mętną wodę.

Chorował na oczy, parę lat temu, w Wieliszewie. Lekarza nie było, jak to na wsi. A gdy wreszcie pojechali do miasteczka, było już za późno. Lekarz wyleczył wprawdzie zapalenie, ale w oczach porobiły się zrosty.

Szczęsny zapytał, co to jest.

— Nie wiem. Doktór mówił, że gdyby mi w porę zapuszczono atropinę, to bym miał uratowane oczy. Wystarczyłaby jedna kropla.

Szczęsny nie brał go więcej z sobą. Sam przynosił wióry specjalnie dla Fejgi, albo dzielił się z nią swoim zapasem. Z tej rozmowy utkwiły w pamięci słowa Szymka, że czasem jedna kropla może człowieka uratować.

Na zawarcie bliższej znajomości nie miał czasu. Był w ruchu od świtu do nocy. Nawet z Brońcią nie miał teraz czasu pogadać, najwyżej w czasie gotowania obiadu, albo gdy przyglądała się budowie. Ściany były już postawione, wznosili obecnie wiązania dachu. Jeszcze tydzień, a zabiorą się do najżmudniejszej roboty — do kładzenia czerepów.

— Mam lekką rękę — myślał Szczęsny. — Dałem w papę białaskowi — zaraz ojca przyjęli do Celulozy. Wybrałem plac — chałupa ro-

śnie. I koza została Baśką, a Brajnyśkie — Bronką. Teraz już nawet rodzice tak na nią wołają.

Obok nich urządzał się Cichowicz, ale była to właściwie budka, nie domek. Inni z ich partii ciułali na budulec, jeden tylko Korbal żył beztrosko i dziwnie. Przestał pić, przestał grać, jednak po dawnemu chodził bez grosza. U Żydów ubrał się na raty. Miał kredyt, pracował przecie w Celulozie. Kupił nowy garnitur, kapelusz, kamasze — to wszystko sporo kosztowało, do tegoż z każdej wypłaty partia potrącała, co mu pożyczyła. Pieniędzy więc miał niewiele, a i te gdzieś przepuszczał. Lubart spodnie co tydzień prasował, żeby w sobotę po fajrancie mógł zniknąć na Warszawskiej Szosie Korbal, elegancki pan.

Cieśla przemówił mu do rozumu, a on na to:

— Ojczulku, ja moją chałupę kapeluszem postawię. I nie z czerepów jak u was. Murowaną!

Dni schodziły Szczęsnemu na pracy bez wytchnienia. Tyle tylko miał odsapki, co ten kwadrans obiadu. Przerwa obiadowa trwała w Celulozie półtorej godziny, od dwunastej do pół do drugiej, ale „chłopi" zmiatali jedzenie w kwadrans i zrywali się do roboty, bo szkoda godziny — toć to jeszcze dwa metry, a dwa metry — to cztery złote czterdzieści do podziału. Ale póki jedli, Szczęsny odpoczywał, słuchając nowin.

Pewnego razu, ledwo się pokazał, zawołali:

— A z Udałkiem, wiesz? Wywalony!

— Za co wywalony?

— Za wszystko! Na pysk! Nawet za bramę wejść mu teraz nie wolno.

— Pamiętasz, jak Pandera strugał przy wypłacie? — przypomniał Korbal. — Patyczek sobie strugał! Powiedziałem, że przedsiębiorców wystruga? No więc...

Okazało się, że Pandera, przyjrzawszy się wypłacie, zwątpił o porządkach w „przedsiębiorstwie robót placowych". Przycisnął Iwana, ten wygadał, że bałagan, że listy robione są na lipę, że czasem nieboszczyk tygodniówkę bierze... Pandera zawołał Udałka, zapytał czy to prawda, że Lewicki strasznie pije. Broń Boże, zaprzeczył Udałek, ani kropelki, spokojny człowiek, pierwszy do czyszczenia kotłów. Ale Pandera chciał go zobaczyć. Udałek powiedział: za moment! Poleciał, potem przybiegł, mówiąc, że nie może znaleźć Lewickiego — gdzieś się zapodział. Zaczęli szukać i zobaczyli, że Lewicki od roku leży na Starym Cmentarzu! Pandera zaraz wyrzucił Udałka, a Iwana, który tak mu

przyiwanił, przeniósł do siebie. Odtąd Iwan ma listy sporządzać w biurze i wypłacać z kasy dyrekcji.

— Udałek Celulozy nie potrzebuje. Co mu tam — majątek już zbił. Ale wstyd... Wstyd zostanie!

Wszyscy się cieszyli. Było to jedyne zarządzenie, które uznano za sprawiedliwe. Zarządzenia nowego dyrektora przyjmowano nieufnie, z cichym lub jawnym sprzeciwem. Pandera budził uznanie, bo znał się na robocie i wszystko widział — uznanie z nienawiścią, bo czego się tknął, obracało się przeciwko robotnikowi.

Mówiono o nowej redukcji. Podobno lista gotowa: 100 robotników!

Wśród załogi rosło wzburzenie, odbywały się zebrania, ale tylko dla zaufanych, tak że zupełnie niespodzianie, bo o dziesiątej rano, zawyła syrena Celulozy.

Szczęsny, który wtedy zabierał się do gotowania, wyskoczył z „arki". Ludzie na Kozłowie patrzyli w kierunku Celulozy: gdzie się pali, pewnie w magazynach?

Szczęsny pognał na przełaj do fabryki.

Na mieście zgwizdywała się policja. Przed bramą stało już dwóch mundurowych i jeden gruby cywil, a za bramą, na dziedzińcu, zbiegali się robotnicy. Szczęsny szukał wzrokiem ojca lub kogoś z ich partii. Nie było. Z prawa i z lewa od niego tak samo wyciągano szyje, wyglądano swoich. Kto przyszedł? Od strugaczy partia dziewiąta, dziesiąta i jedenasta, dniówka od Sarnowskiego, warsztaty mechaniczne, wyładunek... Nie wszyscy przyszli, mówiono, nie wszyscy. Nie wiadomo, czy można zaczynać.

Coś ma być, myślał, widząc ogólne podniecenie, ale co?

Przed kantorem zrobiło się zamieszanie. Ktoś zawołał: „Stój!" Ktoś klął. Koń zarżał, a potem ucichło i wszyscy pociągnęli w tamtą stronę.

Na zatrzymanej platformie stał Marusik. Dał znak, że chce mówić.

— W imieniu Związku Zawodowego pracowników przemysłu chemicznego zagajam zebranie załogi Celulozy. Zebranie zostało zwołane w sprawie zarządzonej redukcji. Proszę o wybranie przewodniczącego.

Po tych słowach zleconych, od kogoś, dodał, uśmiechnąwszy się lekko, słówko od siebie, po prostu:

— Bo to, proszę was, składniej nam pójdzie, gdy ktoś od nas porządku dopilnuje. A i władza odetchnie.

Niektórzy obejrzeli się na mundurowych za bramą, tu i tam na twarzach odbił się uśmiech Marusika, spokojny i chytrawy — dobra jest, Maciek, wiemy...

— Kogo więc proponujecie na przewodniczącego?

Najwięcej głosów było za Włosińskim Stefanem, i ten stanął na miejscu Marusika.

— Otwieram zebranie załogi Celulozy — powiedział, przechyliwszy się przez barierę, jak gdyby chciał, żeby go drobnego, potrzymali. — O co chodzi — wszyscy wiemy. Kto chce zabrać głos w tej sprawie?

— Ja proszę. Wasilewski.

— To chodźcie do mnie, żeby was wszyscy usłyszeli.

Wasilewski skoczył na platformę — zwinny był i lekki, choć bardzo wysoki.

— Towarzysze!

Nie było obawy, że ktoś nie usłyszy. Jak z bicza trzasł — policja na ulicy zesztywniała.

— Słusznie towarzysz Włosiński powiedział: wiemy, o co się rozchodzi! Niech się dyrekcja nie tłumaczy, że fabryka nie jest przytułkiem, że dłużej starców trzymać nie może...

Tych starców, mówił, jest na liście tylko jedenastu. Pracują w Celulozie od założenia. Po trzydziestu latach należy im się przyzwoita odprawa albo jakaś lżejsza praca, na ich siły, czy się nie należy? Jasne bez dwóch zdań. Szczęsny też to przyznał i słuchał dalej: że starzy na początku listy — to tylko mydlenie oczu. Razem z nimi, okazuje się, dyrekcja chce wyrzucić tych, którzy jej nie dogadzają, którzy się nie dają. I tu Wasilewski wjechał na kapitalizm.

— Kapitalizm, proszę towarzyszy, próbuje tak i owak — na różne sposoby. Tu gnieść, tam tumanić! Dla jednych — bruk, dla drugich — ochłapy. Weźmy chociażby Udałka. Wyrzucono go z Celulozy. Słusznie wyrzucono. Ale dlaczego dopiero teraz? Bo brał nie tylko ochłapy, ale i ze stołu pańskiego chapał! Pan się rozgniewał i kopnął: paszoł wont! Mało ci groszówek od główek żyjących — nieboszczyków będziesz mi tu wsadzał!

To się Wasilewskiemu udało — cały plac rozweselił.

— Ale do tego czasu Udałek był dobry. Był potrzebny. Jemu dało się groszówkę od główki, ale on dał dyrekcji złotówkę. Zawsze przecież sezonowy od niego taniej kosztował. Dlaczego, na przykład, Jaworski w warsztacie rymarskim ma dniówkę 4 złote, a nie 6? Bo nie jest stałym robotnikiem. Ale ile czasu Jaworski pracuje w warsztacie rymarskim? Trzeci rok. I wciąż jest sezonowym, od Udałka czyli z „przedsiębiorstwa robót placowych". Celuloza nie ma Jaworskiego na liście, nie zna go wcale, ale na Jaworskim dwa złote dziennie zarabia!

Nie było to żadne objawienie. Wszyscy o tym mówili, Szczęsny także coś słyszał. Ale nikt jeszcze ciemnej sprawy tak jasno nie pokazał — aż dech zaparło.

— Było sobie kilku robotników, żyli jak wszyscy. Wzięło się ich na „przedsiębiorców". Pomyślałby kto — przedsiębiorcy! Pieniądzem ich się rozbestwiło, władzą nad kolegami. Po co? Żebyśmy ich znienawidzili! Żeby się nam wydawało, że główny wróg — to właśnie taki Udałek czy Sumczak, bo wyzyskuje, bo na bruk wyrzuca, bo zanotuje wypłatę na pudełku od papierosów, pudełko potem zgubi i nie ma wypłaty. Towarzysze! Ja może za długo mówię, ale to jest potrzebne. Trzeba żebyśmy pamiętali, kto jest naszym głównym wrogiem: nie Udałek, nie Sumczak, nie Pandera ani inna cholera, ale kapitalizm! Ustrój, w którym człowiek gniecie człowieka, ustrój kapitalistyczny, który tego człowieka podli!

Tak, nie można się dziwić, że go o mało na rękach nie znieśli, gdy chciał zeskoczyć. Nogą przez to o barierę zawadził. I klaskali mu dobrze, okrzykami za nim gonili, a tak na siebie spoglądali, jak gdyby coś się znalazło: „A nie mówiłem? Na moje wyszło!"

Na platformie Włosiński nie trzymał się już klapy — wyprostowany jechał, zda się, gdzieś za wszystkimi. Dokąd? Łatwo powiedzieć: kapitalizm! Cóż z tego, że krzywda, kiedy nie wiadomo, jak można bez krzywdy... Raz wracało się z fary, niewidomy zapytał o drogę na dworzec. Ojciec jakoś nie zauważył, z kim mówi. „Prosto, proszę pana" — i wskazał ręką. A ten cicho, z taką skargą na siebie, że już boleśniej nie można: „człowiekowi mówią — prosto... A przecież człowiek nie wie, co to znaczy: prosto!"

A tam, obok Włosińskiego, przemawiał już ktoś na „czak" — Walczak, Polczak?... — nazwiska Szczęsny nie dosłyszał. Gdzieś nawet widziało się tego okularnika, czy aby nie przy warnikach?

— ...ale skoro, towarzysze, mówimy o jedności robotniczej, to powiedzmy sobie wyraźnie, że jej nie ma. Nie ma i nie może być jedności, kiedy na każdej ulicy związek. Związek klasowy na Toruńskiej, związek chadecki na Maślanej, związek endecki na Zduńskiej i trochę jeszcze „ludzi pana marszałka" na Zielonym Rynku!

— A ty byś chciał pewnie, żeby byli tylko twoi ludzie? — spytał go w duchu Szczęsny. — Niech będzie taki związek i taki, co to komu szkodzi...

Drgnął, bo ten to samo powiedział:

— Co to szkodzi, powiadają, że każdy broni sprawy robotniczej po swojemu: jeden po chrześcijańsku, drugi narodowo, trzeci mocar-

stwowo... Ba — gdyby naprawdę bronili! Powiedzielibyśmy wtedy tylko tyle, że zamiast tak uderzyć — pokazał zaciśniętą pięść — chcemy tak! — palce wystawił w różne strony. — Palcami! Ale jeśli do tego jeszcze te paluchy miękną i gną się przed każdą twardą rzeczą, to powiadamy — zdrada! Na to nie potrzeba dowodów, spójrzcie na plac. Warzelniczych nie ma, stolarzy nie ma, z papierni mało, maszynistów... jednego tylko widzę Tomczewskiego... Dlaczego nie wszyscy się stawili? Otóż z samego rana Sumczak biegał wśród sezonowych, a Rumianek z Kapuścińskim po warsztatach. „Jeśli będzie wiec, to nie chodźcie. Czerwony wiec, czerwonych robota — nam nic do tego". Tak się już gięli, podwijali. A w zeszłym tygodniu przychodził do dyrekcji prezes z Maślanej, Zimiński. Akurat na dzień przed jego przyjściem przepisano w biurze na maszynie listę 40 zredukowanych. A zaraz po jego odejściu listę zabrano. Zabrano i nową zrobiono — na 100 osób. Stary kant, towarzysze! Widzieliśmy, już pokazano nam go raz za Moszewskiego! I teraz ma być tak samo: najpierw delegacja od chadeków z Zimińskim na czele, potem konferencja z Panderą, po konferencji zebranie załogi, żeby Zimiński mógł zawołać: „Koledzy! Robiłem, co mogłem. Niestety, sytuacja jest poważna, nader poważna, proszę kolegów... kryzys... pieniądz znika, zbytu nie ma. Po ciężkiej walce jednak obroniłem! Obroniłem 60 osób. Dyrektor Pandera z powrotem ich przyjął!"

Kiedy ten w okularach, powiedział „robiłem, co mogłem" i ręce rozłożył, pokazując Zimińskiego, Szczęsny przypomniał sobie nareszcie, gdzie go widział: nie przy warnikach, ale przed pompą! Był w fartuchu, pompiarz ze swoimi. Coś im opowiadał, pomagając sobie zakasaną ręką, a ci się śmiali... Teraz nie, teraz krzyczą „hańba!". Grożą. Gorąco się robi na placu. Pójdą zaraz na zdrajców, rozniosą w kawałki. A może na dyrekcję — za wszystkie krzywdy, krętactwa... Pójdą jak w dym — na nic tu policja — niech tylko Marusik zakrzyknie. Ale Marusik znów wykłada swoje rachunki, a to jego rachowanie jest gorsze od bicia. Wstyd dla wszystkich, głupota, i w ogóle nie do pojęcia, że się dotąd nie połapali na rzeczy prostej, co by nawet dziecko...

— Samiśmy winni, towarzysze. Kapitalizm trzyma się naszą niezgodą. Pandera też nigdy na wszystkich nie nalatuje, ale zawsze na każdego z osobna. Najpierw wziął się za strugaczy. Nasi towarzysze od razu uderzyli na alarm, ale strugacze z innych związków nie poparli, a warsztaty wolały do tego się nie mieszać, bo to godzi tylko w sezonowych. Plac drzewny przegrał i musiał przyjąć akord dwa dwadzieścia

od metra. Wtedy Pandera poszedł na pakowników. Mieli dniówkę 7 złotych 2 grosze i jeszcze 14 groszy premii od beli. Wyjątkowo dobrze zarabiali. Co tam mówić — była zazdrość. Pandera obciął im premię do połowy — za 7 groszy. Pakownicy w krzyk, a inni na to: „Wielka rzecz, my możemy robić za 7 złotych, a wy nie?" Oczywiście walkę przegrano. Wtedy przyszła kolej na ładowaczy. Ładowacze mieli od tony. Sucha czy mokra celuloza — stawka była jednakowa, bo dla nas jest przecie bez różnicy, co się nosi, nas obchodzi tylko waga. Ale Pandera powiedział: „Ja za wodę płacić nie będę!". I zmniejszył od mokrej celulozy do połowy. Ładowacze pobiegli do swoich: „Towarzysze! Koledzy! Nie dajcie nas skrzywdzić!" A sezonowi i pakownicy, i inni: „A jak nas Pandera krzywdził, toście bronili? No to macie za swoje, sprawiedliwie wam urwał". Teraz znowuż ta redukcja — znów niby tylko starców, niby tylko podburzaczy... Towarzysze! W ten sposób my nigdy do niczego nie dojdziemy i zawsze będziemy bici. Czas już z tym skończyć. Niech powstanie Komitet Fabryczny i niech on wszystkich broni, całej załogi. Wybierzemy Komitet i ogłośmy strajk włoski. Żądania nasze są takie: po pierwsze — uznanie przez dyrekcję Komitetu Fabrycznego. Po drugie — cofnięcie redukcji. Po trzecie — sprawa sezonowych. Żądamy likwidacji „przedsiębiorstwa robót placowych"...

W tej chwili ktoś z tyłu pociągnął Szczęsnego za kapotę i zdyszany szepnął:

— Olmański, ty zaczynasz...

Szczęsny odwrócił się i ujrzał białaska, którego pobił na odczycie. Tamten cofnął się, zbladnął, rzucił „a bodaj cię, sługusie"... i znikł w tłumie. Nie zemstę miał w głowie — jakąś sprawę pilniejszą, ale Szczęsny wciąż widział jego twarz z trochę krzywym nosem, rozgorączkowaną, czymś strasznie przejętą, i nie bardzo odtąd rozumiał, co się dzieje. Ludzie wokoło coś wołali, bili w dłonie, wykrzykiwali czyjeś nazwiska — Szczęsny czuł się tu już obco. Nie tylko obco, ale i podle. Niech no ten białasek krzyknie: „Towarzysze, to on mi taż nos pokaleczył — to szpicel!" Uwierzą i zatłuką.

Spojrzał za siebie, czy go nie zachodzą, i zaczął powolutku, niezauważalnie, z twarzą wciąż zwróconą ku platformie, posuwać się w tył. Widział, że pomiarz stoi na kole, słyszał, jak woła:

— Marusik Maciej — wybrany!

— Wiosiński Stefan — wybrany!

— Wasilewski Ignacy...

— Matuzak Józef...

— Lenz Władysław, ze związku pracowników chemicznych...

Znalazł się wreszcie w ostatnich szeregach, miał już prysnąć do bramy — wtem wszyscy zamarli. Nastała taka cisza, że gdyby się ruszył, zaraz zwróciłby na siebie uwagę. Zastygł więc, podążając wzrokiem za innymi ku platformie, gdzie stał już cały ich Komitet. Komitet, który będzie jednością, który ma strajk ogłosić i zwyciężyć.

I wtedy właśnie ktoś silnym tenorem zaintonował. Szczęsny go wzrokiem odszukał: chłopak starszy od niego, ale tegoż wzrostu, w takiej samej kurtce. Pobladły, podawał ludziom pieśń, której Szczęsny niecierpiał, której się w Polsce nie spodziewał — ten „Internacjonał" słyszany w Sowietach. Obok śpiewał białasek, z głową uniesioną, z wzrokiem wbitym w Szczęsnego — jego wyklinał, jemu wygrażał.

— Świński blondyn — odciął się w myśli Szczęsny, i jeszcze mocniej: — ty, pachołku moskiewski!

Ale oczy tamtego rozbłysły taką pogardą — niby kto tu jest pachołkiem?! — że się zmieszał i oderwawszy się od tłumu pobiegł do bramy.

Już był przed bramą, już tylko krok dzielił go od policji po tamtej stronie, ale tu w niego ten śpiew robotniczy uderzył. Całą mocą buntu, całą wiarą w swoją sprawę. Nie można było trochę tego nie zaczerpnąć. Przystanął.

Cywil z mordą czerwoną, masarską, któremu Szczęsny przesłonił widok na tłum, zaklął nerwowo.

— Nie pętać się, nie pętać... — zawarczał. — Tu czy tam?

(Dalszy ciąg nastąpi)

Igor Newerly

Przełożył KAZIMIERZ ANDRZEJ JAWORSKI

KALINOWSKI

Poemat

1

Wicher z północy

Wicher z północy
zniżonym lotem
rwie ciężkie statki wieczornych chmur,
kołysze masztów pijany gotyk
i gęstych cieni skłębiony sznur.
W taki czas nie ma kto nawet rzec ci
choćby o szumie ojczystych pól...
Oto na gwarnym Newskim Prospekcie
wieczór rozżarzył płomyki kul.
Miasto ogromne, miasto szalone,
szare granity, za gmachem gmach
i wszędzie ostróg brzęk uprzykrzony,
ordery, orły i szlify w skrach...
Ziemia zduszona tronem-łańcuchem,
mocno w nią pałac cesarski wrósł.
Zda się niesposób gniewnym podmuchem
mocy tej zwalić ludowi w gruz.

Wicher z północy
o łódź miesiąca
pluszcze wciąż Newy zsiniałą stal...
Pewno tak samo Niemen gdzieś trąca
o brzegi pianę kudłatych fal.
Pewno gdzieś drzemią chaty-lepianki,
łuczywo nocną kołysze pleśń
i nędza składa swe kołysanki,
o złej pańszczyźnie ponurą pieśń.
Ale, mój ludu, dzisiaj w mozole
wlokący jarzmo jak kierat koń,
kiedyś w południe słońce na stole
postawi sobie i twoja dłoń!
Może za progiem w głuszy sosnowej
żniwiarka nocą w modlitwach trwa...
Może ty dzisiaj cień Pugaczowa
kołyszesz pieśnią swą, wiosko ma?

Wicher z północy polarny i bystry
zatapia w miasto
lodowy nóż...
Pewno nad Niemnem miecie on iskry

słomianej strzechy skrzydłami burz.
Pewno na mlecznej, gwiaździstej runi
wsłuchany w poszum sybirskich rzek
z zagasłą fajką wolny Bakunin
zerwawszy pęta idzie przez śnieg...
A gdzie step morze całuje sine
i gdzie w kurhany dmie słony wiew,
kołysze w trawie świat Ukrainy
kobzarza ze snu budzący śpiew.
Dość w dal ojczystą
patrzeć z zadumą!
Gdyby tak stanąć na statku chmur,
pod żaglem wichrów północnych z szumem
wpłynąć na fale kwitnące lnu.

2

W obozie

Kołowrót śnieżnych płatków.
W obozie ognisk dym.
O różnych mówi gadkach
powstaniec braciom swym.

— Na chłopskie ścieżki polne
wolności dzień już zszedł,
„będziecie, dzieci, wolne",
Ataman Świtka rzekł.

Drugi pod jodłą stojąc,
gdy wicher huczy w dal,
zaprzecza jego słowom
wsparty o lufy stal:
— Ech, wierzyć mi się nie chce,
te bajki dzieciom pleść:
za cudze walczym miedze,
a nie za naszą wieś!
Gdzie spojrzysz, ziemia pańska,
czy pole, czy też las.
Obrzydła mi ich łaska
i carskich dość mi łask.
Dziś każdy nagle „miły",
lecz nie wierz, bracie, nie,
widłami z całej siły
niejeden z nich nas dźgnie...

A trzeci śrut sortował
pytając razy sto:

— Nadstawiasz, bracie, głowę,
lecz po co wszystko to?
Ot, pełno ran na nogach,
mam w swojej chacie lec?
Pokonamy tu wroga,
by tam znów jarzmo wlec?

Ktoś głosów niespokojnych
swym przyjściem spłoszył gwar.
W ogniska blasku hojnym
ataman Świtka stał.
— A koni tych, konnico,
aby mi każdy strzegł,
i prochu w ładownicy
niech nie przemoczy śnieg!

Poszedł. A z ognisk żwawo
wystrzelił iskier snop.
Jak w noc szeleści trawa,
zaszeptał znów gdzieś chłop:
— Panowie, ot, się wodzą
za łby z cesarzem dziś;
da kość, — to się pogodzą
i znów nas będą gryźć...
By nasz ataman tylko
do ręki nie wpadł im...

Zmilkł znowu szept na chwilkę
i rozwiał się jak dym.
Las szumiał wkoło kłosem,
śnieg prószył pieśń bez słów
i ktoś znajomym głosem
o prochu mówił znów.

3

O Świtce pierwszy raz słyszałem

„...Szest' raz jego pocełował —
i kakow — ni słowa mnie nie skazał!..."
(Mosołow Russkaja Starina, 1883)

PUŁKOWNIK ŁOSIEW

Siadajcie!
Dobrze... Nie mogłem was wcześniej zawołać.
Ach, to powstanie, ten bunt bezsensowny!
Tu się i winnych i niewinnych społem
czasem prowadzi skutych do wartowni,

zanim się dojdzie...
Jakie nazwisko?

ARESZTOWANY

Powstaniec... Wzięty... Bój pod Niemirowem...

PUŁKOWNIK ŁOSIEW

Czy szlachcic?

ARESZTOWANY

Nie!...

PUŁKOWNIK ŁOSIEW

No, chciałbym wiedzieć wszystko:
kto zacz i skąd? rodzina, wieś gdzie? Słowem,
kto was zaciągnął, kto wspierał rozruchy
i jak są liczne siły wasze w borze?
Gdybyś uniknął stryczka i łańcucha,
łaskę cesarza zyskałbyś też może...
Eh, bracie,
w domu
leży grunt sierocy...
Żal mi człowieka, gdy tak wszystko zważę.
Może za owsem ktoś wypłakał oczy...
Koń twój też pewno rży za gospodarzem...

ARESZTOWANY

Przestań pan, dobrze wiedziałem, co robię,
gdy topór wzniosły moje chude ręce.
Mówić? By potem i starcy i młodzież
z imieniem mym ginęli w strasznej męce!
Ludzie wieść o mnie do wioski zaniosą,
kiedy mnie zdejmą z wysokiej osiny.
Szkoda, żem, panie, nie utrzymał kosy
i w gęstwie leśnej w czas bitwy nie zginął.

PUŁKOWNIK ŁOSIEW

No, rzeczywiście, masz czego żałować!
Może jest teraz tysiąc razy lepiej?
Wierz mi, że o was boli mnie wciąż głowa,
że tak idziecie za panami ślepi.
Car dał wam wolność, —
a oni chcą znowu
na was i całą waszą ojcowiznę
nałożyć jarzmo jak na stado wołów,
jarzmo niedoli i ciężar pańszczyzny.
Słuchaj!...
Na wolność drzwi tobie otworzę,

tylko wytłumacz tym chłopom najszczerzej,
by w pierś powstania wbili swoje noże,
bo tobie przecież oni będą wierzyć!...

ARESZTOWANY

Nie, panie, wzrosłem wśród tych pól i łąk.
Niechaj ta burza się sroży po niwach!
Nie, nigdy, nigdy nie przyłożę rąk,
by bunt przytrzymać za ognistą grzywę.
A choć z panami idziem dzisiaj wraz,
nie wierzym im, ni temu, co nam radzą,
znowu przed carem upadną na twarz
i może nawet już nas jutro zdradzą.
Ważne, że póki ich ukrywa las
i ramion nie gną przed wami w pokorze,
za modry Dniepr,
za sinej Dźwiny pas
przerzucić siły swe łapciaste możem.

PUŁKOWNIK ŁOSIEW

Czyś ty nie z Świtki obozu tu wpadł?

ARESZTOWANY

Niestety, nigdym o takim nie słyszał...

PUŁKOWNIK ŁOSIEW

Dziwne, pieśń o nim śpiewa każdy dziad
po wszystkich drogach, polach i komyszach,
imię rozbrzmiewa jego tu i tam.
Cóż, próżno gadam tutaj czas ten cały,
a szczerze tak pragnąłem pomóc wam...

ARESZTOWANY

Jednak... o Świtce...
pierwszy raz słyszałem...

4

Śnieg na szubienicach i na twarzy

MIESZCZANIN PIERWSZY

Klim Iwanycz, nie żartuj z kołnierzem.
Trzeba lepiej się w kożuch zawinąć!
To ci wicher! Wiesz, powiem ci szczerze:
w taki wieczór nie warto by ginąć!
I za garniec gorzałki by potem
nikt nie zechciał wykopać ci jamy.

Widzisz: śnieg niby białym potopem
zmywa wszędzie na ulicach plamy
i wciąż prószy, i kręci się z siłą,
czy go diabeł do tego poduszcza;
jakby niebo się w górze paliło,
styczeń z fajki dym biały wypuszcza.

MIESZCZANIN DRUGI

Panie, panie, przepraszam stokrotnie,
czy nie mogę poprosić o ogień?
Cóż pan idzie na plac tak samotnie?...
Klim Iwanycz, a to kum mój Łogin.

KALINOWSKI

Bardzo miło. Jam Witold Witażęc.
Pomyślałem — dziś uczyć nie będę.
Zresztą, wyznam, chciałem ujrzeć twarze
tych, co pójdą zawisnąć dziś rzędem.

MIESZCZANIN PIERWSZY

Co tu gadać! To pouczające.
Wczoraj księdza tutaj powiesili
i na Sybir pędzono tysiące.
Niech się Szekspir to opisać sili!
My tu z Klimem Iwanyczem stale
na ten plac popatrzeć przychodzimy...

KALINOWSKI

A ja w szkolnej swej pracy nawale
nawet przespać nie mogę godziny...
Któż to dzisiaj zawiśnie na placu?

MIESZCZANIN PIERWSZY

Ponoć student jakiś, co nie zdradził,
z Petersburga — podobno... Ignacy.
Z Kalinowskim oddziały prowadził.
Oto idą... Wnet bębny zagrzmocą,
odgłos werbla w zamieci utonie...
Klim Iwanycz, plecami, a z mocą,
nic nie widzę, tłum wszystko zasłonił.
Ach, przepraszam, nadeptałem nogę?..
Ale po co tu się baby kręcą.
Pani płacze... Lecz cóż to, nie mogę
nigdzie w tłumie znaleźć Witażęca?...

. . . . . .

KALINOWSKI

Już prowadzą! Niedawno rozmawiałem z nimi.
Radziliśmy w smolarni całą noc do rana,

jakby znów bagnetami z wiosną stalowymi
wznieść dokoła nad krajem sztandary powstania...

Z TŁUMU

— Na bok, miejsce!
— Chcę popatrzeć!... Młode to być musi,
a już, proszę, posiwiała głowa...
— Ej, czart mocno im szyję przydusi —
też, zachciało się z carem wojować!
— Ciszej tam, — czytają!...

KALINOWSKI

Szuka znajomych wzrokiem.
Widzę, bracie, że się nie słaniasz!
Nie złamano ciebie kaźni mrokiem,
nie zaleją krwią ofiar — powstania...
Idziesz, zda się, nie w śmierci objęcia!
Kiedyś, pomnę, chodziłeś zuchwale.
Petersburskie wieczory...
I Hercen,
a „Dzwon" jego bił w sercu na alarm.
Wiem, jak lubiłeś śpiewać pieśni rozmaite,
jak Niekrasow na duszę twoją rzucił cień...
Odszumiało twe życie przydrożną rokitą
i zbyt wcześnie oddzwonił krwią zorzy twój dzień...

Z TŁUMU

Już podnieśli!...

MIESZCZANIN

A myśmy tu pana szukali...
Spójrz pan, twarzą ku rzece. Huśtają się nogi.
Może z tej wysokości widzi ruchy fali
Jeszcze pana poproszę o ogień.
Świat dziś inny i inni dziś ludzie.
Cóż dla takich katorga, nie boją się śmierci!
Czy jednak sens jest jakiś w ich daremnym trudzie,
jak pan myśli, panie Witażęcu?...
A zamieć wciąż ich huśta...
śnieg tuli ich srebrny...
Pan idzie?
Ja zostanę, mieszkam niedaleko.
Co, pan płacze?
To może ktoś bliski lub krewny?

KALINOWSKI

Coście?...
To tylko śnieg mi stopniał pod powieką...

5

Dziaciuki!

„...Kab rastałkować ludziom
u czom prauda, ja piszu piśmo..."
(Jaśka Haspadar Mużyckaja
Prauda)

POWSTANIEC

Czas by spocząć ci, czas!
W skrach wysoko już Sito się mieni.
Słyszysz, krople spadają raz wraz, —
to się odwilż tak czepia okiennic.

KALINOWSKI

Sen już dawno nie ima się oka.
Starczy tylko powieki przymrużyć, —
napływają obrazy,
jak chmury się wloką.
widzę to, czego nie chciałbym ujrzeć —
szubienic gęsty rośnie las.
A zapatrzysz się w dymem rozkłębiony śnieg,
usłyszysz — za Uralu grzbiet
wichura zmiata ślad.
Nierychło zasnę, próżny trud
i pióro nie wypadnie z rąk.
Jak dzwon bez serca
drzemie jeszcze lud,
trzeba go budzić w krąg.
Trzeba pociągnąć sznury,
uderzyć w grzmiącą miedź.
Nie wiesz, jak mocno w noc ponurą
potrafi dzwon ten brzmieć...
Może skończę z pisaniem już do dnia.
Nędznym chatom potrzebny słów pokarm,
aby wiosną zajaśniał w nich płomień
i pod świtką
rozgorzał w pochodnię.

POWSTANIEC

Pono wydać manifest miał car,
a panowie siły gromadzą po chatach.
Na drogach wiejskich wszędzie pełno wart.
Jak obudzisz ty lud ten, dyktator?
Słyszysz — odwilż
i wiosna wnet.
Wiatr na Niemnie w gwiazd odbłysk się wplata.
Tylko we dnie i w noce wciąż het

ptactwo od nas na wyraj odlata.
Małachowski twój gdzie?
Strach za miedze sąsiedzkie goni,
niczym wicher w jesienne dnie
pozłociste listowie klonów.

KALINOWSKI

Niech uciekają od burzy i słoty,
słysząc gromów bliski już huk,
wszyscy ci, którzy krwawym swym potem
nie poili tych polnych smug.
Wiatr rozrzuci ich i rozniesie
jak jesienny zeschnięty liść
i zapomniani w obcym lesie
po obcych drogach będą iść.
Może wróg nam spustoszy tę ziemię,
zniszczy chaty w płomieniu i skrach,
cóż, gdy wrośliśmy tęgim korzeniem
w tę próchnicę, w tę glinę, w ten piach.
Ale burza wszystkiego nie zniszczy,
chmury spędzi pogodny znów czas,
na porębach tych naszych, na zgliszczach
młody, dzwonny rozszumi się las.
Snu nie zazna źrenica znękana,
lepiej zdrzemnij się trochę sam.
Muszę apel swój skończyć do rana,
ty rozniesiesz go tutaj i tam.
Zaopatrzysz się w torbę szeroką,
weźmiesz łachman, cymbały i kij.
Dzień usiądzie
na płocie wnet sroką.
Maczam pióro swe
w krwi...
„Dziaciukí..."

B

W karczmie

Trzeszczą polana w piecu,
płoną smolne drwa.
Mokra odzież się suszy: onuce, siermięgi.
Stary karczmarz przy stole w półdrzemce wciąż trwa.
Stół się zgarbił od lat swych,
od gorzałki tęgiej.
Ławy obsiadł kurzących parobczaków sznur.
Ktoś rozprawia o dziwach tej ziemi i niebios.
Dźwięcznie pieje na zmianę jeden, drugi kur
i głuszy śnieżny za oknami szczebiot.

PODRÓŻNY

Chodas! Jeszcze postawisz jeden garniec mały
i zakąski? Lecz żwawo się ruszaj!
A ty, podróżny, później nastroisz cymbały!
Już cię kiedyś widziałem, — znajoma mi dusza.
Pewno gdzieś na kiermaszu.
Ale zagraj nam
tę lawonichę, którą się tańczy wśród bitwy,
lecz w zapasie
słów chyba masz niewielki kram,
tyle, co torba dziada, co twoje modlitwy.

DZIAD

I Białoruś i Litwę-m przeszedł wzdłuż i wszerz,
ludzie różni są, ludzie są zmienni.
Jedni lubią się zgarbić zasłuchani w pieśń
i zasmucić się niebem jesiennym;
inni, młodsi i bardziej gorący,
tym daj piosnkę, co sypie kwiatami,
jasnym śmiechem dziewczęcym, weselszą od słońca,
lecz najbardziej podoba się ta mi:
— „Niegdyś Kostusiem go przezwano w Mostowlanach,
a w Grodzieńszczyźnie znowu Świtką nazywano
i od Warszawy po Uralu wał
Buntownikiem go ochrzcił car.
Sługi carskie na głowę jego wciąż czyhają,
po wszystkich drogach chytre sidła zastawiają
i kat Murawiew go przeklina
i Moskwa świątyniami słynna..."
Za oknem śnieżne szlochy
stara się wicher ściszyć.
Jasnym dzieciństwa uśmiechem
tchną pod palcami tony
lub piana z kryształowego
pieśni wzdyma się dna
i fala w słońcu pieszczotliwie gra...
Gdzieś na gościńcach wierzby siwe się kołyszą...
Tłoczą się dźwięcznie zagony...
Czuć nawet, jak po strunach
płateczki śniegu gonią,
jak niespokojnie w zamieci
przekleństwa dzwony dzwonią.
— „A on polem szerokim
na koniku jedzie,
przez lasy się przedziera kosmatym niedźwiedziem;
ni mu rzeka straszna, ni bór,
siwym orłem szybuje wśród chmur.
I chodzi po szerokiej ziemi, i zwołuje

junaków, i drużynę potężną szykuje;
każdy mocny jak belki u strzech,
bary takie, że starczy za trzech,
poprzez wszystkie chodzi drogi świata,
siły carskie kruszy i rozmiata,
a gdy zmiecie wszędzie carski wiór,
przyjdzie kolej i na pański dwór...“
I zda się
przez tę karczmę,
gdzie tak duszno i źle,
powiał wicher smolisty — nadzieja.
Strun napiętych rozdrganie,
pieśń w sosnowej tej mgle,
dzwoni skrzydłem o okna zawieja.
Ogień — biały nietoperz —
za polana się skrył,
raz zabłysnął i drugi — spłoszony.
Cień z pułapu i belek
pajęczyną się zwił,
zwisnął nisko na plecy,
na struny,
na tony.
— „Przyjdą dni te, o których od wieków wróżono,
jakich dotąd nie żęto, dotąd nie koszono:
kędy zechcesz pójść — wolny masz wstęp,
nigdzie żaden nie spotka cię wstręt.
Czy za pługiem po polu bez granic,
czy z siewiarką, by słońce doganiać,
nie obejdzie i pieśń twa tych pól,
wszystko w krąg — weselący się ul.
Czy mieszkają daleko, czy blisko sąsiedzi,
każdy lirnik ich może z swą pieśnią odwiedzi,
i niejedna narodzi się pieśń,
że weselszej nie pragnie już wieś.
Chodzi Świtka i chodzi po ziemi,
z junakami, dziaciukami swojemi,
uczta, radość gotuje się jej,
hej, sokoły zlatują się, hej!...“

PODRÓŻNY

Słuchaj, Chodas,
ktoś się głośno dobija, prędzej otwórz drzwi...

HANDLARZ PIERWSZY

Śniegiem drogi zaniosło. Dech koniom zapiera.
Czas i tak niespokojny, a tu zamieć drwi.

HANDLARZ DRUGI

Na dziesiątej nam wiorście wśród pól
wczoraj wozy przetrząśnięto całkiem.
Ponoć wzięty był litewski Król.
Zamiast prochu zabrano gorzałkę.

PODRÓŻNY

A dokąd to wybiera się teraz ten dziad?
Miał zamiar tu odpocząć,
a teraz mu pilno.

DZIAD

Chociaż dawno lat moich osypał się kwiat,
chciałbym koniec zobaczyć
tej pieśni
i Wilno.

7

Przy dźwięku szyb

„...Uzyszło majo hora hustymi
kustami,
zaćwiło majo gora roznymi
ćwietami..."

(Z pieśni ludowej)

Dzwonią szyby, dźwięk chłodny i czysty.
Miasto stare w mrok płynie i śpi.
W szlak się wzbiła dzwonnica gwiaździsty
i samotna wysoko tam tkwi.
Dalej strzechy, piaszczyste wydmuchy,
krętej rzeki wijący się pas
i zielenią, sczerniałą bez ruchu
snem zmożony rozłożył się las.
Cicho drzemią klasztorne tu mury.
Tylko warty ostrożny gdzieś krok...
Wszędzie cień się zagęszcza ponury
w ołowiany skłębiony snu mrok.

KALINOWSKI

I pomyśleć, że jednak schwytano,
że im związać udało się mnie,
a tam pewno za niskim parkanem
młodym pędem wierzbina się pnie;
i gdzieś teraz nad naszą, nad chatą
światło z gwiezdnych przesiewa się Sit;
na urwiskach, na wzgórzach garbatych
mgły srebrzyste czekają na świt.

Niby sen... Tylko ciężkie łańcuchy,
co od Wisły po Bajkał brzmią w dal,
mówią, jakie straszne podmuchy
wzniosły odmęt piętrzących się fal
nad pańszczyzną, niewolą i tronem.
Bój o ziemię, o wolność bój krwawy
i o pańskich spełnienie się snów,
by zdobyte przez ludu dłoń prawa
dziedzic chciwie zagarnąć mógł znów.
Ale strach przed tą chmurą ludową,
strach o skórę swą pańską ich zmógł
i plugawą powlekli się drogą
dwugłowemu orłowi do stóp.
Umyślili — zagaśnie powstanie.
A cóż wtedy mógł począć on sam,
w ubożuchnej siermiędze powstaniec —
Jaśka, Świtka czy Kostuś — ten Cham?!
Ale dzisiaj już dobrze poznali,
że nie łatwo zagasić da lud
iskrę prawdy, co w sercu się pali
i co w groźny rozgorzeć chce bunt.
Bo już jutro na cienie szubienic
odpowiedzieć pożarów mógł blask...
I pomyśleć, pomyśleć, że wzięli
właśnie w taki człowieka zły czas!...

Znów lud pójdzie przez drogi piaszczyste
i zakuty znów będzie brał w pysk,
aż te łzy się zgromadzą w chmurzyska
i piorunem uderzy z nich błysk.
Drogi potną tej ziemi oblicze,
krzyż i mowa rozdzielą ten lud,
wzniosą wszędzie znów kopce graniczne
wzdłuż i w poprzek rozciągnie się drut.
Nawet pamięć tych mogił, co rosną,
przefrymarczą złoćzieje nie raz.
Chciałbym pisać... Spod stryczka niech głos mój
lud poderwie i zdąży na czas.

Szyby brzękiem rozdzwonią się pszczelim.
Pył promieni rozsypał w krąg dzień
i kroplami ze ściany mej celi
ścieka w ranek ostatni już cień.
Ciężkie kroki... gdzieś spadła zawora.
Może po mnie już?.. Przeszli... ach, nie...
Teraz pewno nad naszym jeziorem
klucz żurawi w słoneczny blask mknie...
Może ujrzę z pomostu strasznego
bliskich, krewnych i z miasta, i z wsi:

raz ostatni się z wszystkich stron zbiegą
z pola walki skąpani we krwi.
Trzeba rzucić otuchy im słowo,
by trafiła na zawsze do serc.
Bije druga...
czy szósta... szczęk znowu...

STRAŻNIK

Kalinowski! — wychodzić na śmierć!

Koniec pieśni

„Praz wysokija hory z kapaczami,
praz ciomnyja bary z ahniami,
praz wialikija sioły z skrypaczami".

(Z pieśni ludowej)

Biją dzwony
na miasteczko,
na zieleń.
Płoną drogi, płacz wozów i kurz. —
Cerkiew ludem się pieni w niedzielę,
Pachnie niebem bławym i listowiem brzóz.

Na straganach pełno obwarzanków, piwa;
chodzi młodzież, żarty, tu kłótnia, tam krzyk,
słońca blask się rozlał
na wozy,
na grzywy,
wśród lipowych łapci za kołami znikł.

Monotonnie pieśń zawodzi o Łazarzu
na obejściu cerkwi dziadów łan
i czastuszki nucą
z roześmianą twarzą
przy harmoniach chłopcy tu i tam.

I przeciągły w rozgwarzonym tłumie
czółnem śpiew nurkuje z dziada ust;
zadumane wtórzą mu rozbrzękiem struny,
rozwichrzając głowy,
kwiaty chust. —

— „Niegdyś Kostusiem go przezwano w Mostowlanach..."

Złoci się na cerkwi
dzwonnica-cebula,
basem miedź chlusnęła w znojny kurz i gwar.
Szara siatka chmur się w zachód lekko wtula.
Niknie w daleczyźnie
lot gołębich par. —

„Rzecze car do sług swych: wszystkich przekupicie,
— atamana mi chłopskiego schwytać wnet musicie!
I panowie za krwawicę naszą, za nasz zgięty kark
wystawili Kostusia na targ... —
Ktoś tam krzyknął:
— Niech śpiewać przestanie! —
Epoletów błysk wśród lnianych głów.
Stłoczył się tłum chłopów
i dziada zasłania.
Zmilkł na chwilę i znów strumień słów. —

— Już prowadzą mu Kostusia.
Siedzi car ze świtą
i o dzielnych towarzyszy atamana pyta:
— Z kim czerwone piwo piłeś, gadaj, z kimś popijał chmiel,
Z kim budziłeś ziemię ze snu,
z kimś przez chmurek latał biel?

Dam bobrową tobie czapkę i dam futro ci z sobola,
ile okiem tylko sięgniesz,
tyle ci daruję pola
i czerwońców na dodatek wór.
Czyżbyś wolał
na osice
sznur?

Nie uląkł się Kostuś, nie zapłakał.
Brzęknął łańcuch.
„Dziękuję",
rzekł na to.
Tam, gdzie wiatr porozścielał złoty obrus zbóż,
za tym stołem miód pszczoły sączą z kwietnych kruż.
Więc obszukaj ten stół,
ileż trzeba to lat —
jak pamiętać więc mam, który ze mną był chwat?!

Z kim latałem?
jak wspomnieć mi wszystkich junaków?
Popatrz tylko —
nad głową ileż różnych ptaków,
jak to krążą, jak płyną!
A jak zliczysz nad Niemnem
i nad bystrą Dźwiną?

Twych mi darów, cesarzu, nie trzeba:
moja czapka — to ten błękit nieba,
futro moje — mroczny lasu cień,

ziemi tyle,
że słońce nie obejdzie w dzień.
I niemało bogactwa, dukatów
mieszczą domy spalone magnatów.
Niech wiatr zdmuchnie popioły,
złota cały stos, —
niejeden bym i dzisiaj
napełnił nim
trzos..."

Brzemię pyłu
wiatr na plecy zarzucił,
by z nim w polę ku wierzbom iść,
potem mowę szumiący powrócił,
by pacierki
dziadu nizać
na nić.

Ziemia piła je sucha
i parskały konie.
Pogłos ulic korytem
popłynął wesoło.
Poprzez wzgórza owiane dziewanną zielonym
wiozły koła skrzypiące
pieśń życia
przez sioło.

Z białoruskiego przełożył

Kazimierz Andrzej Jaworski

Komunistyczny styl pracy

Społeczeństwo radzieckie wielkimi krokami zbliża się do komunizmu. Jedną z najbardziej znamiennych tego oznak jest zasadnicza zmiana poglądu na znaczenie i charakter pracy fizycznej, jest coraz większe nasycanie się tej pracy treścią umysłową, coraz większe zacieranie się różnicy pomiędzy pracownikiem umysłowym i fizycznym. Zmienia się stosunek społeczeństwa i zmienia się postawa robotnika radzieckiego — pierwszego robotnika socjalistycznego w świecie: ogarnia całokształt procesu wytwórczego, cechuje ją głębokie uczucie i pełne zrozumienie istoty pracy, jej celu i doniosłości. Jest to postawa gospodarza kraju — jak się wyraził Stalin — postawa krańcowo odmienna od tej, jaka panuje w warunkach kapitalistycznych.

Cywilizacja starożytna, oparta na niewolnictwie, sprowadziła pracę fizyczną do roli siły pociągowej. Narastająca poprzez wieki mechanizacja nie zmieniła tej podstawowej relacji. Człowiek był nadal namiastką maszyny lub dodatkiem do maszyn. Praca fizyczna, przez kapitalistów wszech czasów odcinana od nadających jej sens bodźców umysłowych, stanowiła podstawę wszelkiej cywilizacji, a równocześnie była jarzmem tragicznym i przekleństwem ludzkości. Kapitalizm nie umiał, nie mógł i nie chciał wskazać wyjścia z tego błędnego koła. Jedyne wyjście, jakim łudził i po dziś dzień łudzi świat pracy, było wyłączenie się w ogóle z twórczego procesu produkcji i przejście do szeregów kapitalistów — nagroda wymierzana znikomej garstce wyjątków w zamian za współdziałanie w umacnianiu kieratu, w który wprzągnięta była olbrzymia większość.

Ten fałszywy miraż dotychczas jeszcze jest najpotężniejszą bronią w arsenale propagandy kapitalistycznej wmawiającej, że każdy robotnik jest potencjalnym kapitalistą. Złudzenie to — wsparte na naiwnej historyjce o tym jak Carneggie był chłopcem na posyłki, a Rockefeller zaczynał od pucybuta — jest tak monstrualnie dziecinne, że nie potrzeba nawet statystyk, by rozpadło się w niwecz przy pierwszym krytycznym wejrzeniu. A jednak stanowi ono nadal najskuteczniejszy środek demoralizacji klasy robotniczej społeczeństw zachodnich, zwłaszcza anglosaskich, i jest czynnikiem skutecznie opóźniającym wzrost świadomości społecznej i klasowej.

Praca w ustroju kapitalistycznym — to praca zarobkowa. Robotnik spełnia ją dla zdobycia środków utrzymania, w najlepszym razie — dla odłożenia czegoś na czarną godzinę, na jakie takie wykształcenie dzieci oraz na prymitywną i ogłupiającą, a za to tanią rozrywkę. Ustrój stwarza niezliczone zapory uniemożliwiające awans społeczny, który też w praktyce staje się udziałem tylko nielicznych, i to pod warunkiem przekreślenia poczucia godności własnej.

Inaczej w ustroju socjalistycznym. „Praca komunistyczna — mówił Lenin — w węższym, a ściślejszym znaczeniu tego słowa, to praca bezpłatna na rzecz społeczeństwa, praca podejmowana nie dla wypełnienia określonego obowiązku, nie dla uzyskania prawa otrzymania pewnej ilości wytworów, nie według z góry ustalonych i zatwierdzonych norm, ale praca dobrowolna, praca poza normami, praca wykonywana bez liczenia na wynagrodzenie, bez ułożenia się o wynagrodzenie, praca z nawyku pracy na pożytek ogółu, ze świadomego (przeszłego w nawyk) poczucia konieczności pracy na pożytek ogółu — praca jako potrzeba zdrowego organizmu". Taka właśnie staje się coraz bardziej praca robotnika radzieckiego, oparta na ujmowaniu poszczególnych odcinków ja-

ko doniosłych cząstek wielkiej całości, na świadomości znaczenia i współzależności wszystkich jej ogniw, czyli na docenianiu znaczenia kolektywu, praca nacechowana umiłowaniem swojego zawodu, pełnym zrozumieniem jego wagi i wartości w całokształcie gospodarki narodowej.

Myśl o twórczej i uszlachetniającej roli pracy była ideą przewodnią wielu dzieł klasycznej literatury rosyjskiej. Ale właśnie te dzieła ukazują jak nieliczne, rozpaczliwie nieliczne jednostki mogły w ustroju kapitalistycznym uczynić pracę źródłem radości i szczęścia, treścią życia. Dla ogromnej większości mas ludowych trud fizyczny stanowił wprawdzie treść ich żmudnego życia, ale trud ten był pozbawiony barw, blasku i sensu, który nadała mu dopiero rzeczywistość socjalistyczna.

Robotnik radziecki rozumie, że zbiorowość, że siła kolektywu jest czymś więcej niż mechaniczna suma wysiłków ludzi wchodzących w skład kolektywu. Ale wie także, że osiągnięcia zbiorowe pozostają w prostej zależności od poziomu i jakości wysiłku każdej składowej jednostki. Dlatego też rozpatruje swój odcinek pracy na tle całego procesu produkcji, dlatego dąży do pogłębienia swej wiedzy, do zrozumienia nie tylko praktycznych, ale i teoretycznych podstaw tego procesu. Stąd jego pęd do kultury, stąd intelektualizacja jego pracy, a tym samym zacieranie się granicy pomiędzy pracą fizyczną a umysłową.

W miarę zaś wzrostu tego rozumienia robotnik radziecki stawia coraz wyższe wymogi i sobie, i swym kolegom, by stopniowo rozszerzyć skalę wymagań na całe społeczeństwo. Przodownik budowlany domaga się dostarczenia mu do budowy jak najlepszej gatunkowo cegły. Domaga się jak najlepszych planów od architekta. A dając sam najwyższej jakości owoc pracy — domaga się najwyższej jakości wyników pracy innych zawodów: techników, uczonych, artystów, pisarzy. Krąg wymogów ogarnia całe społeczeństwo. I zamyka się, wracając do punktu wyjścia — do robotnika, którego stosunek do pracy uległ zupełnej przemianie, pogłębił się psychologicznie, stał się odpowiedzialny i pełen pasji, przekształcił się w nowy styl — s t y l p r a c y k o m u n i s t y c z n e j.

A ośrodkiem tych przemian rewolucyjnych jest człowiek. Albowiem, jak podkreśla Stalin, martwa jest technika bez ludzi, którzy tą techniką owładnęli.

*

Człowiek był zawsze naczelnym ogniskiem zainteresowań literatury radzieckiej. Toteż pisarze radzieccy z czułością sejsmografu rejestrują i ukazują w swych dziełach proces przeobrażania się człowieka pracy, narastania nowego stylu myślenia — myślenia państwowego — i związanego z tym poczucia — zgodnie ze stalinowskim określeniem — poczucia współgospodarza kraju. Krytyka radziecka, za którą rejestrujemy analizę tych doniosłych zjawisk, obszernie omawia zagadnienie. Nie tylko od strony jego odbicia w literaturze. Krytyka bezpośrednio obserwuje i bada fakty znamionujące przeradzanie się pracownika fizycznego, jego psychiki, jego mentalności, jego stosunku do pracy i ujmowania przezeń spraw pracy. Krytyka obserwuje i bada zasadnicze przemiany zachodzące w charakterze tej pracy.

A praca, a trud fizyczny nabrał w Kraju Socjalizmu nowych zupełnie cech, nowego kształtu, odmiennej treści. Pisarze radzieccy nie poetyzują pracy, lecz stwierdzają — i obrazują to w swych utworach — że nabrała ona właściwości takich, jakie wyróżniają twórczą działalność naukowca i literata, że owiewa ją tchnienie poezji, że wybitny przodownik czy racjonalizator jest w pracy poetą i uczonym zarazem, który w wysiłek swój wkłada całe bogactwo

wyobraźni, wynalazczość, dociekliwość i spostrzegawczość, i sprzęga je z wysiłkiem mięśni.

W dziełach Ażajewa, Gorelika, Nikołajewej, Rybakowa, Szebunina i wielu innych literatura radziecka obrazuje trud myśli i rąk, naświetla psychologiczny aspekt twórczych osiągnięć nowatorów, przodowników, stachanowców. Podobnie jak w dziedzinie odkryć naukowych, jak przy powstawaniu arcydzieł sztuki — nie ma tu miejsca na przypadek. Nowator radziecki dochodzi do wprowadzenia udoskonaleń poprzez niezliczone doświadczenia — własne i towarzyszy — których punktem wyjścia są poparte praktyką dotychczasową założenia teoretyczne, ustalone z naukową precyzją. Robotnik-nowator nie prowadzi tych doświadczeń na oślep, dokonywa ich w oparciu o dokładną znajomość techniki i z jasną świadomością kierunku, w jakim należy zmierzać.

W ten sposób jego praca nabiera coraz bardziej cech pracy naukowej. Podkreślając ten moment krytyka radziecka przypomina pouczenia, jakich udzielał swym uczniom wielki i niezmordowany koryfeusz nauki — Pawłow. „Badajcie, zestawiajcie i gromadźcie fakty — mówił Pawłow. — Fakty są powietrzem uczonego, bez nich myśl jego nigdy nie będzie zdolna do lotu. Bez nich wszystkie wasze „teorie" będą płonnym wysiłkiem". Ale mechaniczne zestawianie faktów — to byłoby o wiele za mało. „Nie przekształcajcie się w archiwariuszy faktów — ostrzega Pawłow. — Starajcie się zdobyć tajemnice ich powstawania, szukajcie wytrwale praw, które nimi rządzą. A przede wszystkim pamiętajcie, że nauka wymaga od człowieka całego życia. A gdybyśmy żyli dwukrotnie — i tego by nie starczyło. Nauka żąda od nas najwyższego napięcia i pasji ogromnej. Pracujcie z pasją i z pasją prowadźcie badania".

Pasja przepaja twórczą pracę robotnika radzieckiego. Każdy jego krok naprzód jest nie tylko nowym ogniwem w łańcuchu poznania, ale i przeżyciem osobistym, ostrym wzruszeniem, silnym przejściem uczuciowym. To właśnie stara się oddać literatura. I stara się uczynić to tak, by poezję fabryk i warsztatów, a ściślej mówiąc — owiewającą je poezję zawartą w pięknie świadomej, socjalistycznej pracy, odczuł w całej pełni czytelnik. Unikając wszelkiego technologizmu, pisarz z najwyższym umiarem i w ramach istotnych potrzeb utworu posługuje się opisami produkcji. Natomiast z pasją, płynącą ze szczerego przejęcia i podziwu, mówi o człowieku, o robotniku, o jego rozrastaniu się wewnętrznym, jego wzroście intelektualnym, rozwoju jego charakteru i wszechstronności zainteresowań kulturalnych.

W pracy robotnika splatają się w nierozwiązalny, a logiczny węzeł naukowe ujęcie, wynalazczy wysiłek badawczy umysłu i kontrolujący oraz wykonawczy wysiłek fizyczny. Nasycanie pracy fizycznej elementem myśli powoduje coraz wyższy rozwój świadomości komunistycznej u wielkiej armii pracy i rozszerza krąg zainteresowań. Gdyż kultura ogólna i umiejętności techniczne — to pojęcia nierozdzielnie ze sobą związane. Zespolenie tych pojęć i harmonijne ich współdziałanie w rozwoju społeczeństwa socjalistycznego prowadzą do coraz zupełniejszego zaniku przeciwieństw między pracą umysłową a pracą fizyczną, do unicestwienia samych źródeł tych przeciwieństw.

Julian Stawiński

Cud nasz powszedni

„Oskarżona była o czynienie kolorowych myszy z liścia różanego: wzięła cztery listki, złożyła je na krzyż, dwa razy chuchnęła... "

Notatka dotyczyła roku 1703. Opis czarodziejskich praktyk dziesięcioletniej dziewczynki Anny, która dwa i pół wieku temu stawała przed sądem wyszogrodzkim oskarżona o czary, znalazł się na pierwszej stronie mego reporterskiego notesu, z którym wybierałem się do Lublina. Byłem tu ostatnio w roku 1949, w czasie „cudu".

W zbliżającym się do Lublina pociągu z pewnym wewnętrznym zażenowaniem wertuję własny artykuł sprzed dwóch lat. Podróż kojarzy mi się z biesami, czartami, diabłami i demonami, jakich pełen był świat średniowieczny. Przed oczami mam wiadomość, że „jeden z ojców teologów określił liczbę wszelkich demonów na dziesięć tysięcy bilionów, że ks. Bohomolec oblicza, że jest ich mniej: tylko piętnaście miliardów, że kabaliści są najskromniejsi: twierdzą, że na każdego śmiertelnika przypada jedenaście tysięcy diabłów — tysiąc z prawej i dziesięć tysięcy z lewej strony. Grzegorz Wielki opowiada nawet o siostrzyczce zakonnej, która połknęła czarta w sałacie... " Sprawy zdawałoby się nie *à propos* wielkiej Fabryki Samochodów Ciężarowych, a jednak... jednak jadę ku Lublinowi, który dwa lata temu był „jądrem ciemności", nakazującym odświeżenie naszej wiedzy o średniowiecznym obrazie świata.

Już wówczas, szukając przyczyn skoncentrowania ataku ciemnych sił na Lublin, wertując przedwojenny Rocznik Statystyczny, dowiedziałem się, że na Lubelszczyźnie na 100 km² przypadało 4 km linii kolejowych (na Śląsku 18 km), 13 km sieci dróg bitych (we wrocławskim 65 km), analfabetów było 24,6%. Łatwo sobie teraz wyobrazić przelotność wiedzy o świecie i jego sprawach w ośrodkach oddzielonych o dziesiątki kilometrów od najbliższej stacji kolejowej, gdzie co czwarty człowiek nie umiał czytać, gdzie co dwudziesty może miał znajomego „miastowego człowieka", gdzie samochód był rewelacją. Pamiętam, że gdy postanowiłem napisać artykuł o „cudzie lubelskim", doszedłem do wniosku, że należy to zrobić nie ruszając się od biurka — trzeba po prostu pisać o ciemnocie, o zacofaniu pewnych rejonów Polski, dziedziczonych w takim stanie przez ustrój ludowy. „Cudy" leczy przecież Plan Sześcioletni, reforma szkolnictwa, rozwój oświaty, rozwój przemysłu. Byłem w Lublinie w okresie cudu, w czasie gdy jeszcze na terenie dzisiejszej Fabryki Samochodów Ciężarowych szumiało zboże.

*

Wczesnym rankiem zbudził mnie turkot wozów. Za oknem, ponad dachami kilku domów, unosił się na pobliskim wzgórzu malowniczy wiejski pejzaż. Na dobry rzut kamieniem od reprezentacyjnego hotelu mamy wieś. Miejska fasada Lublina zbudowana jest przecież w najbardziej polnym i rolnym województwie. Na ulicy oglądam tak charakterystyczny jeszcze dla niektórych naszych nawet wojewódzkich miast ruch konnych wozów, wśród których pomykają co szybsze dorożki z trzycyfrową numeracją — idą w setki.

Ubożuchna taksówka, opatrzona numerem „7", płoszy przechodzące wieśniaczki. Jesteśmy na gruntownie innym etapie. Nasz kraj, będący przed wojną na samym końcu europejskiego ogonka motoryzacyjnego, ma dziś samochodów wielokrotnie więcej. Ale byśmy „z ko-

nia zacofanej techniki" przesiedli się naprawdę na rumaka motoryzacji, byśmy z kosztownej „gazolinowej dorożki" importu pojazdów mechanicznych przesiedli się na maszynę własnej wytwórczości, po to właśnie powstaje wielka budowa, w której kierunku jadę oto tym klekotem.

*

Inżynier Weber na hali głównej Lubelskiej Fabryki Samochodów Ciężarowych widzi więcej niż ja. Gdy z palcem wskazującym w górę mówi: „O, tędy, tym konwojerem jadą całe szoferki" — instynktownie schylam głowę, chociaż świadomość szybko prostuje mi kark: przecież nie „jadą", a dopiero pojadą. Nie po raz pierwszy spotykam czas teraźniejszy zamiast przyszłego w ustach inżynierów, dla których plan — to rzeczywistość z odroczeniem.

Na terenie naszej fabryki trafiam do hali projektów, gdzie w nieprawdopodobnym gąszczu stalug, stołów kreślarskich i pulpitów blisko dwustu ludzi adoptuje i rozpracowuje plany techniczne i dokumentację budowy, nadesłane z ZSRR.

Nasze samochody będziemy robić na licencji radzieckiego „Gaz U", tak jak na licencji „Pobiedy" pracować będzie pod Warszawą Fabryka Samochodów Osobowych. Mały, w porównaniu z Lubelską Fabryką Samochodów Ciężarowych, Żerań jest zresztą jej ojcem. Doświadczenia jego projektantów i wykonawców stanowiły klasę wstępną, po której z osobowych wozów przesiadamy się na potężne ciężarówki. Fabryka, która miała ruszyć w roku przyszłym, już od października zacznie montaż wozów i tak — poza planem — da sto, czy więcej maszyn, no i przeszkoli załogę, która zaledwie w 15% składa się z fachowców. My, posiadający przed wojną około 6 000 samochodów ciężarowych będziemy — tylko na początek — produkowali ich 25 000 rocznie! Lublin, którego ludność w przeciągu pierwszego międzywojennego dziesięciolecia wzrosła o 18 000, teraz w ciągu sześciolatki zafunduje sobie 50 000 nowych mieszkańców, których wchłonie Fabryka i jej przemysły pomocnicze. A pamiętajmy, że miasto to liczy sobie teraz tyle ludności, co w XVII wieku, kiedy to Lublin był większy od ówczesnego Londynu.

Krocząc przez wężowisko odkrytych jeszcze kanałów podziemnych i instalacji, mijając robotników kończących murarkę, patrząc na innych wiszących u sufitu — instalujących konwojery, dowiaduję się, że „budowlani" opuszczą teren już za dwa tygodnie. „Spóźnili się trochę, mieli położyć jeden hektar posadzki i nie mogli, bośmy musieli jeszcze robić w podłodze rozmaite kanały i przepusty". Jeden hektar posadzki — no, który z was, ziemianie lubelszczyzny, miał takie pałace!

„Budowlani" ciągną tu solidną robotę. Trzeba dać nura w ich sprawy.

*

Turnus „espowskiej" młodzieży rekrutujący się ze wsi trafił na najcięższe warunki. Nieuświadomieni robotnicy budowy, mimo że w ogromnym procencie sami wsiowi ludzie, patrzyli zezem na umundurowanych przybyszy, którzy mieli im, jak sądzili, odebrać pracę. Niechętni, zblokowani w takim kołtuńskim froncie majstrowie i brygadierzy utrudniali im wciągnięcie się w rytm produkcyjny.

Wiejska młodzież dała sobie radę. Na zorganizowanych przez kierownictwo budowy masówkach nastąpiła jej konfrontacja z aparatem kierownictwa budowy. „Ich krytyka była dla nas biczem" — mówi inż. Wrona. Pierwszy turnus, choć po walce i trudnościach, zdał egzamin. Drugi trafił już na innych ludzi — „Wychowali nas niezgorzej" — powiedział przecież mój rozmówca. Ale — jak mi powiedziano — ludzie drugiego turnusu przyszli jacyś niewydarzeni. Element miejski ze szkół

zawodowych miał się pono okazać elitą obiboków, cwaniaków nie przyjmujących krytyki, bandą leniwych, ospałych i krnąbrnych wczasowiczów.

Choć relacje były jednomyślne, choć sam co krok widziałem „wieczne odpoczywanie", nie uwierzyłem. Nie uwierzyłem i miałem rację. Jak to? To młodzież robotnicza miałaby bez widocznej przyczyny okazać się zbiorowiskiem obojętnych leni, traktujących na socjalistycznej budowie łopatę jak emerytalną laskę?

Zgoda, tak było, ale przyczyny leżą głębiej. Jeśli jednak junak pierwszego turnusu przyzwyczajony do fizycznego wysiłku potrzebował przede wszystkim fachowej, życzliwej wskazówki kierownictwa technicznego i tę mu kierownictwo — po walce z własnym aparatem — zapewniło, to chopiec z drugiego turnusu potrzebował opieki i pomocy politycznej. Musiał wiedzieć, co buduje, rozumieć, że wzbogaca swą pracą własny kraj, własną klasę i siebie. Tego wszystkiego nie pokaże mu i pokazać nie może kierownictwo. Głównym inżynierem dusz młodego pokolenia powinien być Związek Młodzieży Polskiej.

Przy wszystkich zastrzeżeniach i pretensjach do drugiego turnusu stale powtarzał się refren: „Poza 2 plutonem V kompanii". Czemuż to jeden pluton pracował dobrze, jakie przyrodzone właściwości drugoplutonowskie sprawiły, że jego robota tak odbiegała od przeciętnej nieszczęsnej normy?

Roboty ziemne zaczęto w lutym tego roku. Parę tygodni temu obchodziliśmy na terenie fabryki dożynki. Tak: z ziemi, po której jeszcze w tym roku przejadą nasze ciężarówki, zżęto zboże, któremu pozwolono dojrzeć, nie niszcząc wcześniejszych niż życie Fabryki zasiewów. Równocześnie zdjęto rusztowania z hali głównej — połknęły one 7 ton samych gwoździ. Budowa, gdzie rośnie teraz na miejscu chabrów i maków hala mechaniczna, narzędziowa, transformatornia, hotel, ośrodek zdrowia, jest bardzo młoda, choć już tak zaawansowana w swym wzroście. Drugi pluton pracował na budowie hali obróbki drzewa, którą robi Brygada Młodzieżowa im. Janka Krasickiego. Została ona przejęta w krytycznym momencie, gdy brak materiałów i ludzi kładł ją zupełnie.

„Trzeba było trząchnąć całą budową" — mówi Jan Sidor, inicjator i ożywczy duch Brygady. „Trząchnęli!" Budowana przez młodzież, licząca sobie zaledwie kwartał, hala jest już w sile wieku — 27 października Brygada przekaże ją kierownictwu. „Trząchnięcie" polegało na wprowadzeniu w grę wielkiego, a niekiedy jeszcze pomijanego w praktyce budowy czynnika entuzjazmu i ideowego oddania robocie. Na budowie, kierowanej przez Sidora, espowcy z 2 plutonu V kompanii 47 Brygady SP przekreślali złą sławę drugiego turnusu. Ludzie trafili tu od razu w inny nastrój: nie spotykali niechęci nieuświadomionych robotników — widzieli przyjaźń rozpalonych budową „cywilnych" kolegów; pracując na zleconym im odcinku widzieli, jak dzięki ich pracy rośnie budowa; nie nudzili się na oficjalnych odprawach — brali udział w masówkach wspaniałej załogi jako jej nieodłączny człon.

W rozmowie z Janem Sidorem zdałem sobie sprawę, że „wieczne odpoczywanie" przerwać może tylko zetempowska energia ideologiczna, że tylko ludzie „bardziej wyrobieni będą bardziej wyrabiający", jak on powiada. Zagadnienie otwarcia ognia ideologicznego nie jest sprawą łatwą. Tam, gdzie celowniczymi będą Sidorowie, którzy w 1944 zdobywali Pragę, tam sprawa ruszy naprzód i porwie za sobą masy. Z grupy złożonej z Zawady, Zdunka, Kota, Owczarka i kilku innych, urasta blisko dwie setki liczący kolektyw, ludzie tego kolektywu w naj-

upalniejsze dni lata zostają przy pracy wieczorami, by o chłodzie odbić czas stracony w osłabiającym ogniu słońca. Rośnie siła, która nie jest tylko siłą sprawnych mięśni, ale przede wszystkim siłą oddanego sprawie serca i pracującej dla niej głowy. Gdy w czasie żniw zwalniali się masowo ludzie (załoga budowlanych jest w 80% chłopska), gdy blisko 70% załogi, uzyskując trzydniowe zwolnienia z pracy, brało na wsi udział w zbiorach, wówczas to w Brygadzie imienia założyciela ZWM, Janka Krasickiego, którego zastępuje tu tylko żywy Sidor, ludzie nie schodzili z pracy po 24 godziny, cieśle po skończonej dniówce szli do betonowania, do wykopów.

Tak jest... ale, ale źle myślę o gotowości wykorzystywania osiągnięć tej Brygady przez aparat organizacyjny ZMP. W Lublinie o sprawach budowy wie najlepiej korespondentka Sztandaru Młodych, nikt nie myśli o wykorzystaniu ich doświadczeń, o pomocy w przezwyciężaniu ich trudności. Zarząd Miejski ZMP mógłby jeśli nie pomóc, to na pewno wiele nauczyć się na budowie — tymczasem... Na terenie Fabryki Samochodów Ciężarowych istnieją w tej chwili trzy niezależne organizacje zetempowskie. Jest 1) Zarząd Zakładowy przy Zarządzie Budow Lubelskiego Zjednoczenia Przemysłowego, 2) Zarząd Zakładowy Fabryki, 3) Zarząd przy 47 Brygadzie SP. Nie tylko nie ma wspólnych zebrań i dzielenia się doświadczeniami, ale istnieje nawet jakaś „programowa separacja", na której dnie kto wie czy nie ukrywa się zwyrodniały „arystokratyzm robotniczy" członków załogi Fabryki, którzy swoich budowlanych kolegów z Brygady im. Janka Krasickiego traktują jako ludzi czarnych robót. Znane jest słynne zawołanie jakiegoś bęcwała z Fabryki w autobusie: „Niech brudasy z budowy wychodzą, bo jedziemy my z Fabryki". Ludzie z Fabryki omijają świetlicę Brygady. Ile dobrego zrobić by mogła współpraca „Zarządu Nr 1" z „Zarządem Nr 3" — świetnie pracujących budowlanych z wiecznie odpoczywającymi espowcami. Tymczasem czynniki organizacyjne śpią!

Łażąc po budowie zobaczyłem wezwanie na naradę-sprawozdanie z Berlina, które wygłaszał kol. Tarkowski, przewodniczący lubelskiego ZMP; czytając miejscowy Sztandar Ludu, mogłem się dowiedzieć, co pisze o Berlinie Antoni Mulawa, wiceprzewodniczący Zarządu Wojewódzkiego. Aparat zetempowski więcej wie o Berlinie niż o Lublinie; „aparat pojechał sam", nie zdobył się na to, by na berlińską budowę pokoju wysłać któregoś z przodujących ludzi budowy lubelskiej. A przecież „aparat" musi zacząć uczyć się od terenu — brać stamtąd ludzi już nie tylko na delegatów zjazdowych, ale do kadr organizacyjnych — ludzie z terenu nie pozwolą mu skostnieć. Bo czyż może być widok bardziej ponury niż zgrzybiały biurokratyzm w Związku Młodzieży?

„Na terenie budowy ZMP ma trzy głowy" — taki slogan mógłbym zaproponować do gazetki ściennej Brygady, ale jak taka oddolna krytyka trafi do „góry", skoro „góra" jest za górami, za lasami siedmiokilometrowego odcinka, jaki dzieli Fabrykę od śródmieścia! Na razie więc czytam w gazetce dowcipne potępienie bumelanctwa magazyniera Gnypka i opowieść studentki warszawskiej polibudy — praktykantki na budowie — o tym, jak to pierwszego dnia użalał się jej majster Kot: „dzisiaj silny wiatr wieje, dlatego gwoździe krzywo wchodzą".

*

Gdy w rozmowie z Sidorem napomknąłem, jak to, nie mogąc znaleźć w Lublinie ulicy Pierwszej Armii, znalazłem ją pytając o ulicę Pierackiego, którą to nazwę nosiła przed wojną, ten

uśmiechnął się: „U ludzi długo gniją w mózgu takie rzeczy.

Załogą budowy to przede wszystkim ludzie ze wsi, „załoga miasta" jest w dużym procencie mieszczańsko-inteligencka. Robotnikowi z pierwszego pokolenia wpoić proletariacki światopogląd, pomóc oddzielić zabobon od wiary u chłopa, przepoić młodzież wielką prawdą o świecie, pomóc inteligencji zdjąć bagaż starych wyobrażeń — oto zadanie na miarę czasu. W codziennym dniu pracy realizować je musi między innymi prasa. Robota niełatwa. W redakcji Sztandaru Lubelskiego szukam spraw, dotyczących poznanej wielkiej budowy.

„Przewodniczący kompanijnego Zarządu Koła ZMP, Jerzy Sumarowicz, spytał na tej naradzie chłopców: „Co, jak będzie? Przekroczymy wysoko normy?" — „Rzecz wiadoma!", odpowiedziano chórem."

Do licha z taką propagandą! Dziennikarz, który napisze bezmyślnie słosłowo „entuzjazm", kosztuje nas masę „entuzjazmu". Ślepy dziennikarz, który musi „ubarwiać" rzeczywistość, bo nie jest w stanie dostrzec jej rzeczywistych kolorów, zubaża rzeczywistość.

Chłopcy z SP musieli się dobrze uśmiać z owego „rzecz wiadoma", jakim odpowiadają w reportażu, zamiast rzeczowo postawić trudne zagadnienie.

Nie chodzi o Lublin. Gdy w czasie poprzedniego reportażu z innego terenu wpadłem do redakcji miejscowej gazety, prowadzonej nb. stosunkowo bardzo dobrze, potoczył się tam, „rzecz wiadoma", następujący dialog:

Redaktor: Znajdziecie tam fantastyczne, rozczulające momenty.

Ja (poruszam się niespokojnie).

Redaktor: Co? Zależy wam zapewne na bardziej konkretnym materiale. Oho, są tam zagadnienia! Wyobraźcie sobie moment, gdy piosenkę robotnicy, pracującej w hali przy przeróbce ryb, podejmuje murarz, kończący wysoko jej budowę...

Ja (bez entuzjazmu). Ładny obrazek.

Oto rozmowa z przedstawicielem „poprawiaczy najlepszego", którzy uważają za swój zawodowy obowiązek sztukować lichutką pocztówkową fantazją naszą wspaniałą, fantastyczną rzeczywistość. Obok tego notoryczna nieznajomość istotnych zagadnień terenu. Chłopcy z Brygady im. Krasickiego pokazywali mi z niechęcią artykuły o nich, opatrzone tytułem Sukces młodych z Fabryki Samochodów Ciężarowych — „Przecież my jesteśmy z budowy nie z Fabryki, wychodzi na to, że to nie o nas." Obok niedbalstwo redakcyjne dekoruje artykuł Fabryka Samochodów Ciężarowych ruszy w przewidzianym terminie fotografią Ratusz Lubelski w odbudowie.

Nowy nasz Lublin, którego całej ludności nie wystarczyłoby na to, by zasiąść za kierownicami wszystkich samochodów, jakie wyprodukujemy tu w ciągu sześciolecia, ten nowy Lublin powstaje w wyniku ogromnej roboty. Uzbrojenie umysłowe i uczuciowe obywateli, to tej roboty nie najmniej ważny odcinek.

Rzeczywistość uprawia sama swoistą propagandę poglądową — wystarczy spojrzeć na rosnące giganty przemysłowe — ale obok tego muszą przyspieszyć kroku ludzie słowa, bezpośrednio odpowiedzialni za ten równie trudny jak wspaniały odcinek naszego budownictwa: za świadomość człowieka.

Roman Bratny

W ŚRÓD KSIĄŻEK

STANISŁAW PIĘTAK: *Imię przyszłości.* Książka i Wiedza, Warszawa, 1951; str. 54.

Nowy zbiorek poetycki Stanisława Piętaka Imię przyszłości poprzedzony został wydaniem Wierszy wybranych, które zgodnie z przeznaczeniem tego typu publikacji stanowią podsumowanie dorobku poety na podstawie siedmiu dotychczasowych tomów oraz cyklu utworów z lat 1932 — 1939, nie włączonych do żadnej z przedwojennych książek. Zbieg okoliczności wydawniczych ułatwia zatem konfrontację etapów drogi rozwojowej. Dla właściwej zaś oceny nowych wierszy konfrontacja jest nieodzowna. Imię przyszłości bowiem stanowi po ogłoszonym przed dwoma laty zbiorze Lot dojrzałych dni dowód ewolucji w zasadniczym stopniu przeobrażającej poezję Piętaka. Znaczenie ewolucji wykracza poza granice, które wyznaczają rezultaty obecnego etapu. Ocena jej wymaga nie tylko miary osiągnięć, ale i miary odbytej przez poetę drogi. Dlatego właśnie nowe wiersze trzeba obejrzeć na tle, jakie zarysowuje dotychczasowy dorobek.

Konfrontacja daje bardzo interesujący materiał.

Twórczość Piętaka przed wojną przypadła na drugą fazę tzw. ruchu awangardowego i stała się jednym z czołowych jej przejawów. Ten rodowód odciska na niej głębokie piętno, ba, określa prawie całkowicie jej charakter. Toteż pięć początkowych cyklów Wierszy wybranych, obejmujących utwory pisane w latach 1932 — 1939, czytamy z dzisiejszej perspektywy nie tylko jako wyraz oryginalnej indywidualności poetyckiej, ale w dużym stopniu także jako swojego rodzaju dokumenty z wypisów do nienapisanej dotąd historii poezji międzywojennego dwudziestolecia, historii, której zadaniem będzie obnażyć nie zawsze jeszcze widzianą dostatecznie wyraźnie treść tendencji tzw. awangardyzmu, wynikłych z zamętu i kryzysu ideologicznego, ogarniającego pewne odcinki rozwoju poezji naszej tamtych lat. W wierszach i poematach Piętaka z owego okresu konsekwencje tendencji, którym poddawała się twórczość poety, narzucają się z wyjątkowo uchwytną wyrazistością.

Nadrealista sandomierski — takie określenie najczęściej wiązało się z klasyfikacją zjawiska, jakie reprezentował autor Alfabetu oczu. Formułę określenia obok wyników deformacji rzeczywistości nasuwały główne motywy jego poezji. Były to mianowicie stale powtarzające się, niezmienne, prawie obsesyjne motywy nawrotów do dzieciństwa, związanego z wsią sandomierską, ściślej zaś — do pierwotnego obcowania z przyrodą. Nierzadko znajdujemy w wierszach legitymację tej obsesji. Są to wynurzenia, mówiące o duszeniu się w nieprzyjaznym mieście i naporze wykolejonej tęsknoty za „daleką, polną wsią". Motywy znane w poezji tamtych czasów. Znamy także ich uwarunkowania. Treścią ich, wypływającą z bezradności i niemocy ideologicznej pewnych grup społecznych, był lęk przed koniecznością walki z ustrojem i zastępowanie jej bałamutną obiektywnie, chociaż niejednokrotnie tragiczną w subiektywnym rozdarciu samookłamania, nienawiścią do cywilizacji i ucieczką w pierwotność natury. Zapewne, u Piętaka tendencje te nie wystąpiły z taką ostrością jak u innych. Ale i w jego obsesji nawrotów do dzieciństwa i przyrody dają się odczytać zupełnie wyraźnie typowe dla wielu przedstawicieli kryzysu ideolo-

glicznego literatury doby imperializmu impulsy ucieczki od rzeczywistości, posunięte w skutkach do najdalszych konsekwencji indywidualizmu.

Subiektywizm i prymitywny empiryzm — to bez wątpienia główne cechy utworów Piętaka okresu przedwojennego. Uderzała w nich niezwykła ekstatyczność wyrazu obcowania z przyrodą. Będąc bowiem wyładowaniem wyjątkowo chłonnej wrażliwości, piętrzyły natłok chaotycznych i gorączkowych doznań, które poeta starał się rejestrować z pośpiechem i zapamiętaniem. Potok lirycznych wynurzeń, z których narastały wiersze, stanowił jedynie niekontrolowany rejestr wrażeń i doznań zmysłowych, zdanych całkowicie na automatyzm ich powstawania i automatyzm kojarzenia. Wyłączne zdanie się Piętaka na automatyzm wrażeń, i tylko wrażeń, zwęziło w niesłychany sposób zakres odczuwanej rzeczywistości, nie dawało możliwości selekcji jej zjawisk i pozbawiało jakichkolwiek kryteriów oceny.

Odbijało się to w widoczny sposób w tematyce. Motywy powrotu do przeżyć dzieciństwa nie stoją właściwie w żadnej proporcji do rzeczywistości wsi. Wyrażają bowiem jedynie subiektywne poddanie się wrażeniom przyrody, przemienianym często przez natężenie i pierwotność odczuć w obrazy bliskie majaczeniom sennym i halucynacjom. Jeżeli trafiają się tu jakieś elementy życia wsi, to wyłącznie w postaci i funkcji ornamentu. Nawet wyraz przeżywanego głodu i niedoli dziecka chłopskiego nie zdołał nabrać właściwego akcentu, gdyż jest szeregowany na równi z doznaniami wrażliwości wyczulonej przede wszystkim na zjawiska przyrody i gubi się w chaosie doznań. Także liryka miłosna obraca się tylko w kręgu wrażeń, które wprawdzie zawierają w sobie duży ładunek wzruszenia, ale zdane swojemu automatyzmowi, nie rozwijają się w uczucia. Biologizm przesądził odhumanizowanie treści poezji Piętaka i jej całkowitą pozahistoryczność.

Oczywiście, ten zarys postawy twórczej Piętaka ulega na przestrzeni lat pewnym zmianom. Po początkowym okresie ekstatyczności wylewów lirycznych zaznaczyła się dążność do uogólnienia wyrażanych doznań. Zamiast bezkształtnej magmy wzruszeń występują teraz konstrukcje obrazowe, organizujące doznania w zamkniętą w jakiś sposób wizję świata, nierzadko zdeformowaną, prawie zawsze odrealnioną, pretendującą do swojej własnej integralności, wyrwaną z faktycznych związków rzeczywistości. Niekiedy Piętak, ulegając programowym uroszczeniom dochodzącym do głosu w trw. ruchu awangardowym, starał się nadać swoim konstrukcjom obrazowym znaczenie pewnego rodzaju mitu, który miał streszczać w sobie sens rzeczywistości. Nie ulega wątpliwości, że także ten etap twórczości Piętaka, nacechowany wprawdzie osiągnięciami bardziej harmonijnej sugestii artystycznej, nie mógł zmienić ostatecznej wymowy jego poezji, określającej jednakowo czy to mechanicznym rejestrem wrażeń, czy to konstrukcją obrazową ten sam pozahistoryczny świat, wyzuty z humanistycznych treści, daleki od spraw społecznych, zacieśniony do subiektywizmu, zagubiony w biologizmie.

Niezależnie przecież od tego stwierdzenia, w którym zawiera się ogólna ocena początkowych etapów twórczości Piętaka, należy podkreślić, że dążność do konstrukcji obrazowych, aczkolwiek służyła w swojej istocie temu samemu, co poprzednio, impulsowi ucieczki od rzeczywistości, przyczyniła się w niejakim stopniu do zacieśniania i przełamywania krańcowych skutków biologizmu. W wypadkach zaś kiedy nie była dostatecznie rygorystyczna, otwierała jak gdyby szczeliny, którymi do

poezji Piętaka wciskały się niespotykane w niej przedtem elementy rzeczywistości nie tylko przyrodniczej, przeważnie w postaci szczegółów obyczajowych życia wsi. Wyraźnie ujawniają to próby epickie, które niewątpliwie zasługują na baczną uwagę, ale które jednak wskutek słabości wątków fabularnych, podporządkowanych zresztą często funkcji konstrukcyjnej obrazów, zdradzały te same braki postawy, prowadzącej do zwichnięcia wymowy rzeczywistości w zdeformowanych obrazach.

Odczytane dzisiaj na nowo wiersze i poematy Piętaka z okresu przedwojennego, wskutek ujawnionych tendencji, które zaciążyły na nich, a które były wspólnym złem pewnej grupy poetów dwudziestolecia, reprezentują wyniki w przeważającej większości antyrealistyczne. Z tych względów dorobek poety, przypomniany w początkowych cyklach Wierszy wybranych, mimo bezsprzecznej świeżości poetyckiego spojrzenia i niemałej wynalazczości artystycznej, należy już do historii jako dokument zawikłań rozwoju poezji tamtych czasów, a nie do tradycji, która mogłaby doczekać się kontynuacji. Wiersze wybrane są już drugą próbą podsumowania przez poetę odbytej drogi; pierwsza przeprowadzona była w r. 1947 w tomie Dom rodzinny. Różnica między obu próbami, wyrażająca się w rezygnacji z przypominania coraz większej liczby dawnych utworów, wskazuje, że poeta zdaje sobie sam sprawę, iż także dla niego w jego indywidualnym rozwoju utwory te nie reprezentują już żywotnej tradycji, lecz tylko pozycje pozostawione bezpowrotnie za sobą.

Przełom, jaki dzisiaj zaznacza się w twórczości Piętaka, a dalsze etapy rozwoju przynoszą coraz wyraźniejsze zapowiedzi narastającego przełomu, wyniknął właśnie na podłożu krystalizującego się poczucia rozbieżności między poezją a rzeczywistością. Utwory, pisane w czasie wojny, aczkolwiek w zasadzie stanowiły przede wszystkim kontynuację i nie wnosiły zmian, zarysowały pewne przesłanki późniejszego przeobrażenia. Uwidoczniało się to w dalszym przezwyciężaniu automatyzmu biologicznej postawy wobec świata i w coraz silniej zaznaczającej się obecności realiów, dzięki którym *materia poetica* poszerzała swój nazbyt przedtem ograniczony zakres. Były to realia już nie tylko wspomnień, ale i bezpośrednio przeżywanej rzeczywistości. Impulsy, wynikające z pierwszych nieśmiałych i opornych zetknięć z odnajdywaną rzeczywistością, nabrały bardziej zdecydowanego wyrazu w twórczości powojennej. Już tom Lot dojrzałych dni można było uznać za zapowiedź przemiany w dotychczasowej postawie poety. „Stanąłem w obliczu poważnego przełomu ideologicznego i artystycznego, będzie go znamionować odejście od osobistych spraw do twórczości obiektywnej, silnie związanej z treściami społecznymi, do realizmu" — takim programowym wyznaniem charakteryzował ten etap poeta, dokonując obrachunku ze swoją przeszłością literacką (Wieś, 1949, nr 5).

Imię przyszłości otwiera istotnie nowy etap rozwoju Piętaka i przynosi rezultaty, które pozwalają uchwycić zarówno charakter jak i kierunek oraz znaczenie zachodzących przeobrażeń.

Lektura nowego tomu przekonywa jeszcze raz, że w poezji Piętaka niezależnie od dokonujących się w niej przesunięć pewna jej cecha pozostawała niezmienna na wszystkich etapach rozwoju. Jest to wyraźna autobiograficzność, która w sposób naturalny i zarazem — chciałoby się powiedzieć — spontaniczny przenika poszczególne utwory, że stają się jak gdyby kartkami ujmującego bezpośredniością pa-

miętnika lirycznego poety. Dlatego konfrontacja, pokazując co i jak wpisywało się przedtem na karty pamiętnika, uwidocznia jednocześnie całkowitą odmienność nowych kart. Dostrzegamy mianowicie, jak bardzo wraz ze zmianą postawy poety wobec rzeczywistości, stałym rozszerzaniem się kręgu dostrzegalnych zjawisk pogłębia się treść autobiografii. Szczególnie charakterystycznej wymowy nabierają motywy powrotu na wieś, które i teraz, jak poprzednio, stanowią jeden z głównych czynników tematyki. W nowych wierszach widzimy, że Piętak przełamał dawną ahistoryczną postawę. Powroty prowadzą do konkretnej wsi z jej konkretnymi przejawami pracy i walki. Poeta umie dostrzec i pokazać wieś w procesie przekształcających ją przeobrażeń, wyrwaną przez rewolucję z dawnej rozpaczliwej sytuacji nędzy i wyzysku, przekreślającą zastój, budującą nowe życie. Zapewne, nie wszystkie elementy życia nowej wsi dostrzega poeta z dostateczną wyrazistością. Tu jednak w zacieśniającym się związku z rzeczywistością bije źródło wzruszeń, które stają się najważniejszą częścią składową zapisywanej na kartach pamiętnika lirycznej autobiografii, umiejscowionej obecnie w historycznym czasie i wchłaniającej w siebie treści epoki. Inaczej już przedstawiają się powroty do wsi wspomnień, dawniej roztopione w chaosie zjawisk przyrody, dzisiaj rysujące się w oczach poety ostrym realistycznym obrazem. Odnaleziona rzeczywistość pozwala poecie znaleźć człowieka i niedostępną przedtem sferę treści coraz bardziej pełnego humanizmu. Oddziaływa on z obrazów nowego życia wsi, z wzruszeń wywoływanych nadziejami i perspektywami przyszłości, z woli walki przeciw wojnie o zachowanie pokoju, który pozwalając budować nowy ustrój, pozwala budować przyszłość. Nasycenie się autobiografii przeżyciami, które wiążą się ze sprawami spoza kręgu spraw jednostkowych, i optymistyczna, pełna nadziei perspektywa przyszłości, przewijająca się prawie we wszystkich wierszach i prześwietlająca ich tematykę, stanowią może najbardziej oczywistą miarę zmiany postawy Piętaka. O twórczości jego tego etapu możemy za nim powiedzieć, że „w trudzie ludzkim odnalazłą prawa piękna".

Takie treści zapisane na nowych kartach pamiętnika lirycznego nadają mu charakter odróżniający się od dotychczasowego dorobku. Przekonaliśmy się, że wysunięty przed dwoma laty w obliczu dojrzewającego przełomu program odejścia „od osobistych spraw do twórczości obiektywnej, silnie związanej z treściami społecznymi", nie został bynajmniej tylko deklaracją. Dojrzewanie ideologiczne znajduje potwierdzenie w tematyce Imienia przyszłości. Oczywiście, program odejścia od spraw osobistych należy rozumieć jako odejście od dawnego, jaskrawego subiektywizmu. Słusznie zauważa poeta w jednym z wierszy: „I w socjalistycznej epoce nie zbraknie ścieżki zwykłych marzeń". Toteż w nowym tomie znalazła swoje naturalne miejsce również liryka osobista.

Ze wspomnianym nurtem autobiograficznym poezji Piętaka wiąże się jeden z najcenniejszych niewątpliwie walorów Imienia przyszłości. To bowiem, co pod wpływem rozwoju ideologicznego przeobraziło sens autobiografizmu, sprawia, że kształtowane przez poetę w wierszach treści pozaindywidualne, będące dla niego jednocześnie treściami najbardziej indywidualnymi, nie mają w sobie nic z ogólnikowej deklaratywności lub retoryki, lecz nasycone ciepłem i intymnością wzruszenia wzmacniają siłę oddziaływania autentycznym tchnieniem lirycznym. Nawet wtedy, kiedy fakty rzeczywistości potraktowane zostały ogólnikowo lub powierzchownie, wzrusze-

nie przejawiające się jako odzew na nie, jest siłą, która podtrzymuje wymowę wiersza.

Wewnętrzna wibracja wzruszenia lirycznego, która nabiera tak wielkiego znaczenia przy przełamywaniu ograniczeń, jakie mogłyby wynikać z postawy raczej jednak obserwatora niż aktywnego uczestnika przemian rzeczywistości, odciska się także charakterystycznym piętnem na artystycznych elementach poezji Piętaka. Widać to przede wszystkim w poddającej się falowaniu emocjonalności składni poetyckiej i w nierozerwalnie z nią związanej rytmice. Są to w wierszach Piętaka elementy niewątpliwie indywidualne i oryginalne, tak zresztą indywidualne i oryginalne, że grawitują nierzadko ku manierze. Składnię bowiem poety charakteryzują niezwykłe, odstępujące od normy sposoby kojarzenia zdań pobocznych. Często układają się one w niepozbawione uroku naturalności szeregi jak gdyby właśnie na prawach rytmu, jaki poeta pragnie wydobyć z wyrażanego obrazu. O ile jednak w wierszach wolnych osiągane wyniki zasługują prawie zawsze na uznanie, o tyle w wierszach regularnych lub ich swoistych modyfikacjach trafiają się często wyniki sporne lub zawodne. Składnia bowiem Piętaka, akcentując swoje własne walory rytmiczno - intonacyjne, wprowadza nieraz tak wielką komplikację, że rezultatem bywa w ogóle rozbicie wersyfikacyjnej jakości wiersza.

Dążenie do intymności znajduje u Piętaka niekiedy charakterystyczne ujście w obrazkach rodzajowych życia wsi, roztapiających się w kolorycie sielankowości. W porównaniu z obrazkami rodzajowymi, które przynosił Lot dojrzałych dni a nawet Dom rodzinny, w nowym tomie widać zwiększenie się roli realiów, wyraźnie mających umiejscowić obraz w rzeczywistości. Otóż nie podobna nie zwrócić uwagi, że sielankowa atmosfera, którą autor usiłuje wydobyć, nie zawsze zgadza się z rolą nowych realiów życia wsi. Efektem zatem jest albo dysonans albo też sprowadzanie realiów wyłącznie na plan ornamentyki. Inne niebezpieczeństwo, łączące się z dążeniem do zwiększenia intymności wiersza, występuje wtedy, kiedy Piętak próbuje rozwiązań tematycznych poprzez formy konwersacyjne (np. „Spotkanie po latach", „Więc ja tu do was, Zosiu, znowu na rozmowę. Już nie z delegacją wszakże, tak sobie", itd.). Tego rodzaju próbom rozwiązań przy zasadniczej rozlewności talentu poety, brakuje, niestety, dostatecznej precyzji, aby ich rezultaty mogły budzić zainteresowanie.

Ogółem można stwierdzić, że Piętakowi udało się prawie całkowicie przezwyciężyć tak znamienną przedtem dla niego chaotyczność wyrazu i komplikację. Poezja jego dzisiaj, nie tracąc nic z niepowszedniej zdolności ujmowania zjawisk w obrazach i daru sugestywnej metaforyki, stała się wyraźna i komunikatywna. Na tle dotychczasowego dorobku, w którym dominowały bądź bezkształtność wylewów lirycznych, bądź zagmatwania deformacyjnych obrazów, jest to niewątpliwa zdobycz, która zasługuje na podkreślenie.

Równocześnie jednak należy zaznaczyć, że scharakteryzowane walory poezji Piętaka znalazły realizację tylko w niewielkiej części wierszy Imienia przyszłości. One, a nie całość tomu, pozwalają mówić o osiągnięciach i perspektywach, jakie ukazuje nowy etap rozwoju poety. Ogromny bowiem krok ewolucji, jaki dzieli nowy tom od poprzedniego, nie znajduje pełnego odpowiednika w wysiłku krystalizacji ideowo - artystycznej. Miara artystyczna Imienia przyszłości jest wyjątkowo nierówna. Z utworami, które (jak Powstawszy z choroby, Rozprawa, Do syna, żeby wymie-

nić najbardziej charakterystyczne) będąc świadectwem obecnego etapu rozwoju Piętaka reprezentują zjawiska niewątpliwie interesujące i wyróżniające się w tegorocznym dorobku naszej poezji, sąsiadują, niestety, utwory słabe lub wręcz nieudane.

Niepełna dojrzałość ideologiczna Piętaka, który zresztą dotąd przedstawiał typ poety instynktu raczej niż świadomości, powoduje często wypadki, kiedy zawodzi hierarchizacja zagadnień lub wyprowadzenie właściwego komentarza. Z tym wiąże się błahość, brak pogłębienia lub wyraźny niedowład w wydobyciu istotnych elementów treści ideologicznych. Skutki tego odbijają się na wielu utworach tomu i osłabiają lub całkowicie podważają ich wymowę. Oto np. cykl Wiersze o pokoju. Przynosi on utwory, które wskutek nazbyt wielkich uproszczeń lub naiwnych, powierzchownych rozwiązań nie podołały ciężarowi wymienionej w tytule problematyki i stały się klęską poety. Przykładem symplifikacji może być wiersz Przypomnienie, nawołujący nas, szczęśliwych, do niezapominania o ofiarach koreańskich w ten sposób: „Nim zbliżycie oczy w uśmiechu, niech pamięć o wrogu spocznie, jak kula, w waszym oddechu". Podobną symplifikację ideowo - artystyczną prezentuje wiersz Piosenka o pokoju, wspierająca refren: „Nie ma, nie ma wojny" o szablonowe, zupełnie nieprzekonywające w swojej zdawkowości obrazy, zamierzone jako uogólnienie cech życia w krajach demokracji ludowej.

Drukowanie słabych wierszy, a jest ich w szczupłym tomie sporo, dowodzi braku dostatecznego krytycyzmu wobec własnej twórczości. Osłabiło to bez wątpienia w dość poważnym stopniu ogólne wrażenie, jakie tom mógłby wywrzeć przy odpowiedniej selekcji utworów. Usterki, które spotykamy w licznych wierszach, świadczą o niebezpieczeństwach niedbałości i braku pełnej precyzji artystycznej. Niedociągnięcia tego rodzaju psują wiele często dobrze zarysowanych obrazów, jak np. w takim fragmencie wiersza Do Armii Radzieckiej:

Twój obraz, twoją wzbierającą mowę
niósł nam wiosenny obłok, niósł
pierwszy niedomknięty sen.
Zrywaliśmy się nocą, schylaliśmy
nad mapami głowę.
Rzeki, miasta, nieba zawisały u naszych powiek jak rzeźwiący tlen...

gdzie niefortunny tlen orzeźwiający rzekomo oczy rozbija celny w całości i sugestywny skrót obrazowy.

Z powodu braków, górujących liczebnie nad zaletami, ocena Imienia przyszłości nie byłaby pełna i przede wszystkim sprawiedliwa, gdyby sprowadziła się tylko do miary osiągnięć. Braki bowiem tomu nie powinny przesłonić tego, co w nim posiada znaczenie dla ogólnej linii rozwoju poety jako otwarcie nowego etapu. Dlatego właśnie ocena wymaga uwzględnienia miary odbytej drogi. Dopiero konfrontacja z dotychczasowym dorobkiem Piętaka pozwala zarysować się w pełni faktowi głębokiej zmiany ideowo-artystycznej. Dla tych, którzy śledzili niepowszednią w swoim indywidualnym zarysie twórczość Piętaka, właśnie wiersze, zawarte w ostatnim tomie, stanowią dowód, że poeta przezwyciężył niebezpieczeństwo, iż zostanie tylko rozmijającym się z historią outsiderem, że śmiało włączył się w kształtujący naszą poezję proces przeobrażeń, który prowadzi do poezji realizmu socjalistycznego.

Zamykając uwagi, które nasuwa zbiór Imię przyszłości, skonfrontowany z dotychczasowym dorobkiem Piętaka, warto jeszcze raz podkreślić, że nowy etap, określony wysiłkiem ideologicznego związania się z

rzeczywistością, wydobywa w twórczości poety wartości i otwiera możliwości, które były nieosiągalne przy zachowaniu początkowej postawy ideologicznej. Podkreślenie to posiada swoje uzasadnienie. Piętak bowiem we wspomnianym „obrachunku literackim", dokonując oceny początkowego okresu swojej twórczości, określił jej cechy w następujący sposób: „Nie są to rzeczy literackie, przejęte przeze mnie, ale niejako natura mojej twórczości". Otóż stwierdzając zupełną przeciwstawność rezultatów obecnego etapu rozwoju Piętaka w porównaniu z rezultatami początkowego okresu, można jednocześnie podważyć ujawniający się nieraz w naszych środowiskach literackich mit determinacji tzw. „natury twórczości". Przykład rozwoju czy też zarysowane w ostatnim tomie perspektywy rozwoju Piętaka są w tym względzie charakterystyczne.

Hieronim Michalski

JERZY ZAGÓRSKI: *Wiersze wybrane*, Czytelnik, Warszawa, 1951; str. 52.

Poezja Zagórskiego, obracająca się przeważnie w dziedzinach oddalonych od bezpośredniej, podpadającej zmysłom rzeczywistości, snuje dość jałowe refleksje o przemijaniu i trwałości, o życiu i sztuce, która przemijające piękno uwiecznia. Poeta kilkakrotnie usiłuje określić, czym jest sztuka nowa, socjalistyczna poezja (Czyn, str. 31, Poetyka 49, str. 35), oświadcza swą solidarność uczuciową z pracą podjętą przez Polskę socjalistyczną, wyraża podziw dla jej perspektyw — lecz mimo to jego Wiersze nowe, których pobudką były wydarzenia i osiągnięcia nasze lat ostatnich — nie udzielają czytelnikowi jakichś nowych, żywych doświadczeń, wynikłych ze związania ze sprawą budowy życia socjalistycznego. Nie nowe treści poetyckie, nie nowe źródła uczuciowe znajduje czytelnik w tym tomie Zagórskiego, lecz raczej zwraca tu uwagę formalne opanowanie mowy wiązanej, odświętny rytm zdań, zamiłowanie autora do imponowania ozdobnością, nadużywanie personifikacji, brząkanie reminiscencjami, przestawnia i peryfrastyczny język, który czasem przypomina styl „pseudoklasyków" — ale nie przyczynia się do uściślenia wyrazu poetyckiego, do zaakcentowania treści. Treść u Zagórskiego pozostaje niesprecyzowanie mgławicowa poza kawalkadą strojnych zwrotów jak „lat konnica", „geniusz czasu" itp. (z wiersza Muza wrocławska, str. 11). Oto reprezentatywny dla tomu fragment wiersza pod charakterystycznym tytułem Pióropusz:

Wszystko, co piękne jest, zostaje,
Nie da się nic wymazać nigdy.
Chwila obecna na kształt igły
Dwie szmaty (sic!) czasu z sobą
spaja.
Jedna z nich wstecz gwałtownie
sfruwa,
Drugą przed nami wiatr łopoce.
Lecz, gdybyś chciał omijać noce
Kryjąc się w las gęstego snu
I gdybyś chciał zaprzeczyć dniom,
Kryjąc się w muzyk nocnych fugach,
Igła uderzy, ze szmat dwu
Uszyje wieczność —
ducha płaszcz, (?)
I pojedziemy tym
tramwajem. (?)
Wszystko, co piękne jest, zostaje.
(str. 22).

Z tego nagromadzenia słów i sztucznych obrazów — da się wyłuskać jakże nikłą myśl, nie odświeżoną jakimkolwiek konkretnym, własnym doznaniem autora. Mimo chęci czerpania z nowego życia, tkwi Zagórski mocno wśród zblakłych chimer, w opuszczonych przez inwencję formach swojej dawnej poetyki.

Ów temat, do którego często nawraca, bynajmniej nie nową refleksję o mi-

janiu czasu i o trwałości sztuki, usiłuje poeta zmodyfikować w optymistycznym i twórczym sensie, wiążąc go z entuzjastycznie wyznawaną aprobatą dla nowych prac życia, utrwalanych obecnie przez sztukę (tematy warszawskie). Nad utworami tymi ciąży jednak ogólnikowość i deklamacyjność — choć spotkać tu można także strofy piękne, błyskające kunsztem (np. w wierszu Czyn, osnutym na temacie fontanny mariensztackiej). W momentach jednak, kiedy wiersz się ożywia, a ogólnik ustępuje szczerej konkretności poezji — wraca pisarz do motywu: „Idzie czas, a z nim córka — śmierć" (wiersz o tematyce osobistej Cisza piątej, str. 48).

Brak konkretności myśli w wierszach ideowych, programowych, a brak precyzji wyrazu w ogóle — to kardynalne obciążenia, które sprawiają, że poezja Zagórskiego nie wywołuje żywszego oddźwięku u czytelnika.

Utwory reprezentatywne dla tomu jak Idea, Marzenie, Poetyka 49 pozornie tylko poruszają zagadnienia, w istocie zaś sprawiają zawód czytelnikowi, który złudzony problemem zapowiedzianym przez autora, nie znajdzie w wierszu jakiegoś odsłonięcia spraw, jakiejś konkretnej odpowiedzi. Ujęcia, zawarte w skandowanych strofach Zagórskiego, musi czytelnik uznać za przypadkowe i nie wynikające z istotnych poszukiwań nowego stosunku do rzeczy. Cóż bowiem mówią takie określenia z Poetyki 49, jak to, że w nowej poezji „piękne robotnice tańczą jak królowe" — lub że poezja epoki budowania socjalizmu, to „spiżowa mody siostra". Rezultaty rozmyślań o „poetyce 49", które streszczają się w uwagach, że ta poezja jest i „trwała jako lamparty wykute w kamieniu", i „kapryśna jak tygrysia chmurka" — nasuwają wniosek o błahości tych prawd, jakie ujrzał poeta. Większe utwory są szczególnie blade, pozbawione ostrości myśli i obrazów (Pióropusz, Muza wrocławska).

I w treści tych dywagacyj, i w samej formie czujemy dystans, jaki dzieli poetę od spraw świata, który mu się podoba i który pragnie pochwalić swą stylizowaną strofą. Jak dziwi np. porównanie przyszłego, socjalistycznego pokoju światowego z wyhodowaną przez Lukullusa czereśnią. Lukullus, dymisjonowany Führer na przymusowych wczasach trafił do owej Eklogi nadziei przez nieporozumienie, przez czcze zamiłowanie do wyszukanych porównań.

Innego rodzaju nieporozumieniem są reminiscencje z ballad Mickiewiczowskich w wierszu o problematyce czysto nowoczesnej, rozważającym między innymi prawa inteligenta, „konsumenta", do korzystania z piękna, stwarzanego przez proletariackich budowniczych Warszawy (Idea). „Wtem... dzień biały!... Widzisz to miasteczko?... moja ty owieczko" (str. 29) — zwraca się poeta do „widzów" współczesnej Warszawy — i słowa te rażą w kontekście utworu jak nieudała sztuczka formalna.

Powierzchowna tylko, a nie istotna dbałość o formę wyraża się w poezji Zagórskiego w przewadze rymu nad treścią. Kreśląc w Muzie wrocławskiej próbkę historiozofii ziem odzyskanych, powiada autor, że sens dziejów tego miasta — to życie współczesnej pary studiujących we Wrocławiu młodych ludzi, córki robotnika i wracającego na ziemie polskie z armią radziecką Polaka, potomka powstańców. Pragnąc przedstawić losy tych bohaterów, zaczyna tymi słowy: „tam ich historię zgadniesz mglistą"—wbrew sensowi, gdyż historia owych bohaterów nie miała zawierać najmniejszej dwuznaczności. „Mglistą" spowodował tylko rytm do „bukinistą". Zniechęca to czytelnika do uznania przewodni-

ctwa ideowego takiej poezji. A nie jest to odosobniony przypadek braku poczucia wagi słowa. Oto jeszcze jeden przykład. Wiersz Czyn, w którym są momenty istotnie poetyckie, kończy autor zupełnie pustym słowem. Ostatnia strofa o obecnych i nadchodzących czasach brzmi w ten sposób:

Niedoceniony wieku! Tony
Słyszę już twoje. Skoro tak
Świat się podnosi rozburzony, (sic!)
Nie brak stuleciu pięknych flag.
(str. 32).

W kulminacyjnym punkcie wiersza — pustka, „flagi" zamiast treści.

W tomie daje się odczuć obniżenie czujności artystycznej. Nie będę się zatrzymywać dłużej przy lapsusach językowych, które teraz jak i dawniej szpecą poezję Zagórskiego. (Grzmot nie rozetnie d ł o n i e fontann zamiast „dłoni", str. 195, W i e r s z e w y b r a n e; „gdyby się światu przegrać miało" w znaczeniu „gdyby świat miał przegrać", ibid, str. 37). Również zecer „podstawia nogę" autorowi, gdy drukuje, że „nadzieja strach p r z e g r a" zamiast „przegna" (str. 45), lub powoduje kompletną niezrozumiałość szóstej strofy chaotycznego i tak wiersza W ę d r ó w k a (str. 36).

Kilka pięknych utworów i wiele prób chybionych są świadectwem omyłki, jakiej ulega pisarz, sięgając dziś w rejony poezji quasi filozoficznej, zamiast starać się o oddanie swego widzenia świata, zamiast uprawiać ten rodzaj liryki, w którym cechuje go bogactwo obserwacji malarskiej i poetyckiej fantazji. Dziedzina refleksji nie jest najsilniejszą stroną Zagórskiego. Niestety, W i e r s z e n o w e — wkład Zagórskiego do poezji aktualnej — mają przeważnie charakter refleksyjny i daremnie kuszą się o ukazywanie perspektyw kultury socjalistycznej. W wierszach o mniejszych ambicjach stosunkowo lepiej udaje się poecie wypowiedzieć sens swego uczucia. (Np. K o c h a m c i ę, z i e m i o, str. 51). Prostota formy wyszła tu utworowi na korzyść: posiada on większą siłę przekonywania uczuciowego.

Postawa pozytywna wobec naszej rzeczywistości jest w poezji Zagórskiego tym prawdziwsza artystycznie — im skromniejsza, im mniej pretensjonalna. I najwidoczniej Zagórski zdaje już sobie sprawę z tego, że trzeba mniej pośpiesznie, mniej pobieżnie przekuwać nowe doświadczenia w poezję, skoro na końcu pisze:

Nie będę kłamał, że mi lekko,
Nie chcę być pośmiewiskiem muz.
Wiersz, co przekaże prawdę wiekom,
Taki z latami będzie rósł.

Janina Preger

ANNA KOWALSKA: *Wielka próba*, Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa, 1951; str. 163.

Gdy przed rokiem pisarze ruszyli do kopalń, hut i spółdzielni produkcyjnych, by zebrać tam materiał do przyszłych powieści, Annę Kowalską zainteresował pisarsko zakład dla kształcenia inwalidów w Wojtowicach pod Wrocławiem. Temat na pierwszy rzut oka z marginesu życia, nie dający chyba okazji do wydobycia bogatszej treści, do zarysowania pełniejszej problematyki przemian i wzrostu. A jednak z tego „wąskiego" tematu wyrosła pod piórem Kowalskiej książka, z której bije przekonywająca prawda o obliczu dzisiejszego dnia. „Wszyscy widzą zburzone miasta, ale przeraziliby się, jakby poznali, co wojna zrobiła z ludźmi". Inwalidzi — to żywy ślad zniszczeń wojennych, ukazanie ich losu będzie żarliwym protestem przeciwko wojnie. Autorka nie przeprowadzi jednak przed nami pochodu kalek, by wstrząsnąć widokiem ich okrutnej doli. Na jednej ze stronic W i e l k i e j p r ó b y mówi:

„Niecierpliwiło mnie, gdy słuchałam biadania nad zniszczeniem miasta. No cóż? Wiedziało się o tym, ale nauczyliśmy się zauważać raczej to, co się dźwigało, niż to, co leżało w gruzach". W Wielkiej próbie autorka skupi więc uwagę na „dźwiganiu się" okaleczałych ludzi, ukaże, jak w warunkach Polski Ludowej dokonuje się ich powrót do życia. Książka Kowalskiej będzie opowieścią o odbudowie człowieka.

*

W pierwszych rozdziałach powieści autorka przywołuje obraz dni z wiosny 1945 roku. Jesteśmy na jednym ze szlaków wielkiej wędrówki. Przed naszymi oczami przesuwają się widoki dworców, przez które przewalają się tłumy śmiertelnie umęczonych kobiet i dzieci; oglądamy drogi, którymi ciągną wynędzniałe gromady wysiedleńców i ludzi w pasiakach obozowych. Kowalska w realistycznie zarysowanych scenach oddaje klimat gorączkowego powrotu do domów, do rodzin, do życia.

Ten szeroko malowany obraz tworzy jakby naturalne tło, na którym szczególnie tragicznie odcinają się postacie ciągnących drogami inwalidów. Oto widzimy byłego tkacza, Ragonia, bez obu rąk, powraca on z poczuciem klęski, przeświadczony, że będzie ciężarem dla otoczenia, że nie weźmie udziału w budowaniu nowego życia. To poczucie własnej bezsilności każe mu zawrócić sprzed domu ukochanej kobiety. Jednak gdy Ragoń gorzko i skrycie przeżywa swoje kalectwo, gdzieś daleko od szlaku jego wędrówki „już wydawano dekrety, już wiedziano, planowano". W tych planach nie brakło i troski o Ragoniów.

W drugiej części książki autorka wprowadza nas do zakładu inwalidów w Wojtowicach, odsłaniając funkcję społeczną tej instytucji. To już nie przytułek, jaki w państwie kapitalistycznym ofiarowano inwalidom, to szkoła powrotu do życia. Mimo kalectwa ludzie zdobywają tu nowe kwalifikacje zawodowe, dzięki którym mogą powrócić do pracy, odzyskać poczucie własnej wartości.

W jaki sposób udaje się Kowalskiej plastycznie wyrazić tę prawdę?

Do Wojtowic trafiamy z autorką już w pięćdziesiątym roku. Tu właśnie spotkamy Ragonia, Raubiszkę, będziemy świadkami przybycia do Wojtowic Gawlika i Mazura, tych samych, których Rągoń widział przed laty obnoszących swoje kalectwo i wyciskających z ludzi jałmużnę.

Ragonia straciliśmy z oczu na szlaku wędrówki. O jego losach opowie Raubiszko. Z tego opowiadania wychyla się udręczona twarz człowieka, który nie mógł wziąć pełnego udziału w budującym się socjalistycznym życiu. Wojtowice stwarzają mu szansę powrotu w szeregi walczącej klasy robotniczej. Słyszymy, że z zaciętością i zapałem przygotowuje się do nowego zawodu.

Autorka ukaże nam całą galerię postaci, odsłaniając przy pomocy oszczędnie kreślonych życiorysów typowe sytuacje społeczne, z jakich wychodzili ci ludzie, obarczeni klęską kalectwa. Najpełniej udało się Kowalskiej zarysować postać robotnika Królikowskiego. Przyszedł do zakładu jako półanalfabeta. Przeżył niegdyś czasy bezrobocia, strajków i prześladowań reżimu sanacyjnego. „Oto jestem w zakładzie, patrzę, słucham. Młodych nie dziwi ani czyste łóżko, ani ogrzane, widne pomieszczenie, ani to, że mogą się uczyć. Dla nich to zwyczajna rzecz. Coś jak oddychanie. Nie wiemy, co to brak powietrza, dopóki nam go nie zabraknie. Oni oddychają teraz powietrzem socjalistycznego świata i nie domyślają się, jakie stęchłe i szarpane istnienie miał robot-

nik przedtem". Królikowski okaleczałą ręką pisze pamiętnik, po to, żeby jego młodzi towarzysze wiedzieli, czym było kapitalistyczne wczoraj.

Wojtowice przywracają nie tylko zdolność do pracy, są miejscem głębokiej przemiany duchowej. Kowalska szkicuje nam kilka scen, by pokazać kształtowanie się nowej postawy wśród inwalidów. Najnieszczęśliwszych wydobywa z załamania, z prostracji czujna pomoc kolegów, w których dojrzewa socjalistyczna świadomość. Szczególnie trudnym wychowankiem zakładu jest Mazur, który „miał czternaście lat, jak mu Gestapo wymordowało rodzinę w Zamojskiem. Uciekł z płonącego domu. Wałęsał się, kradł, poszedł do lasu, bił się, nogę stracił, a co gorsza stał się moralnym inwalidą". Nad Mazurem upartą opiekę roztoczy były górnik, Brzoza, by rozbudzić w nim świadomość klasową, by ukazać mu głęboki sens walki, jaka rozgrywa się poza murami Wojtowic o to, by „nie powtórzył się dla innych los Mazura". Autorka pokaże nam, jak do życia zakładu w Wojtowicach przenika idea walki o pokój i Plan Sześcioletni. Wrocławskie fabryki zgłaszają do Wojtowic zapotrzebowanie na kilkudziesięciu ślusarzy i kreślarzy. Trzeba przyśpieszyć wyszkolenie tych ludzi. O wyniku akcji zadecyduje postawa samych wychowanków.

Najlepsi z nich, jak Ragoń, Wysocki, Brzoza, Królikowski, zmobilizują całą załogę, która będzie wiedziała „dlaczego trzeba stanąć do roboty". Wysocki rzuci hasło, które poderwie wszystkich inwalidów do wzmożonego wysiłku: „Ci, którzy byli w wojsku, wiedzą, co znaczy iść na cały wzrost. Pójdziemy więc na cały wzrost jak do ataku — do nauki, do roboty. Ta nasza chęć, nasza gotowość — to jest socjalizm. Jesteśmy tu wszyscy synami robotników i chłopów, o własną sprawę walczymy".

Wymieniliśmy kilka momentów, wyznaczających konstrukcję opowieści Kowalskiej. Autorka nie spojrzała na Wojtowice jako zamknięte, wyizolowane środowisko. Na tym wąskim odcinku potrafiła pokazać proces dokonującej się wielkiej przemiany, potrafiła odsłonić „kiełki nowego" i to jest sukces pisarki.

Jest jeszcze druga sprawa, którą możemy odczytać z Wielkiej próby. Książka ta mówi o drodze dochodzenia inteligenckiego pisarza do nowej tematyki, o jego wysiłku dotarcia do ludzi nowej rzeczywistości. Motyw ten przewija się przez wszystkie karty opowiadania, szczególnie mocny wyraz znajduje w scenie spotkania narratorki z poetą Nazarem, który właśnie reprezentuje postawę „bezinteresownego obserwatora" o kosmopolitycznych upodobaniach. W zetknięciu z nim w narratorce pod wpływem wewnętrznych wahań krystalizuje się potrzeba określenia swojej postawy życiowej. „Ale przed oczami zjawiła się surowa twarz brygadzisty zespołu młodzieżowego w kopalni węgla, oświetlona mdłym światłem latarki, i wróciło tamto uczucie podziwu i nieśmiałego braterstwa. Cóż znaczył trud literacki wobec tamtego trudu? Co znaczyły małe próżności wobec tamtej upartej i bez wahań prawdy każdego dnia? Co było kulturą? Czy wiara w sens wielkiego wysiłku młodego górnika, czy elegancki sceptycyzm poety, dla którego rewolucja była, owszem, pożywką literacką?"

Słowa te wzbudzają w czytelniku nadzieję, że pisarstwo Kowalskiej będzie szło coraz bardziej w głąb nowego życia, że nie zatrzyma się na stanowisku „uczucia podziwu i nieśmiałego braterstwa". To jest jednak pierwszy krok na drodze do pełnego zrozumienia i artystycznego przeżycia nowej rzeczywistości.

Maciej Koliba

J. I. KRASZEWSKI: *Szalona*. Wstępem poprzedził Zbigniew Mitzner. Okładkę projektował Andrzej Heidrich. Czytelnik, Warszawa 1951; str. 158.

Twórczość Kraszewskiego! Długi czas nie doceniana, ignorowana, niemal zapomniana. W latach międzywojennych wydawało się, że dla czytelnika ocalała tylko S t a r a B a ś ń i powieści saskie. Dopiero obecnie ukazują się kolejno liczne powieści tego autora. I raz po raz zanurza się któryś z krytyków w kilkudziesięciotomową twórczość J. I. Kraszewskiego, by wyłowić, jak mewa z fal morskich, cenną i wartościową zdobycz.

Przed kilku miesiącami czytaliśmy znakomity utwór Kraszewskiego K a w a ł l i t e r a t a, gryzącą satyrę na młodego rekina, który „po trupach" robi karierę, nie mając po temu żadnych danych obiektywnych i nawet z najcięższej opresji potrafi się wydobyć na powierzchnię.

Obecnie wydana, zapomniana kiedyś powieść pt. S z a l o n a, to utwór na ogół niedbale napisany, a przy tym — niezwykle interesujący. Jest źle napisany, bo czuje się pośpiech autora w samym stylu, w konstrukcji zdań sztucznej przeważnie, nienaturalnej, niezgrabnej; w sposobie prowadzenia akcji, suchym i pośpiesznym zwłaszcza na początku utworu. W dość płytkim, moralizatorskim — przynajmniej na pozór — ujęciu problemu. Wreszcie w rysunku figur, które są przeważnie szablonowe, psychologicznie nie pogłębione, nieplastyczne, jakby szkicowe.

A jednak powieść ta jest niezmiernie interesująca, trudno się od niej oderwać. Myślę, że to sprawa i zasługa głównej bohaterki, niezwykłej, tragicznej, głęboko i niecodziennie pomyślanej Zońki, „Szalonej". Jest to portret kobiety intelektualnie chłonnej, samodzielnej i konsekwentnej. Na próżno stara się nam Kraszewski (albo udaje, że się o to stara) obrzydzić ową Zońkę, potępić ją, wykazać bezsensowność i zgubność jej linii życiowej. Nie może nam zabronić, byśmy uznali tę Zońkę za najbardziej interesującą postać opisanego środowiska. Zońka dziś jeszcze wywiera na nas urok, jak go wywierała na wszystkich prawie mężczyzn w powieści, od lalusia Zoriana, chłopskiego syna Teofila Sągajły, aż do ograniczonego, a przez autora niby chwalonego Chorążyca, francuskiego blagiera d'Estompelli i rzekomo postępowego filozofa, Jewłaszewskiego.

Szczerze mówiąc, podejrzewam samego pisarza, że potajemnie i wbrew pozorom ulegał temu tajemniczemu urokowi. Pozory te są co prawda — dosyć silne. Powieść jest skonstruowana jako pamflet zarówno na emancypację kobiet jak i na radykalne poglądy społeczne pewnego odłamu młodzieży polskiej w Kijowie w latach 1858 — 1860; młodzieży pozostającej pod wpływem francuskich socjalistów utopijnych. Kraszewski ośmiesza jednego z mistrzów i nauczycieli swej Zońki, blagiera, nieuka, łajdaka i głupca, Jewłaszewskiego. Z sympatią wyraża się o konserwatywnym, umysłowo i obyczajowo zacofanym światku przeciwników Zońki, rodzinie Chorążyca i jego przyjacielu, doc. Komnackim. Tragiczne losy Zońki, jej życiowe wykolejenie, bankructwo jedynej szczerej i prawdziwej miłości tej dziewczyny o licznych przygodach, zdawałoby się świadczyć, iż sympatie pisarza są wyraźnie sprzeczne ze światopoglądem bohaterki.

A jednak... Trudno nie dostrzec argumentów przeciwnych. Gdy inni, rzekomi „postępowcy" w powieści wycofują się i zdradzają, Zońka zostaje wierna przekonaniom. Gdy za cenę ideowego kompromisu mogłaby wyjść za ukochanego i uregulować burzliwe, postrzępione, tragiczne swe życie — mówi wyraźnie, że na taki kompromis nie zgodzi się nigdy. Gdy widzi, że swą miłością mogłaby Chorążyca pogrążyć

i pchnąć do zguby, decyduje się na porzucenie człowieka, który jest dla niej wszystkim. I wreszcie, końcowe jej postępowanie, akces do Komuny Paryskiej, wierność ideałom nawet w chwili ostatecznej klęski, dobrowolne szukanie śmierci i uparte trzymanie się sztandaru po przypadkowym ocaleniu, dopełniają wizerunku tej niezwykłej w literaturze naszej owej epoki — postaci rewolucjonistki.

Czyżby więc należało przypisać Kraszewskiemu jakieś ukryte myśli nie całkiem jasno wyrażone w książce? Być może. Czyżby się mylił pozytywista Chmielowski, uznając tę powieść za pamflet na emancypację kobiet? Czyżby popełniła omyłkę Orzeszkowa, która w liście do Karłowicza nazwała tendencję tej książki nonsensem? I może niezupełnie ma rację Zbigniew Mitzner we wstępie (świetnie zresztą, z dużą eryducją i wnikliwością napisanym) do obecnego wydania S z a l o n e j, gdy godzi się na twierdzenie, że „tendencje tej książki są reakcyjne", że „zwyciężyła samego twórcę", że wymowa Zośki „urasta ponad miarę, którą chciał jej dać Kraszewski".

A może właśnie chciał? Podwójna cenzura ówczesna, urzędowa i obywatelska, mogła nakazywać ostrożność ciężko borykającemu się pisarzowi. W miarę zbliżania się do finału oczyszcza się jak po burzy atmosfera powieści, dramatyzuje się, porywa nas coraz mocniej, nabiera artystycznej siły w niespodziewanych rozdziałach opowiadających o rodzącej się miłości Zośki do pogardzanego przez nią dawniej Chorążyca, i fascynującego, nieodpartego ciążenia ich ku sobie w scenie wycieczki sankami. Niedbale napisana powieść porywa nas mimo wszystko. Jej prawdziwy artystyczny i myślowy rytm coraz wyraźniej przebija się przez bezładną kakofonię banałów i utartych formułek. Jeśli Zonia była naprawdę szalona — Kraszewski umiał porwać nas w wir jej „szaleństwa", wartościowszego od pewnych rozsądków.

Wojciech Natanson

STEFAN ŻEROMSKI: *Wspomnienia*, Czytelnik, Warszawa, 1951, str. 205.

Tom ten nosi w zbiorowym czytelnikowskim wydaniu Żeromskiego tytuł: W s p o m n i e n i a. Może należałoby mu dać raczej nazwę: W s p o m n i e n i a i n o t a t k i. Ostatnia część książki, to raczej zapiski, notatki, skróty wrażeń. Wielki pisarz nie przeznaczył ich do druku, nie dał im wykończonej formy. Pisał, czy raczej notował dla samego siebie, dla pamięci, dla uchwycenia myśli, które by się mogły zagubić, rozsypać, pomieszać. Czasem odnosi się wrażenie, że chodziło raczej o szkic do pejzażu. Jak dowodzą zachowane pamiątki, Żeromski był także plastykiem-amatorem.

Zapiski i notatki świadczą nadto o zadziwiającej, wręcz imponującej c h ł o n n o ś c i pisarza. Jego gorączkowa wyobraźnia, jego umysł i zmysł obserwacji interesuje się wszystkim: miastami, wioskami francuskimi, zabytkami, kościołami, grobowcami, dziełami sztuki, koncertami, krajobrazami, zachodami słońca na morzach, rozmowami, lekturami, czasopismami, cudzym i własnym lotem myśli. Czasem błąka się po manowcach bez przewodnika, bez metody, bez umiejętności porządkowania i organizowania. Czasem odzywają się w tych ulotnych i pośpiesznych zapiskach odgłosy głębokich zmagań wewnętrznych. Np. 24. IV. 1907 na wieść o wypadkach w Łodzi, Żeromski wybucha: „Patriotyzm nie jest kategorią umysłową ani systemem politycznym, lecz umiejętnością taką jak miłość, nienawiść, zdolność do przebaczania, żądza posiadania i żądza zemsty." Na ten sam temat, głębiej i trafniej pisze 22. II: „Ojczyzna to nie tylko kraj i ludzie, i przeszłość leżąca w mogiłach, w znaleziskach, w zamarłej

sztuce, ale także przyszły porządek społeczny, przyszły obraz".

Kontrast z tymi ulotnymi, „telegraficznymi" myślami stanowią wspomnienia o przyjaciołach Żeromskiego, umieszczone w pierwszej części tej książki. Te króciutkie sylwetki są doskonale skonstruowane, precyzyjne, oszczędne i wykończone. Wzruszają nas dwie sylwetki Henryka Bukowskiego, który po powstaniu 1863 roku zdołał się przedostać do Szwecji jako nędzarz bez grosza, w szynelu żołnierskim, znalazł najpierw pracę w antykwariacie, wysiłkiem, talentem i znajomością języków wyrobił sobie w szwedzkim społeczeństwie opinię znawcy, aby potem pięknym trudem odzyskać dla Polski wiele pamiątek, źródeł i arcydzieł, utraconych w XVII-wiecznych wojnach.

Odważna jest próba obrony współczesnego syndykalisty J. W. Machajskiego, aresztowanego w Zakopanem przez władze austriackie i absurdalnie oskarżonego o „bandytyzm". Wzruszające jest wspomnienie o Wilhelmie Feldmanie, który ciężko choremu, leżącemu w pewnej wsi podkrakowskiej Wyspiańskiemu podsuwał ołówek i „darzył go miłością bez granic, gotów był służyć i spełniać jego każde życzenie, nieść mu pomoc i podtrzymywać biedną rękę opadającą w bezwładzie, użyczać zdawało się wzroku przygasającej źrenicy". Wreszcie pełna barwności, humoru i plastyki jest sylwetka Mariana Abramowicza, który stoczył bitwę z carskimi żandarmami w bramie domu przy Nowym Świecie, na wprost Smolnej.

Osobne miejsce w tej galerii portretów zajmuje O Adamie Żeromskim wspomnienie. Napisane przez twórcę Popiołów tylko dla 55 czytelników „z grona osób, które łaską miłości, przyjaźni i opieki darzyły zmarłego", wydane pierwotnie nakładem autora, to Wspomnienie jest chyba jednym z najbardziej przejmujących trenów żałobnych naszej literatury. Trenów, napisanych z właściwą naturze pisarskiej Żeromskiego potrzebą wyrażenia wszystkich szczegółów, wyrzucenia z siebie największej ilości faktów. Zwrotkami tej elegii prozą są przeżycia chłopca, który zmarł w 18 roku życia na galopującą gruźlicę, mimo prób ratunku. Żeromski ukazuje rozwój tej osobowości od dzieciństwa, poprzez marzenia siedmioletniego chłopca o kotwicy i okrętach, studia licealne we Francji i gimnazjalne w Krakowie aż do krótkiego opisu choroby (w czasie której Adaś odgadł, że nie ma już dla niego ratunku) i śmierć w tej samej „chacie" nałęczowskiej, która była radością jego pierwszych dni. Wszystko tu jest przejmujące, i (aż do niesprawiedliwych czasem oskarżeń wobec pewnych ludzi) przepojone rytmem ojcowskiej miłości.

Czyta się to Wspomnienie z narastającym wrażeniem; pisarz wciąga nas (prawie mimo woli) w krąg własnych uczuć miłości, przywiązania, bezsilności, rozpaczy i żalu. I z kart, które mają być odtworzeniem rzeczywistości, na pamiątkę po Adasiu, wydobywa się nie tylko skarga zranionego ojca, ale i sylweta dziecka tak prawie widzialna, jak obraz tej, co przed wiekami wielkie zniknieniem swoim uczyniła pustki w domu Jana z Czarnolasu.

Wojciech Natanson

KONSTANTY PAUSTOWSKI: *Opowieść północna*. Przeł. Nadzieja Drucka, Czytelnik, 1951; str. 239.

Trzy części, na jakie dzieli się Opowieść, to trzy rapsody epopei, łączącej epokę dekabrystów z wiekiem XX-tym.

Część pierwsza — to epizod walki dekabrystów przeciw caratowi i feodałom. Chodzi tu o ratowanie dwóch dekabrystów, skazanych na śmierć i próbujących się przedostać poprzez zamarzniętą zatokę ku Szwecji. Próba ratunku się udaje, ale płacą za nią życiem dwaj

szlachetni i ożywieni duchem rewolucyjnym ludzie (oficer Bestużew i żołnierz Tichonow) oraz narzeczona Bestużewa, młoda Szwedka, Anna. W tej pierwszej części zmieścił pisarz sens dziejących się wówczas w Rosji wydarzeń, pierwszego w dziejach nowożytnych wstrząsu rewolucyjnego, łączącego wolnomyślną inteligencję z ludem rosyjskim. Dekabrysta Szczepkin mówi do Tichonowa: „Powstaliśmy w obronie słusznej sprawy. Za wolność narodu, za szczęśliwą żołnierską dolę... Nasza sprawa przegrana. Lecz ziarno rzucone wzejdzie. Nie ty, to wnuki twoje doczekają się lepszej przyszłości i podziękują nam za to. Zrozumiałeś? — Zrozumiałem, Wasza Wielmożność — głucho odpowiedział Tichonow — żeby nie wiem co robili, prawdzie kajdan nie nałożą."

Taki testament zostawiają w O p o w i e ś c i dekabryści. Wyraźniej jeszcze i sugestywniej brzmią owe hasła w liście do narzeczonej, pozostawionym przez Bestużewa: „Nadejdzie czas wielkiego odwetu. Męki nasze i zagłada potężnie wstrząsną sumieniami. Lekceważenie szczęścia ludu będzie uważane za ohydną zbrodnię. Wszystko co nędzne, będzie starte na proch, a szczęście człowieka stanie się najwyższym celem wodzów i trybunów ludu".

Dalsze części opowieści, rozgrywające się w latach 1917 — 1937 — to wymowne nawiązanie do słów owego testamentu. Wnukowie ocalonego dekabrysty i nieszczęsnych jego wybawców tworzą między sobą — rodzaj braterskiej wspólnoty. Ocalenie życia, według wierzeń aalandzkiego ludu, stwarza węzły pokrewieństwa i miłości między ocalonymi a wybawcami i ich rodzinami. Pamięć o dekabrystach pomaga potomkom w uświadomieniu sobie własnej drogi, wiodącej ku szczęściu i pięknu. Uczestnik walk rewolucyjnych, oficer marynarki, Szczedrin, wnuk dekabrysty, snuje piękne plany naukowe na temat zmiany klimatu w północnej Europie i magnolii kwitnących nad Zatoką Fińską. Prawnuk nieszczęsnego Tichonowa jest znakomitym malarzem i poślubia wnuczkę szlachetnej Szwedki. Testament dekabrystów staje się orężem pomocnym w walce o nowy świat.

Każda niemal strona tej powieści lśni pięknymi porównaniami, niespodziewanymi obrazami, rakietami prostego a jednak świetnego stylu. Rytm akcji i tętno narracji są wypełnione poezją. Zdarzenia wracają i przemijają jak zwrotki w świetnym poemacie. Słychać zbliżanie się wypadków niby dalekie dudnienie kroków.

Lecz liryczność tej prozy wcale nie kłóci się z jej precyzyjnym realizmem. Nie zamazuje, nie deformuje rzeczywistości (jak to czyniły niektóre poetyckie powieści naszego dwudziestolecia), przeciwnie — jaśniej ją uwypukla. Realizm zakłada, iż rzeczywistość jest piękniejsza i bogatsza od irracjonalizmu. Paustowski poetyckimi środkami potrafi uwydatnić poetycki sens obiektywnej prawdy. Gdy opisuje Zatokę Botnicką, mówi: „wysokie sosny trzeszczały z zimna. Nieustający wicher ścierał z lodu suchy śnieg. Zatoka lśniła nocami ponuro jak czarne zwierciadło i odbijała gwiazdy".

Przykład inny. Opisując zorzę polarną, Paustowski zaskoczy nas niespodzianką: „Zorza płonęła tuż nad horyzontem. Poranek czekał w pobliżu i mieszkańcy górnych pięter domów leningradzkich widzieli go ze swych okien przez całą noc". Czy ten obraz poetycki nie jest równocześnie odkryciem nieznanej cząstki prawdy? Prawdy naszego odczucia?

Chcąc wyrazić piękno Leningradu Paustowski cytuje słowa milicjanta do jednej z bohaterek: „Mieszkam tutaj od najmłodszych lat, a codziennie patrzę i nie mogę się napatrzeć. Stoję w nocy na posterunku i chwilami nie wiem

czy to sen, czy jawa. Podchodzę wówczas do jakiegoś domu, patrzę, pali się latarka z numerem, więc się uspokajam — widać, że nie śnię".

Te środki obrazowania, pozostającego w granicach realizmu, a tak poetyckie, dopomogły Paustowskiemu do wzniesienia niełatwej konstrukcji tej książki. Niełatwej, gdyż chodziło — jak wspomniałem — o uwydatnienie związków naszej epoki z okresem, w którym walczyli dekabryści. Trzeba było tego szerokiego tchu, jaki dał autorowi rytm jego poezji, by pozwolić na prawdziwe i sugestywne odtworzenie owych powiązań.

Wojciech Natanson

NA WIDNOKRĘGU

PRZEGLĄD MIĘDZYNARODOWY

Odpowiedzi J. W. Stalina na pytania korespondenta „Prawdy" w sprawie broni atomowej.

6 października dziennik Prawda opublikował wywiad z J. W. Stalinem w sprawie broni atomowej. Towarzysz Stalin stwierdził, że w ZSRR odbyły się niedawno próby jednego z rodzajów bomby atomowej i że próby z bombami atomowymi różnych kalibrów „będą dokonywane nadal zgodnie z planem obrony naszego kraju przed napaścią agresywnego bloku anglo-amerykańskiego". Towarzysz Stalin stwierdził dalej, że do wyprodukowania broni atomowej zmusiła Związek Radziecki polityka bloku atlantyckiego zmierzająca do agresji przeciw ZSRR, przy czym koła rządzące w USA chcą w razie takiej agresji zastosować bombę atomową. Posiadanie bomb atomowych przez ZSRR nie zagraża w żadnym stopniu Stanom Zjednoczonym, o ile nie zaatakują one Związku Radzieckiego. Towarzysz Stalin stwierdził wreszcie, że likwidacja amerykańskiego monopolu atomowego, a w szczególności posiadanie bomb atomowych przez Związek Radziecki, uniemożliwia imperialistom stosowanie szantażu atomowego i może umożliwić wprowadzenie międzynarodowej kontroli broni atomowej. Towarzysz Stalin ponownie podkreślił, że Związek Radziecki jest zwolennikiem takiej kontroli obejmującej również zakaz użycia broni atomowej, zaprzestania jej produkcji i wykorzystania już wyprodukowanych bomb atomowych wyłącznie dla celów cywilnych. Związek Radziecki nie zgodzi się oczywiście na pseudokontrolę broni atomowej, o której mówią Amerykanie, a która to pseudokontrola „bierze za punkt wyjścia nie zakaz broni atomowej, lecz jej legalizację i usankcjonowanie".

Deklaracja Stalina spotkała się oczywiście z olbrzymim oddźwiękiem na całym świecie. Jednomyślna ocena wypowiedzi premiera ZSRR stwierdza, że są one nowym poważnym wzmocnieniem siły obozu pokojowego. Obóz demokratyczny zareagował zgodnie z tym na oświadczenie Towarzysza Stalina radością, wzrostem poczucia własnej siły i wzmożeniem walki o pokój. Rumuński dziennik *Scantea* pisze: „Dla mas pracujących całego świata jest najzupełniej jasne, iż kraj socjalizmu stanowi pod każdym względem niezwyciężoną siłę, a jednocześnie, że nieugięcie stoi na stanowisku bezwzględnego zakazu broni atomowej. Dla narodu rumuńskiego pełne spokoju słowa Gene-

ralissimusa Stalina są orędziem napawającym serca wiarą w szczęśliwą przyszłość, są bodźcem do wzmożenia walki o pokój i socjalizm". Organ KC Socjalistycznej Partii Jedności Niemiec *Neues Deutschland* stwierdza: „Słowa Józefa Stalina wytrącają z rąk amerykańskich siewców wojny instrument szantażu i presji wobec miłujących pokój narodów. Marzenia amerykańskich monopolistów o opanowaniu świata okazały się fantastycznymi iluzjami pozbawionymi zupełnie podstaw. Wypowiedź Józefa Stalina przyczyni się do znacznego wzmożenia walki o pokój, jaką prowadzą narody świata. Ludzie, którym droga jest sprawa pokoju, widzą bowiem, jak wielka jest przewaga zwolenników pokoju nad zwolennikami wojny". Chiński dziennik *Czewandzibao* podkreślił: „Odpowiedzi Stalina korespondentowi P r a w d y pozwoliły wszystkim narodom świata, a w tym również narodowi chińskiemu walczącemu przeciw agresji amerykańskiej i okazującemu pomoc narodowi koreańskiemu w walce przeciw najeźdźcom zdać sobie jeszcze lepiej sprawę z całej potęgi obozu pokoju". Wreszcie węgierski *Magyar Nemzet* stwierdził: „Pokojowa polityka Związku Radzieckiego, której nowym dowodem było oświadczenie Generalissimusa Stalina, utwierdziła całą miłującą pokój ludzkość w przekonaniu, że potężny Związek Radziecki potrafi zapobiec najstraszliwszej katastrofie w dziejach świata — wojnie atomowej".

W obozie imperialistycznym oświadczenie Stalina wywołało reakcję graniczącą z popłochem. *New York Times* alarmuje, że Stalin „daje sygnał do nowej fazy ofensywy pokojowej, deklarując, iż ZSRR jest za zakazem broni atomowej i za zaprzestaniem produkcji bomb atomowych". Jednocześnie oświadczenie Stalina „wywołuje strach wewnątrz obozu zachodniego i popiera w ten sposób zachodnio-europejskie tendencje neutralistyczne". Ten komentarz głównego organu Departamentu Stanu wskazuje, jak bardzo bolesne dla imperialistów było oświadczenie Stalina. Komentarz ten potwierdza oczywiście pośrednio, że plany imperialistyczne, zgodnie z oceną Stalina, obejmują wykorzystanie broni atomowej w ramach agresji amerykańskiej przeciw obozowi socjalizmu. Stąd ów „strach wewnątrz obozu zachodniego", strach wywołany poczuciem, iż bezkarność atomowych agresorów jest zjawiskiem istniejącym tylko w ich wyobraźni. Burżuazyjny dziennik egipski *Al Misri* pisze o tym następująco: „Propaganda wojenna prowadzona przez imperialistów odurzyła widocznie ich samych, ale oświadczenie Stalina wystarczy zapewne, by doprowadzić ich do przytomności. Powinni oni obecnie wiedzieć, że Rosja gotowa jest stawić im czoła nie mniej silną bronią". Toteż podsumowując ten element reakcji imperialistycznej na oświadczenie Stalina, komentator wojskowy *New York Times*, Baldwin, stwierdza: „ZSRR stał się potęgą atomową i to musi mieć wpływ na wszystkie przyszłe kalkulacje strategiczne USA".

Szczególny popłoch wywołało oświadczenie Stalina w obozie amerykańskich satelitów. Kraje te zdają sobie bowiem doskonale sprawę, że w amerykańskich planach agresji odegrać mają rolę baz wojskowych najbardziej narażonych na kontruderzenie. Dobrze zazwyczaj poinformowany dyplomatyczny komentator *Christian Science Monitor*, dziennika zbliżonego do Białego Domu, Harsch, stwierdził otwarcie, podsumowując reakcję zachodnio-europejską na wiadomość o próbach z bronią atomo-

wą w Związku Radzieckim, że „Departament Stanu obawia się paniki w Europie" i że próby te „mogą podtrzymać, jeśli nie pogłębić falę nastrojów neutralistycznych w krajach sojuszników". „Nastroje neutralistyczne" w Europie zachodniej — to w języku amerykańskich komentatorów identycznie to samo, co rozszerzanie się zasięgu ruchu pokojowego, obejmującego również warstwy drobnej i średniej burżuazji. Już na podstawie głosów i faktów z pierwszych dwóch tygodni po oświadczeniu Stalina można było zorientować się wyraźnie, że obawy cytowanego komentatora amerykańskiego były najzupełniej uzasadnione. Co więcej, uzasadnienie znalazły te obawy nie tylko we wzroście biernych nastrojów „neutralności", wywołanych strachem przed potęgą Związku Radzieckiego, ale przede wszystkim we wzroście aktywnej walki o pokój, w nowej wielkiej fali żądań zakazu broni atomowej i kontroli energii atomowej. Narody w satelickich państwach USA zrozumiały doskonale, że, wbrew wysiłkom propagandy amerykańskiej, Stalin w swym oświadczeniu podkreślając konieczność i możliwość kontroli energii atomowej, podkreślając, że ZSRR jest w pełni zwolennikiem takiej kontroli — wskazał drogę wyjścia i sposób zażegnania niebezpieczeństwa atomowej masakry. Narody te zrozumiały doskonale podstawową myśl, że broń atomowa w rękach broniącego pokoju mocarstwa oznaczając likwidację atomowego monopolu agresorów oznacza zarazem potężne wzmożenie sił pokojowych i szans utrzymania pokoju. Jak szerokie kręgi obejmuje to zrozumienie myśli Stalina, może wskazywać fakt, że nawet tak niepodejrzany „amerykański" dziennik, jak *Populaire*, organ francuskich socjal-demokratów, komentując zagadnienie amerykańskiego projektu „kontroli" energii atomowej, pisze: „Były czasy, kiedy problem zakazu broni atomowej wydawał się nierozwiązalny a przewaga USA na zawsze zapewniona. Niestety, sytuacja zaczęła się zmieniać od 1949, a zmieniła się całkowicie od chwili deklaracji Stalina. Nie ma zatem powodu do fanfaronady..." Bratnie pismo *Populaire'a — Franc Tireur* — wychodząc z tych samych przesłanek, odważyło się nawet żądać zmiany amerykańskiego planu „kontroli" i podjęcia rokowań na nowych podstawach. Dziennik uzasadnił to żądanie: „Plan tzw. większości ONZ opracowany w okresie amerykańskiego monopolu atomowego nie został bowiem zrewidowany w chwili, gdy monopol ten przestał istnieć". Wreszcie katolicki dziennik francuski *La Croix* zażądał natychmiastowego wznowienia rozmów w sprawie kontroli energii atomowej: „Układ w sprawie zbrojeń atomowych jest bardziej nieodzowny niż kiedykolwiek. Zgromadzenie Generalne ONZ na swej listopadowej sesji w Paryżu powinno niemal całkowicie poświęcić się tej sprawie...".

Nie należy oczywiście mniemać, jakoby atomowi szantażyści i agresorzy zrezygnowali ze swych planów atomowej agresji, jakkolwiek nie ulega kwestii, że, zgodnie z cytowaną oceną komentatora wojskowego *New York Times*, musieli te plany zmodyfikować. Oficjalną odpowiedzią waszyngtońskich podżegaczy wojennych na deklarację Stalina stała się wzmożona fala atomowej histerii w USA, fala, przy pomocy której Waszyngton postanowił przeforsować na Kongresie ustawę o przeznaczeniu dalszych 6 miliardów dolarów na zbrojenia atomowe. Deputowany z partii Trumana, Jackson, zagroził narodowi amerykańskiemu, że, jeśli nie zechce zgodzić się na ten nowy program, spadną mu któregoś dnia na głowę dziesiąt-

ki radzieckich bomb atomowych. Z drugiej strony wielka prasa amerykańska rozpoczęła nową kampanię reklamową na temat „cudownych broni" przygotowywanych w amerykańskich laboratoriach. W tym reklamowym arsenale figurują już i atomowe łodzie podwodne, i atomowe samoloty, i atomowe granaty i bodajże nawet atomowe szczotki do butów. Kiedy jednak senator Mac Mahon spróbował udać, że wierzy tej reklamie i wysnuł z niej wniosek, że można by „zaoszczędzić" trochę miliardów zmniejszając wydatki zbrojeniowe na tak „przestarzałe" środki zbrojeniowe jak czołgi czy armaty, na rzecz atomowych cudów — minister obrony, Lovett, ostro go ofuknął, stwierdzając, że „na tymczasem" nie może być mowy o pokładaniu zbytnich nadziei w atomowych wynalazkach. A znany już czytelnikom Harsch z *Christian Science Monitor* ostrzegł rozgorączkowanych Amerykanów, że w chwili obecnej wszystkie reklamowane cuda znajdują się jeszcze „na stołach planistów". Rozhuśtana machina propagandowa imperialistów nie uniknęła więc, jak widać, najrozmaitszych sprzeczności. Czytelnikowi amerykańskiemu oświadczono, że należy się zbroić, bo Związek Radziecki jest bardzo silny i może wysadzić całą „słabę" Amerykę w powietrze bombami atomowymi — na drugiej stronie w tej samej gazecie ten sam amerykański czytelnik przeczytał, iż trzeba się zbroić dlatego, że Stany Zjednoczone są silne, ale chcą być jeszcze silniejsze. Wszystko to oczywiście ma na celu pomieszanie do reszty w głowie amerykańskim wyborcom i przeforsowanie nowych kredytów zbrojeniowych przeznaczonych na realizację starych i nowych planów agresji. Tak więc z deklaracji Stalina i odpowiedzi na nią w centralnej kuźni agresji w Waszyngtonie wynika jeszcze jeden wniosek obowiązujący obrońców pokoju: wzmożenie czujności, wzmożenie akcji. Potęga ZSRR przerażająca imperialistów gwarantuje zaś, że akcja ta nie będzie daremna.

Walka o Niemcy

W pierwszych dniach września odbyła się w Waszyngtonie i Ottawie seria atlantyckich konferencji poświęconych przyśpieszeniu przygotowań agresywnych bloku atlantyckiego w Europie. Najważniejsze z nich były obrady ministrów spraw zagranicznych USA, Wielkiej Brytanii i Francji w Waszyngtonie poświęcone przede wszystkim sprawie utworzenia armii zachodnioniemieckiej i włączenia jej do tzw. armii atlantyckiej podlegającej amerykańskiemu generałowi Eisenhowerowi. W podjętych uchwałach postanowiono zrealizować to posunięcie przy użyciu manewru, który otrzymał oficjalną nazwę tzw. planu Plevena, od nazwiska francuskiego premiera, o którym wiadomo, że dyktando amerykańskie równoznaczne ze zdradą interesów Francji lubi firmować swoim imieniem. Plan Plevena przewiduje utworzenie w ramach armii Eisenhovera węższej organizacji, noszącej pompatyczną nazwę armii europejskiej. W armii tej, która posiadać ma własny sztab, uczestniczyć będą wojska Niemiec zachodnich, Francji, Włoch i trzech kraików Beneluxu. Plan Plevena jest manewrem podwójnym. Z jednej strony francuscy ministrowie usiłują tłumaczyć swej opinii publicznej, że żołnierze niemieccy przestaną rzekomo być żołnierzami niemieckimi, a staną się „obrońcami Europy", z chwilą gdy tylko znajdą się pod rozkazami atlantyckiego sztabu. Z drugiej strony — i w przeciwieństwie do pierwszego, propagandowego, jest to istotny cel planu Plevena — armia europejska ma być instytucją umożliwiającą

przekazanie hitlerowskim generałom — organizatorom nowej armii niemieckiej — dowództwa nad wojskami wszystkich zachodnio-europejskich satelitów amerykańskich. Wielkokapitalistyczny dziennik szwajcarski *Neue Zürcher Zeitung* pisał: W ciągu trzech najbliższych miesięcy nie będzie już armii francuskiej poza nielicznymi efektywami dla ochrony terytoriów zamorskich. 1000-letnia tradycja francuskiej legendy wojskowej pielęgnowana przez literaturę i szkołę dobiega kresu. Nie będzie już munduru francuskiego, lecz wspólna liberia oddziałów europejskich. Nie będzie francuskiego ministerstwa spraw wojskowych, lecz międzynarodowy komisariat. Chwilowo nie mówi się jeszcze, czy narodowy trójbarwny sztandar zachowa prawo istnienia w dziedzinie wojskowej. Rząd próbuje obecnie ukryć fakt dokonany i wmówić społeczeństwu, jakoby Francja zachowała jeszcze swobodę wyboru swej drogi według reguł demokratycznych".

Na płaszczyźnie wojskowej plan Plevena odegrać ma więc tę samą rolę, co na płaszczyźnie gospodarczej tzw. plan Schumana (inny specjalista od firmowania swoim imieniem planów amerykańskich) połączenia przemysłów węgla i stali Europy zachodniej. Zachodnio-niemiecka komenda w „armii europejskiej" ma być oczywiście realizowana w imię amerykańkich planów agresji przeciw obozowi socjalizmu i pod komendą naczelną gen. Eisenhowera. Wybór odradzającego się imperializmu zachodnio-niemieckiego do roli głównego satelity amerykańskiego w Europie tłumaczy się dwoma podstawowymi względami. Po pierwsze Amerykanie sprawują nad Niemcami zachodnimi najbardziej bezpośrednią kontrolę okupacyjną, najłatwiej jest im więc tego satelitę kontrolować — po drugie odradzający się imperializm zachodnio-niemiecki jest najbardziej agresywny ze wszystkich imperializmów zachodnio-europejskich, ponieważ jest imperializmem żądnym odwetu. Zgodnie z tymi przesłankami Amerykanie, postanawiając oficjalnie na konferencji waszyngtońskiej utworzyć armię zachodnio-niemiecką, nie tylko nie rezygnują ze swej okupacyjnej kontroli w Trizonii, ale wręcz zapowiadają jej wzmożenie poprzez przysłanie dalszych 4 dywizji wojsk amerykańskich. Podobnie Amerykanie nie tylko nie próbują hamować odwetowych dążności imperializmu zachodnio-niemieckiego, ale, wprost przeciwnie, jeszcze je podsycają. W Niemczech zachodnich mnożą się, jak grzyby po deszczu, coraz nowe organizacje wysiedleńców, byłych żołnierzy, byłych SS-owców itd. żądające „powrotu na prastare ziemie niemieckie". Rząd Adenauera przyjął to hasło za jedną z podstaw swej polityki, jak to otwarcie stwierdził sam Adenauer w przemówieniu w Berlinie 6 października.

Decyzja waszyngtońska utworzenia armii zachodnio-niemieckiej w ramach wojsk gen. Eisenhowera oznacza więc poważne zagrożenie pokoju w Europie. Dla zachodnio-europejskich satelitów oznacza ona zarazem utratę resztek samodzielności i zamianę w wojskowe zaplecze amerykańsko-niemieckiego dowództwa atlantyckiego. Jak dobrze rozumieją to satelici amerykańscy, wskazuje fakt, że rząd brytyjski próbujący jeszcze od czasu do czasu samodzielnych posunięć, sprzeciwił się stanowczo podporządkowywaniu swych wojsk sztabowi „armii europejskiej". Dla narodu niemieckiego decyzje waszyngtońskie równoznaczne są nie tylko z próbą uwiecznienia podziału kraju i odroczenia w niekończoność zawarcia traktatu pokojowego, ale również z próbą zamiany Niemiec w główne *place*

d'armes gen. Eisenhowera, a następnie główne pole bitewne trzeciej wojny światowej w Europie. Innymi słowy, decyzje waszyngtońskie są dla Niemców równoznaczne z zagładą narodową.

W obliczu poważnego zagrożenia bytu narodowego Niemiec zebrała się 15 września w Berlinie na nadzwyczajnej sesji Izba Ludowa Niemieckiej Republiki Demokratycznej. W imieniu rządu NRD premier Grotewohl oświadczył: „W poczuciu odpowiedzialności za przyszłość narodu niemieckiego, w imieniu 12,5 miliona wyborców Niemieckiej Republiki Demokratycznej, w imieniu milionów obywateli republiki federalnej (tj. zachodnio-niemieckiej — K. W.) zarówno tych, którzy wzięli udział w referendum ludowym przeciwko remilitaryzacji Niemiec i na rzecz zawarcia traktatu pokojowego, jak również tych, których przemocą nie dopuszczono do udziału w referendum — oświadczamy: Nadeszła chwila, w której konieczność podjęcia kroków w celu uratowania narodu niemieckiego stała się nagląca... Za zgodą rządu Niemieckiej Republiki Demokratycznej proponuję, by Izba Ludowa Niemieckiej Republiki Demokratycznej zwróciła się do parlamentu Niemieckiej Republiki Federalnej z apelem w sprawie zwołania ogólnoniemieckiej narady przedstawicieli Niemieckiej Republiki Demokratycznej Niemiec zachodnich dla omówienia następujących dwóch spraw: 1) sprawy przeprowadzenia ogólnoniemieckich wolnych wyborów do Zgromadzenia Narodowego w celu utworzenia zjednoczonych, demokratycznych i miłujących pokój Niemiec; 2) sprawy przyśpieszenia zawarcia traktatu pokojowego z Niemcami".

Izba Ludowa przyjęła jednomyślnie propozycję rządu i uchwaliła odpowiedni apel do Bundestagu — parlamentu trizonalnego. Propozycje Izby Ludowej wywołały poważne zakłopotanie reakcyjnych przywódców zachodnio-niemieckich. Adenauer pospieszył z miejsca z prowokacyjnym przemówieniem, w którym odrzucił propozycje NRD jako „trick propagandowy". Reakcja zachodnio-niemiecka szybko jednak zrozumiała, że takie niemaskowanie negatywne stanowisko dalece nie wystarcza i nie może politycznie zrównoważyć szerokiego oddźwięku, z jakim w całym narodzie niemieckim spotkały się propozycje Izby Ludowej NRD. Organ CDU, zachodnio-niemieckiej partii Adenauera *Bonner Rundschau*, doniósł już 17 września, że „wpływowi posłowie Bundestagu, których w żadnym razie nie można podejrzewać o orientację prokomunistyczną, są zdania, iż projekt Izby Ludowej powinien być szczegółowo rozpatrzony". Frankfurcki korespondent reakcyjnej parykiej *Paris Presse* stwierdził: „Naród niemiecki życzy sobie zjednoczenia kraju i domaga się, aby gest Grotewohla nie został potraktowany jako zwykła propaganda. Koła rządzące Bonn muszą liczyć się z ogromną nadzieją wywołaną w opinii publicznej przez deklarację Grotewohla".

Schumacherowska „opozycja" postanowiła pospieszyć w sukurs Adenauerowi. Schumacher wysunął więc szczególnie perfidną tezę, iż rzekomo wszelkie rozmowy pomiędzy Niemcami dotyczące zjednoczenia kraju i zawarcia traktatu pokojowego są bezprzedmiotowe, ponieważ kwestie te należą do kompetencji czterech mocarstw. Innymi słowy, Schumacher chciał wmówić narodowi niemieckiemu, że w walce o swą własną przyszłość i o pokój w Europie nie ma on nic do powiedzenia i że musi podporządkować się aktualnemu stanowi rzeczy, tj. podziałowi kraju i remilitaryzacji Trizonii. Przerzucając odpowiedzialność za losy Niemiec na cztery mocarstwa okupacyjne; Schumacher wprawił jednak w kłopot swych wa-

szyngtońskich mocodawców. 21 września przewodniczący Radzieckiej Komisji Kontrolnej w Niemczech, gen. Czujkow, wyraził w imieniu ZSRR poparcie dla wszelkich wysiłków przedstawicieli NRD zmierzających do przywrócenia jedności Niemiec i przyspieszenia zawarcia traktatu pokojowego z Niemcami, a w konsekwencji wycofania wszystkich wojsk okupacyjnych z Niemiec. To ponowne autorytatywne stwierdzenie znanego stanowiska ZSRR w sprawie Niemiec stało się tym bardziej wymowne, że oficjalni rzecznicy Waszyngtonu, Londynu i Paryża odmówili sprecyzowania stanowiska swych rządów wobec apelu Izby Ludowej NRD. Nie mogąc ze względu na niemiecką opinię publiczną oficjalnie zalecić Adenauerowi odrzucenia tego apelu, rzecznicy mocarstw zachodnich organiczyli się do wskazania, że na apel Izby Ludowej „muszą odpowiedzieć sami Niemcy". W ten sposób z schumacherowskiego wskazywania na „cztery mocarstwa okupacyjne" pozostało wskazanie tylko na trzy mocarstwa zachodnie. Innymi słowy, perfidna gra propagandowa SPD skompromitowała jedynie dodatkowo w oczach narodu niemieckiego politykę mocodawców Schumachera.

Gdy manewer Schumachera został zdemaskowany, a zachodnio-niemiecka opinia publiczna z coraz większym naciskiem, któremu poddawała się nawet część reakcyjnej prasy, żądała podjęcia rozmów między przedstawicielami obu części Niemiec — Adenauer *et consortes* doszli do wniosku, że „coś trzeba zrobić" i że czysto negatywne potraktowanie propozycji Izby Ludowej nic dobrego nie przynosi. Po długich naradach Adenauer wysmażył deklarację precyzującą stanowisko jego rządu w sprawie zjednoczenia Niemiec. Deklaracja ta zaaprobowana została przez Bundestag również głosami socjal-demokratów. Adenauer wywodzi w niej, że rozpoczęcie rozmów między Niemcami jest niemożliwe, ponieważ najpierw trzeba przeprowadzić „wolne wybory". Obok warunków formułujących, co Adenauer rozumie przez „wolność" wyborów — a wśród warunków tych nie ma ani jednego, który by mówił o zakazie propagandy faszystowskiej i prześladowań ruchu demokratycznego — kanclerz z Bonn żąda, aby owe „wolne wybory" odbyły się dopiero po przeprowadzeniu przez „komisję ONZ" odpowiednich badań „czy i o ile istnieją właściwe warunki wyborcze". Same wybory miałyby się odbyć pod kontrolą międzynarodową. Adenauer stwierdził także, że nie zamierza rezygnować z „terenów niemieckich na wschodzie" i oświadczył, że „przyłączenie strefy radzieckiej do Republiki Federalnej (!) uważa tylko za „pierwszy krok" w zjednoczeniu „ziem niemieckich". Deklaracja Adenauera zatwierdzona przez Bundestag stanowiła oczywiście próbę ominięcia propozycji Izby Ludowej. Klika Adenauera dała przy tym niedwuznacznie do zrozumienia, że na zjednoczenie Niemiec zgodzi się tylko na warunkach rozszerzenia władzy imperializmu zachodnio-niemieckiego podporządkowanego Amerykanom na terytorium całych Niemiec. Dowodzi tego pominięcie w uchwale Bundestagu sprawy traktatu pokojowego. Dowodzi tego również opinia przewodniczącego Bundestagu, Ehlersa, głoszącego: „Nasze wysiłki zmierzające do przeprowadzenia ogólnoniemieckich wyborów nie oznaczają bynajmniej, iż pragniemy zneutralizowania Niemiec. Wprost przeciwnie, pragniemy wzmocnić Zachód przez włączenie w jego orbitę całego terytorium niemieckiego". Mamy więc tu do czynienia z próbą rozszerzenia głównej bazy agresji amerykańskiej w Europie. Ponadto deklaracja Adenauera oznaczała też próbę podporządkowania zagad-

nienia jedności Niemiec żądaniom odwetowym. W kilka dni po uchwale Bundestagu Adenauer sprecyzował: „Polityka rządu federalnego zmierza do zjednoczenia całych Niemiec — Niemiec wraz z Berlinem, strefą radziecką i całym niemieckim wschodem", przez który to termin Adenauer rozumie przynajmniej połowę polskiego terytorium.

Klika z Bonn spróbowała zatem odpowiedzieć na oddźwięk, jaki wywołały propozycje Izby Ludowej NRD — otwartym postawieniem perspektywy zjednoczenia Niemiec nie na gruncie pokoju, ale na gruncie wojny, nie na gruncie demokratycznego rozwoju, ale na bazie ponownej faszyzacji i ponownego odrodzenia imperializmu niemieckiego. Z prawdziwego sensu tej perspektywy zdali sobie oczywiście doskonale sprawę zachodni komentatorzy prasowi. Półoficjalny francuski *Monde* podkreślając, że adenauerowska koncepcja zjednoczenia Niemiec jest nie do zrealizowania bez wojny, stwierdzał, że „Adenauer szuka więc po prostu w decydującym momencie pretekstu do storpedowania sprawy jedności Niemiec".

Istotne intencje rządu Adenauera demaskuje wreszcie fakt, że równolegle z wydawaniem deklaracji i wygłaszaniem przemówień na temat jedności Niemiec nawiązał on zgodnie z wytycznymi konferencji waszyngtońskiej rokowania z zachodnimi Wysokimi Komisarzami w sprawie sfinalizowania wytycznych remilitaryzacji Trizonii. Rokowania te toczące się jednocześnie w Bonn pomiędzy Adenauerem i Wysokimi Komisarzami oraz w Paryżu na tzw. konferencji ekspertów w sprawie „armii europejskiej" mają być sfinalizowane jeszcze przed 1 grudnia, tak, aby rada paktu atlantyckiego mogła na swej sesji w Rzymie, zapowiedzianej ostatecznie na grudzień, powziąć definitywne uchwały. Rokowania te przebiegają w atmosferze zaciekłych targów i wzajemnych oskarżeń o „nieustępliwość" — odradzający się imperializm zachodnioniemiecki pragnie oczywiście wytargować możliwie najlepsze warunki, na co Wysocy Komisarze odpowiadają przypomnieniem Adenaurowi, „kto tu właściwie rządzi". Nie ulega kwestii, że główny zachodnio - niemiecki sprzedawca mięsa armatniego nie ma łatwego życia. Mieszczański *Süddeutsche Zeitung* podając, że jeden z Wysokich Komisarzy po szczególnie ostrej admonicji pod adresem Adenauera nazwał kanclerza *poor old fellow* (w wolnym przekładzie — biedny stary osioł), konkluduje: „Określenie to trafia w nas wszystkich i zmusza nas do zastanowienia, czy nie zrobilibyśmy lepiej traktując naszą federalną republikę po prostu jako to, czym jest ona w rzeczywistości — a mianowicie prowizorium bez żadnych pretensji do suwerenności". Rozmowy Adenauera z Wysokimi Komisarzami wykazują bowiem narodowi niemieckiemu, iż „kanclerz" nie jest przedstawicielem żadnego samodzielnego rządu, a tylko wykonawcą rozkazów obcego imperializmu. Propozycje Izby Ludowej muszą więc w takim kontekście wywoływać tym żywszy oddźwięk. Propozycje te — co należy stwierdzić z naciskiem — spowodowały poprzez wzrost oporu przeciw remilitaryzacji w Niemczech zachodnich poważne trudności w adenauerowskim „przedsiębiorstwie handlu mięsem armatnim". Francuska *Information* w artykule b. premiera monachijczyka, Daladiera, wskazuje: „Idea zjednoczenia Niemiec i wolnych wyborów jest dla Niemców dużo ponętniejsza niż zbrojenia".

Izba Ludowa NRD 10 października udzieliła odpowiedzi na wykręty Adenauera i Bundestagu. Izba Ludowa

stwierdzając, że popiera propozycję wolnych wyborów ogólnoniemieckich i że gotowa jest zaakceptować większość warunków Bundestagu w sprawie organizacji tych wyborów, podkreśliła ponownie, iż istnieją jeszcze inne kwestie do omówienia na ogólnoniemieckiej naradzie przedstawicieli obu części Niemiec, aby umożliwić przeprowadzenie demokratycznych wyborów. W szczególności Izba Ludowa jeszcze raz wskazuje na konieczność omówienia przez Niemców sprawy przyśpieszenia zawarcia traktatu pokojowego. Wobec tego Izba Ludowa jeszcze raz żąda jasnej odpowiedzi na pytanie, czy Bundestag zgadza się na zwołanie narady przedstawicieli obu części Niemiec w celu omówienia sprawy wyborów ogólnoniemieckich i przyspieszenia zawarcia traktatu pokojowego. W odrębnej rezolucji Izba Ludowa protestuje przeciw zdradzieckim rozmowom Adenauera z Wysokimi Komisarzami i domaga się przerwania tych rozmów.

Zachodnio - niemieccy podżegacze wojenni zostali w ten sposób przyciśnięci do muru. W adenauerowskiej prasie zawrzało i zaroiło się od zapowiedzi odrzucenia propozycji Izby Ludowej. W chwili redagowania niniejszego przeglądu Bundestag nie zajął jeszcze stanowiska wobec oświadczenia Izby Ludowej, ale przewidywano, że będzie to stanowisko negatywne. Jednakże Adenauer musi pamiętać, że jego politykę odrzuca olbrzymia większość narodu niemieckiego. Październikowe wybory w Bremie przyniosły adenaurowskiej CDU utratę niemal 2/3 jej pozycji! Adenauer nie potrafi zapobiec rozmowom między Niemcami, zmierzającym do pokojowego uregulowania losów tego kraju. Premier Grotewohl stwierdził: *„Wir werden nicht mit den Volksverrätern sonder mit den Volksvertretern sprechen“* (Nie będziemy mówili ze zdrajcami narodu, lecz z przedstawicielami narodu). Reakcyjny berliński *Der Tag* alarmuje, że bez względu na stanowisko Adenauera i Bundestagu „rozpoczęła się już właściwie narada ogólnoniemiecka, której zwołania domagał się Grotewohl“. Rozmowa ogólnoniemiecka trwa! Na każdej ulicy, w każdym domu w Trizonii, gdzie do kartonowych pudełek— zamaskowanych przed policją urn — padają głosy plebiscytowe patriotów niemieckich: Przeciw wojnie, za jednością, za pokojem! Głosy „zakazanego“ plebiscytu.

Krzysztof Wolicki

DYSKUSJA W SPRAWIE WYPACZEŃ IDEOLOGICZNYCH W LITERATURZE RADZIECKIEJ

2 lipca br. ukazał się w *Prawdzie* artykuł redakcyjny pt. P r z e c i w k o w y p a c z e n i o m i d e o l o g i c z n y m w l i t e r a t u r z e. W artykule tym *Prawda* poddała surowej krytyce wiersz ukraińskiego poety W. Sosiury K o c h a j U k r a i n ę, którego nowy rosyjski przekład pióra A. Prokofiewa zamieścił miesięcznik literacki *Zwiezda* w numerze 5/51. Nie był to pierwszy przekład wymienionego wiersza — napisanego jeszcze w roku 1944 (o przekładach tych pisaliśmy w numerze 8 T w ó r c z o ś c i „Na widnokręgu“. O pracy sekcji twórczych Związku Pisarzy Radzieckich ZSRR).

Jakie zarzuty natury ideologicznej postawił Sosiurze autor artykułu *Prawdy*? Można je streścić w kilku zdaniach. Wbrew prawdzie życiowej poeta w wierszu tym opiewa nie Ukrainę Radziecką, Ukrainę walczącą bohatersko z hitlerowskim najeźdźcą, lecz jakąś Ukrainę „odwieczną“, Ukrainę „w ogóle“ — poza czasem, poza epoką. W wierszu Sosiury — wywodzi autor — pod zewnętrzną ozdobną formą poetyc-

ką opisów przyrody ukraińskiej nie ma ani obrazu bohaterskiej przeszłości narodu ukraińskiego, ani plastycznego odtworzenia jego nowego, socjalistycznego życia.

To oderwanie się znanego poety od życia Ukrainy Radzieckiej, od źródeł patriotyzmu radzieckiego powoduje, że w wierszu Sosiury — Ukraina jest osamotniona, poeta pominął jej żywy związek z innymi narodami ZSRR.

„Wiadomo — czytamy w omawianym artykule — że istota nacjonalizmu polega na dążeniu do odosobnienia się i zamknięcia w swojej narodowej skorupie..." — Nieco dalej czytamy: „Przeżytki kapitalizmu w świadomości ludzkiej są w dziedzinie zagadnienia narodowościowego, znacznie żywotniejsze niż w jakiejkolwiej innej. Są żywotniejsze dlatego, że można je dobrze maskować pod szatą narodową".

Szukając przyczyn tego zjawiska na odcinku literatury i sztuki ukraińskiej *Prawda* dochodzi do wniosku, że w pracy ideowo-wychowawczej na Ukrainie są pewne braki i niedociągnięcia.

Problem wypaczeń ideologicznych w literaturze i sztuce — tak śmiało i bezkompromisowo postawiony w omówionym artykule *Prawdy* — wywołał ożywioną dyskusję na łamach radzieckiej prasy literackiej, w organizacjach literackich w całym Związku Radzieckim, a przede wszystkim na Ukrainie. Wiele materiałów do tej dyskusji wniosły artykuły redakcyjne *Literaturnej Gaziety* (O zasadniczą krytykę literacką w numerze 80 z 7.VII. br., Wychwalanie — zamiast krytyki — w numerze 83 z 14.VII. br.). Organ Zarządu Związku Pisarzy Radzieckich ZSRR zwrócił w tych artykułach uwagę na to, że w ukraińskiej organizacji literackiej zapanowała atmosfera samouspokojenia, zadowolenia z siebie, bezpodstawnej wiary w nieomylność wybitnych pisarzy. Wyrazem tych niezdrowych objawów były artykuły niektórych ukraińskich krytyków, którzy w istocie nie recenzowali utworów wybitnych pisarzy, lecz tylko je wychwalali.

Dyskusji o wypaczeniach ideologicznych poświęcone były obrady VI Plenum Zarządu Związku Pisarzy Radzieckich Ukrainy w dniach od 30.VII — 2.VIII br. Referat zasadniczy pt. Wypaczenia ideologiczne w literaturze ujawnione w artykule gazety „Prawda" a kolejne zadania pisarzy Ukrainy Radzieckiej wygłosił przewodniczący Zarządu Związku, A. Korniejczuk. Po omówieniu osiągnięć literatury radzieckiej w ogóle — Korniejczuk podkreślił znaczenie ideowo-wychowawczego wpływu Partii na rozwój literatury realizmu socjalistycznego, w szczególności przez ujawnianie i zwalczanie błędów i wypaczeń ideologicznych.

Korniejczuk scharakteryzował twórczość Sosiury, autora wielu wartościowych utworów poetyckich, które zyskały powszechne uznanie. Jeśli w poezji Sosiury na przestrzeni 30 lat zdarzały się utwory słabsze, bezideowe, apolityczne — snuje swą myśl Korniejczuk — winę za to ponosi poeta, który nie wykorzenił całkowicie ze swej świadomości resztek nacjonalizmu. Winne temu jest kierownictwo Związku Pisarzy, ukraińska prasa literacka, a także pisarze i krytycy, gdyż we właściwym czasie nie poddali surowej krytyce ideowo wadliwego wiersza Kochaj Ukrainę, nie pomogli poecie w ujawnieniu i usunięciu braków i wypaczeń.

Z kolei Korniejczuk przeszedł do samokrytycznej oceny napisanego przez siebie i Wandę Wasilewską libretta do opery Dankiewicza Bohdan

Chmielnicki. Libretto to w swoim czasie *Prawda* skrytykowała w artykule redakcyjnym; w omówionym na wstępie artykule Przeciwko wypaczeniom ideologicznym w literaturze również wspomniano o poważnych błędach w tym utworze. Korniejczuk — w imieniu własnym i Wasilewskiej — uznał krytykę *Prawdy* za całkowicie słuszną. Ciekawy ten wywód pisarza przytoczę w całości:

„Na czym polegają nasze błędy? Przede wszystkim na tym, że oddaliliśmy się od prawdy historycznej, że nie odtworzyliśmy w libretcie walki narodu ukraińskiego z polską szlachtą, która uciskała lud ukraiński na przestrzeni wieków. Nie przedstawiliśmy też, w jak strasznych warunkach żył lud ukraiński pod jarzmem polskiej szlachty, nie opracowaliśmy przekonywająco tematu wojny wyzwoleńczej narodu ukraińskiego. To wszystko musiało odbić się na charakterystyce szeregu głównych bohaterów opery Bohdan Chmielnicki. Błędna była nasza myśl, że — jeśli przedstawimy klęskę polskiej szlachty — to tym samym możemy do pewnego stopnia urazić godność narodową polskiego ludu. Myśl to błędna dlatego, że polska szlachta była wrogiem nie tylko ludu ukraińskiego, lecz także ludu polskiego".*)

Z dalszych słów Korniejczuka wynika zapowiedź przeróbki opery i libretta.

W dalszym ciągu referatu Korniejczuk omówił krytycznie pracę Związku Pisarzy Radzieckich Ukrainy, zanalizował wiersze tych poetów, w których twórczości zachowały się — w większym lub mniejszym stopniu, w takiej czy innej formie, — wypaczenia ideowe o charakterze nacjonalistycznym, ślady nacjonalistycznego zasklepienia.

Przechodząc do omówienia ukraińskiej prozy Korniejczuk podkreślił, że — mimo jej niewątpliwie wielkich osiągnięć — można wytknąć pewne braki, osłabiające siłę ideowo-wychowawczą ukraińskiej beletrystyki. Do tych niedociągnięć Korniejczuk zaliczył pewną powierzchowność, nie dość głębokie traktowanie tematyki przemysłowej. „Pisarze spostrzegają tylko poszczególne osiągnięcia w budownictwie lub przemyśle, natomiast cały wzniosły proces socjalistycznego budownictwa przemysłowego na progu komunizmu nie zawsze bywa głęboko przemyślany".

Podobne są objawy zasklepiania, zwężania literackiego tworzywa tylko do ram jednego kołchozu, jednej wsi — bez rzutowania perspektyw ogólnospołecznych, bez literackiego rozpracowania żywego związku rozwojowego między chłopstwem kołchozowym a klasą robotniczą kraju socjalizmu. „Autorzy — mówił Korniejczuk — nie ujmują budownictwa socjalizmu na wsi i w mieście jako jednolitego procesu budownictwa przemysłowo-kołchozowego, jako jednolitego procesu socjalistycznej przebudowy kraju". Winę za ten stan rzeczy ponoszą nie tylko pisarze, lecz również krytyka literacka i organizacje pisarzy.

Dużo uwagi poświęcił Korniejczuk sprawom organizacyjnym Związku Pisarzy, w szczególności sprawie uaktywnienia pisarzy wchodzących w skład zarządu, sekretariatu, komisji i sekcji twórczych Związku, sprawie ożywienia krytyki twórczej, sprawie reorganizacji redakcyjnych zespołów czasopism literackich oraz rad wydawniczo-redakcyjnych.

W ożywionej dyskusji na Plenum wypowiedziało się wielu pisarzy i krytyków literackich analizując krytycznie

*) Wszystkie cytaty z przemówień na VI Plenum Związku Pisarzy Radzieckich Ukrainy podaję ze sprawozdania o przebiegu Plenum w Nr Nr 91 i 92 *Literaturnej Gaziety* z sierpnia br.

i samokrytycznie ukraińską twórczość literacką lat ostatnich. Między innymi wypowiedział się również sam Sosiura, przyznając całkowitą słuszność ostrej krytyce wiersza Kochaj Ukrainę.

„Brak właściwej, zasadniczej krytyki — powiedział Sosiura — atmosfera wychwalania — spowodowały, że zacząłem uważać za bezbłędne wszystko, co napisałem; boleśnie odczuwałem i reagowałem na krytyczne uwagi pewnych towarzyszy".

Z ramienia Zarządu Głównego Związku Pisarzy Radzieckich przemawiali K. Simonow i A. Surkow, którzy zwrócili uwagę uczestników Plenum na znaczenie zagadnień organizacyjnych, na wielką odpowiedzialność kierownictwa Związku za stan krytyki literackiej. Surkow poddał między innymi ostrej krytyce zwyczaj niektórych ukraińskich krytyków literackich — kadzenia pisarzom w monografiach literackich.

„Dzieje się więc tak — konkludował Surkow — że wszystkich tych pisarzy, młodych duchem, pełnych możliwości twórczych, dążących do nowych osiągnięć — krytycy stawiają w położeniu ludzi, którzy już nie mają czego szukać, nie mają co śmiało atakować, którzy już wszystko osiągnęli".

Nie należy jednak — ostrzega Surkow — wpadać w drugą krańcowość: potępiać w czambuł całą twórczość pisarza, który popełnił błąd.

Zagadnienie wypaczeń ideologicznych było żywo omawiane na zebraniach pisarzy we wszystkich ośrodkach literackich ZSRR. Na zebraniu partyjnym pisarzy leningradzkich omówiono krytycznie twórczość poety A. Prokofiewa, autora przekładu wiersza Sosiury Kochaj Ukrainę, skrytykowano również leningradzki miesięcznik literacki *Zwiezda*. Na zebraniu organizacji partyjnej pisarzy białoruskich w Mińsku również zwrócono uwagę na pewne niedociągnięcia ideowo-artystyczne w literaturze białoruskiej.

Zjawiska wypaczeń ideologicznych były szczególnie szeroko omawiane w sierpniu w związku z pięcioleciem historycznych uchwał Komitetu Centralnego WKP(b) w sprawach ideologicznych (O czasopismach *Zwiezda i Leningrad*—z 14.VIII.1946 r.); O repertuarze teatrów dramatycznych i sposobach jego poprawy — 26.VIII. 1946 r. oraz O filmie *Bolszaja Żizn* (Szerokie życie) — z 4.IX.1946 r.).

„Wszelkie głoszenie bezideowości, apolityczności, „sztuki dla sztuki" — mówi uchwała — obce jest literaturze radzieckiej, szkodzi interesom narodu i państwa radzieckiego, dlatego nie ma dlań miejsca w naszych czasopismach" (cyt. z wyd. rosyjskiego tekstu uchwał KC WKP(b) w sprawach ideologicznych, *Gospolitizdat*, 1951, str. 6).

Siła literatury radzieckiej tkwi właśnie w jej ścisłym zespoleniu się z narodem, w służeniu jego sprawom. W referacie o czasopismach *Zwiezda* i *Leningrad* wygłoszonym w sierpniu 1946 r. znakomity teoretyk i szermierz realizmu socjalistycznego, Andrzej Żdanow, rozwinął tezy Uchwały KC Partii. Nas w związku z tym interesują wypowiedzi w sprawie krytyki i samokrytyki, w sprawie czynnego udziału pisarzy i krytyków literackich w walce z przeżytkami. Żdanow zaapelował do pisarzy radzieckich: „Musimy chłostać przeżytki dnia wczorajszego, przeżytki, które przeszkadzają ludziom radzieckim w marszu naprzód" (cyt. z Referatu o czasopismach *Zwiezda* i *Leningrad*, *Gospolitizdat*, 1946, str. 37).

By móc dostrzec te przeżytki, by w w porę reagować na wsteczne przejawy, należy zachować daleko idącą czujność. Nie straciły na aktualności argumenty wyłuszczone w historycznych uchwa-

łach KC WKP(b). W uchwale w sprawie czasopism leningradzkich stwierdził Komitet Centralny, że u kierowniczych pracowników tych czasopism

„...z niechęci do psucia stosunków kumoterskich stępiło się ostrze krytyki. Z obawy obrażenia przyjaciół przepuszczano do druku utwory wyraźnie bezwartościowe. Tego rodzaju liberalizm — kiedy stosunkom kumoterskim przynosi się w ofierze interesy narodu i państwa, sprawy właściwego wychowania naszej młodzieży, kiedy tłumi się krytykę — powoduje, że pisarze przestają podwyższać swoje kwalifikacje, tracą poczucie odpowiedzialności wobec narodu, wobec partii, wobec państwa, zatrzymują się w rozwoju" (cyt. tekst Uchwały z wymienionej wyżej broszury, str. 6 — 7).

Walka z przeżytkami burżuazyjnymi, nacjonalistycznymi stanowi ważne ogniwo w łańcuchu spraw ideowo-wychowawczych radzieckiej literatury i krytyki literackiej. W artykule wstępnym teoretycznego dwutygodnika KC WKP(b) B o l s z e w i k (Nr 14 z lipca br.), poświęconym piątej rocznicy ogłoszenia uchwał Partii w sprawach ideologicznych — czytamy o aktywnym i twórczym udziale pisarzy radzieckich w tej walce:

„W utworach przedwojennych pisarze odtwarzali głównie walkę między ludźmi radzieckimi a wrogami ustroju radzieckiego. W literaturze powojennej ośrodek zainteresowania przeniósł się na sprawę wykorzenienia przeżytków kapitalizmu tkwiących w świadomości i bycie obywateli zacofanych".

W twórczości literackiej takie przeżytki rodzą wypaczenia ideologiczne. Jak stwierdza autor artykułu, poeta A. Prokofiew skłonny jest do poetyzowania zacofania i „patriarchalnej" starzyzny, co wypływa z niedostatecznie wnikliwej znajomości współczesnego życia radzieckiego.

„Kiedy Prokofiew — czytamy w artykule B o l s z e w i k a (j. w. str. 6) — pisze o wsi, to maluje obraz włościanina z sierpem i kosą, zupełnie nie charakterystyczny dla współczesnej wsi kołchozowej wyposażonej w przodującą technikę; kiedy patrzy na przyrodę, obrazy brzózek, cichych ruczajów i kwitnących jabłoni zasłaniają przed nim cały świat, usuwają z pola jego twórczej uwagi ludzi radzieckich, budowniczych komunizmu. Kiedy opiewa naszą ojczyznę, to przedstawia obraz Rosji poza czasem, natomiast nie dostrzega Rosji Radzieckiej".

W cytowanym artykule, a także w artykułach i pracach zamieszczonych w radzieckiej prasie partyjnej i literackiej w związku z piątą rocznicą ogłoszenia uchwał KC WKP(b) w sprawach ideologicznych znajdujemy podsumowanie osiągnięć radzieckiej literatury i krytyki literackiej w ostatnim pięcioleciu, omówienie najważniejszych zagadnień literackich w obliczu stalinowskiego planu przeobrażenia przyrody oraz wielkich budowli komunizmu, w obliczu bujnego rozkwitu radzieckiej myśli naukowej i technicznej, literatury i sztuki. Wśród tych zadań ważne miejsce zajmuje walka z wypaczeniami ideologicznymi natury nacjonalistycznej, co ma wielkie znaczenie dla wielonarodowej, różnojęzycznej literatury Kraju Rad. Przeciw pewnym wypaczeniom w literaturze kazachskiej skierowana jest uchwała KC KP(b) Kazachstanu z 14.VIII. br. omówiona obszernie na zebraniu pisarzy kazachskich w Ałma-Acie we wrześniu br. W literaturze kazachskiej wypaczenia nacjonalistyczne przybierają formę bezkrytycznego opiewania działaczy z rodzimej przeszłości feudalno-szlacheckiej.

Ciekawe i oryginalne ujęcie zagadnienia od strony kunsztu pisarskiego przedstawił poeta A. Twardowski na zebraniu pisarzy moskiewskich poświęconym pięcioleciu uchwał KC WKP(b) w sprawach ideologicznych. Tezy jego przemówienia znajdujemy w Nr 108 *Litieraturnej Gaziety* (z 11.IX. br.) w artykule zatytułowanym — O bezwładności formy i treści. Przez „bezwładność" formy i treści, które powiązane są nierozerwalną więzią wewnętrzną, rozumie Twardowski uleganie przez niektórych poetów i prozaików raz obranej formie, raz wybranej tematyce, albo z góry ustalonemu rodzajowi literackiemu — bez względu na zmiany zachodzące w świecie zewnętrznym, bez względu na okoliczności, upływ czasu i zmienioną sytuację. Taką „bezwładnością formy" grzeszy w swoim wierszu Sosiura, który nasycił go jakimiś starodawnymi, zwietrzałymi elementami liryki, co — przy braku prawdziwie ideowego natchnienia, przy braku wielkiej i prawdziwie patriotycznej myśli o ojczystej radzieckiej Ukrainie — pogłębiło wadliwy ideowo sens utworu. Taka „bezwładność formy" charakteryzuje twórczość Prokofiewa: poeta kiedyś, przed laty, obrał formę pseudoludową, folklorystyczną — i przy niej pozostał. Takiej „bezwładności" gatunku literackiego ulegają niektórzy pisarze, zwłaszcza młodzi, którzy mając dobry materiał literacki do napisania np. reportażu lub opowiadania — upierają się przy tym, by napisać — powieść. Rezultat — także w znaczeniu ideowo-artystycznym — opłakany. Chaosowi w wyborze gatunku literackiego — wywodzi Twardowski — może i powinno zapobiec planowanie. Oczywiście, planowanie w sztuce i literaturze — to nie planowanie gospodarcze, „to — definiuje Twardowski — troskliwe, wnikliwe studiowanie tego, co przynosi sztuka dzisiejsza. Planować literaturę — to znaczy wyczuwać jej tendencje, odróżniać drogę właściwą od niewłaściwej, „naprowadzać" pisarza na tematykę najważniejszą i organicznie związaną z jego talentem".

Józef Spinc

KSIĄŻKI NADESŁANE

MARKSIZM-LENINIZM

A. Carycyn — Materializm dialektyczny filozoficzną podstawą naukowego światopoglądu proletariackiego. Przekł. z ros. Haliny Waśkowskiej „Książka i Wiedza", Warszawa, 1951. Str. 19 i 1 nlb.

Włodzimierz Iljicz Lenin — Dzieła. Tom 21 (Sierpień 1914 — grudzień 1915) — str. 530 i 1 tabl.; tom 23 (Sierpień 1916 — marzec 1917) — str. 456, 1 portret i 1 tabl. „Książka i Wiedza", Warszawa, 1951.

— Zadania socjaldemokratów rosyjskich. Mała biblioteczka marksizmu-leninizmu, Nr 3. Materiały do studiowania Historii WKP(b). „Książka i Wiedza", Warszawa, 1951. Str. 28 i 1 nlb.

— List do towarzysza o naszych zadaniach organizacyjnych. Mała biblioteczka marksizmu-leninizmu, Nr 5. Materiały do studiowania Historii WKP(b). „Książka i Wiedza", Warszawa, 1951. Str. 27 i 1 nlb.

W. I. Lenin i J. W. Stalin — O współzawodnictwie pracy. Biblioteka klasyków marksizmu-leninizmu. „Książka i Wiedza", Warszawa, 1951. Str. 128 i 2 nlb.

Róża Luksemburg (Junius) — Kryzys socjaldemokracji. Poprzedzone pracą W. I. Lenina: O broszurze Juniusa. „Książka i Wiedza", Warszawa, 1951. Str. 169 i 3 nlb.

P. Pietrow — Własność socjalistyczna. Przekł. z ros. Leszka Dąbrowskiego. „Książka i Wiedza", Warszawa, 1951. Str. 38 i 2 nlb.

M. I. Sidorow — Historyczne warunki powstania leninizmu. Przekł. z ros. T. Kołakowskiej. Cykl: Zagadnienia teorii marksizmu-leninizmu. „Książka i Wiedza", Warszawa, 1951. Str. 32.

Józef Stalin — Przemówienie wygłoszone na przedwyborczych zebraniach wyborców Stalinowskiego okręgu wyborczego w Moskwie 11 grudnia 1937 r. i 9 lutego 1946 r. „Książka i Wiedza", Warszawa, 1951. Str. 25 i 3 nlb.

— Socjaldemokratyczna Partia Rosji i jej najbliższe zadania. Mała biblioteczka marksizmu-leninizmu, Nr 3. Materiały do studiowania Historii WKP(b). „Książka i Wiedza", Warszawa, 1951. Str. 51 i 2 nlb.

— O samokrytyce. Wybór artykułów i fragmentów z przemówień. Biblioteka klasyków marksizmu-leninizmu. „Książka i Wiedza", Warszawa, 1951. Str. 40.

— Raz jeszcze o socjaldemokratycznym odchyleniu w naszej Partii. Referat i słowo końcowe po dyskusji na VII rozszerzonym Plenum KWMK 7 i 13 grudnia 1926 r. Biblioteka klasyków marksizmu-leninizmu. „Książka i Wiedza", Warszawa, 1951. Str. 135 i 4 nlb.

WYDANIA ZBIOROWE

Henryk Sienkiewicz — Dzieła. Wydanie zbiorowe pod red. Juliana Krzyżanowskiego. Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa, 1950—1951. Tom **XXXIX** — Dramaty, str. 257, 5 nlb. i 1 fotokopia; tom **XL** — Wiersze i inne drobne utwory, str. 171, 4 nlb. i 1 fotografia; tom **XLIV** — Listy z podróży i wycieczek, str. 271, 4 nlb. i 1 fotografia; tom **XLV** — Szkice literackie, str. 317, 4 nlb. i 1 fotokopia; tom **XLVI** — Szkice literackie, str. 223, 4 nlb. i 1 fotografia; tom **XLVII** — Sprawy bieżące, str. 250, 4 nlb. i 1 fotografia; tom **XLVIII** — Chwila obecna, str. 204, 4 nlb. i 1 fotografia; tom **XLIX** — Chwila obecna, str. 219 i 4 nlb.; tom LI — Wiadomości bieżące, str. 284, 6 nlb. i 1 portret; tom LII — Wiadomości bieżące, str. 270, 5 nlb. i 1 fotografia.

PROZA

Sadriddin Ajni — Śmierć lichwiarza. Język oryginału tadżycki. Przekł. z ros. Zygmunta Plejznerowskiego. Cykl: Literatura narodów Związku Radzieckiego. „Książka i Wiedza", Warszawa, 1951. Str. 242 i 2 nlb.

Kazimierz Brandys — Człowiek nie umiera. Czwarty tom cyklu „Między wojnami". „Czytelnik", Warszawa, 1951. Str. 436 i 2 nlb.

Petras Cvirka — Opowiadania. Oryginał w języku litewskim. Przekł. z ros. Jana Huszczy. Cykl: Literatura narodów Związku Radzieckiego. „Książka i Wiedza", Warszawa, 1951. Str. 246 i 2 nlb.

Karol Dickens — Wielkie nadzieje. Przekł. z ang. Karoliny Beylin. „Książka i Wiedza", Warszawa 1951. Str. 493 i 2 nlb.

W. Dmitriew — Podróż w krainę jutra. Przekł. Maurycego Zajdenmana. „Książka i Wiedza", Warszawa, 1951. Str. 70 i 2 nlb.

Howard Fast — Odjazd. Przekł. z ang. M. Michałowskiej. „Czytelnik", Warszawa, 1950. Str. 163 i 3 nlb.

Roman Hussarski — Nowy mur. Cykl: W kuźni Planu Sześcioletniego. „Czytelnik", Warszawa, 1951. Str. 223 i 2 nlb.

W. Katajew — Syn pułku. Przekł. z ros. Wyd. II. Wydawnictwo Ministerstwa Obrony Narodowej. Warszawa, 1951, str. 167 i 1 nlb.

Hans Kirk — Niewolnik. Przekł. z duńsk. Romany Heltberg. „Czytelnik", Warszawa, 1951. Str. 140 i 4 nlb.

Jack Lindsay — Opowieść o roku 1649. Przekł z ang. Krystyny Tarnowskiej. „Czytelnik", Warszawa, 1951. Str. 621 i 3 nlb.

— Stracone prawo. Przekł. z ang. Marii Wirpsza-Kureckiej i Krystyny Tarnowskiej. „Czytelnik", Warszawa, 1951. Str. 495 i 5 nlb.

Maria Majerova — Najpiękniejszy świat. Przekł. z czesk. Jadwigi Bułakowskiej. „Książka i Wiedza", Warszawa, 1951. Str. 288 i 2 nlb.

Robert Mende — Bruk i gwiazdy. Powieść. Przekł autoryz. Małgorzaty Szerchy. Państwowy Instytut Wydawniczy. Warszawa, 1951, Str. 482 i 1 nlb.

Jo Mihaly — Obrońca brata swego. Powieść. Przekł. autoryz. Zofii Petersowej. Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa, 1951. Str. 207 i 1 nlb.

Opowiadania o Feliksie Dzierżyńskim. „Czytelnik", Warszawa, 1951. Str. 268 i 2 nlb.

Myra Page — Słońce nad kopalnią. Przekł. z ang. Ewy Fiszer i Eleonory Romanowicz. „Czytelnik", Warszawa, 1950. Str. 213 i 3 nlb.

Jerzy Pietkiewicz — Przyjaciel. „Czytelnik", Warszawa. 1951. Str. 145 i 2 nlb.

La Rochefoucauld — Maksymy i rozważania moralne. Przekł. z franc. i oprac. Tadeusza Boya-Żeleńskiego. Wyd. II, zmienione. Biblioteka Narodowa Nr 38, seria II. Wydawnictwo Zakładu Narodowego im. Ossolińskich, Wrocław, 1951. Str. **XX**, 106 i 2 nlb.

Anatol Rybakow — Kierowcy. Przekł. z ros. Adama Ostoi. „Czytelnik", Warszawa, 1950. Str. 320 i 2 nlb.

Anna Seghers — List gończy. Przekł. z niem. Wandy Kragen i Juliana Popławskiego. „Czytelnik", Warszawa, 1951. Str. 173 i 2 nlb.

W. Smirnow — Szurka odkrywa świat. Powieść. Przekł. autoryz. Hanny Olędzkiej. Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa, 1951. Str. 358 i 2 nlb.

D. Sniegin — Na dalekich przedpolach. Przekł. z ros. W. Boruńskiego. Wydawnictwo Ministerstwa Obrony Narodowej, Warszawa, 1951. Str. 250 i 5 nlb.

Leonid Sobolew — Remont kapitalny. Przekł z ros. Wacławy Komarnickiej. Słownictwo morskie ustalił kpt. dypl. Olgierd Tumiłowicz. „Czytelnik", Warszawa, 1951. Str. 318 i 5 nlb.

M. Sumiński i T. Domaniewski — Druga wachta. „Książka i Wiedza", Warszawa, 1951. Str. 89, 2 nlb. i 1 wykres.

Tugelbaj Sydykbekow — Ludzie naszych dni. Język oryg. kirgiski. Z przekł. ros. tłum. Włodzimierz Kałuba. Wiersze tłum. Jerzy Litwiniuk. „Czytelnik", Warszawa, 1951. Str. 361 i 1 nlb.

Aleksy Tołstoj — Hrabia Cagliostro i inne opowiadania. Przekł. z ros. Kazimierza Truchanowskiego. „Czytelnik", Warszawa, 1951. Str. 228 i 3 nlb.

Mao Tun — Cztery opowieści. Przekł. z niem. Wiktora Kościńskiego. „Czytelnik", Warszawa, 1951. Str. 107 i 1 nlb.

Stanisław Witkiewicz — Utwory tatrzańskie. Pisma Wybrane pod red. Jana Zygmunta Jakubowskiego, tom IV. „Książka i Wiedza", Warszawa, 1951. Str. XII, 215, 4 nlb. i reprodukcje obrazów.

Stanisław Wygodzki — Opowiadanie buchaltera. „Czytelnik", Warszawa, 1951. Str. 182 i 2 nlb.

Emil Zola — Rzym, tom I. Wyd. skrócone. Przekł. z franc. Zdany Matuszewicz. „Książka i Wiedza", Warszawa, 1951. Str. 252.

Stiepan Zorian — Historia jednego życia. Tłum. z przekł. ros. Aniela Burzyńska. „Czytelnik", Warszawa, 1951. Str. 353 i 5 nlb.

POEZJA I DRAMAT

Bajka polska wieku Oświecenia w wyborze. Oprac. Zdzisław Skwarczyński. Wyd. II, zmienione. Biblioteka pisarzy polskich i obcych, tom 22, opracowany w Instytucie Badań Literackich. „Książka i Wiedza", Warszawa, 1951. Str. XV, 150 i 3 nlb

Franciszek Fenikowski — Lewy brzeg. „Czytelnik", Warszawa, 1951. Str. 41 i 3 nlb.

Konstanty Ildefons Gałczyński — Niobe. „Czytelnik", Warszawa, 1951. Str. 50 i 1 nlb.

Henryk Gaworski — Przed nami życie. „Czytelnik", Warszawa, 1951. Str. 76 i 3 nlb.

Krzysztof Gruszczyński — Dobry człowiek. Sztuka w 3 aktach, 6 odsłonach. Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa, 1951. Str. 95 i 2 nlb.

Mieczysław Jastrun — Barwy ziemi. Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa, 1951. Str. 74 i 3 nlb.

Sebastian Fabian Klonowic — Flis to jest spuszczanie statków Wisłą i innymi rzekami do niej przypadającymi. Opracował Stefan Hrabec. Biblioteka Narodowa Nr 137, Seria I. Wydawnictwo Zakładu Narodowego im. Ossolińskich, Wrocław, 1951. Str. XXXV, 104 i 2 nlb.

Ignacy Krasicki — Utwory wierszowane w wyborze. Oprac. Stanisław Adamczewski, wstępem opatrzył Tadeusz Mikulski. Wyd. II, zmienione. Biblioteka pisarzy polskich i obcych, tom 20, opracowany w Instytucie Badań Literackich. „Książka i Wiedza", Warszawa, 1951. Str. XV, 131 i 2 nlb.

Tadeusz Kubiak — Serce Partii. „Czytelnik", Warszawa, 1951. Str. 33 i 2 nlb.

Aleksander Maliszewski — Wczoraj i przedwczoraj. Sztuka w 4 aktach. „Czytelnik", Warszawa, 1951. Str. 80 i 3 nlb.

Antoni Marianowicz — Bez pardonu. Ilustr. Jan Lenica. Biblioteka Szpilek Nr 14. „Czytelnik", Warszawa, 1951. Str. 75 i 5 nlb.

Molier — Mizantrop. Komedia w pięciu aktach. Przekł. i oprac. Tadeusza Żeleńskiego-Boya. Wyd. III, przejrzane. Biblioteka Narodowa Nr 2, Seria II. Wydawnictwo Zakładu Narodowego im. Ossolińskich, Wrocław, 1951. Str. XLII i 1 nlb.

Leon Pasternak — Trzeba było iskry. Sztuka w 3 aktach. Uwagi inscenizacyjne Lidii Zamkow. „Czytelnik", Warszawa, 1951. Str. 81 i 4 nlb.

Jerzy Piórkowski — Nasze życie. Sztuka w 3 aktach. „Czytelnik", Warszawa, 1951. Str. 83 i 2 nlb.

Józef Prutkowski — Do żywego. „Czytelnik", Warszawa, 1951. Str. 67 i 4 nlb.

Aleksander Świętochowski — Utwory dramatyczne, część I — Piękna. Błazen. Aspazja. Pisma wybrane, tom II. Wybrał i wstępem poprzedził Wacław Kubacki. Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa, 1951. Str. 361 i 2 nlb.

Anna Świrszczyńska — Odezwa na murze. Sztuka w pięciu obrazach. „Czytelnik, Warszawa, 1951. Str. 84 i 2 nlb.

Wieczny płomień. Wybór wierszy poetów radzieckich i polskich o Feliksie Dzierżyńskim. Opracował Wiktor Woroszylski. Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa, 1951. Str. 77 i 2 nlb.

Jerzy Zagórski — Wiersze wybrane. „Czytelnik", Warszawa, 1951. Str. 52, 3 nlb. i 1 portret.

Wanda Żółkiewska — Awans. Sztuka w 3 aktach. „Czytelnik", Warszawa, 1951. Str. 84 i 3 nlb.

HISTORIA I PUBLICYSTYKA

Jean Baumier — Od Hitlera do Trumana. Przekł. z franc. Jana Guranowskiego. „Czytelnik", Warszawa, 1951. Str. 129 i 2 nlb.

M. Dragilew — Stany Zjednoczone ostoją światowej reakcji. Przekł. z ros. A. Oleckiego. Cykl: Bieżące zagadnienia polityki międzynarodowej, Nr 19. „Książka i Wiedza", Warszawa, 1951. Str. 20.

Ernst Fischer — Płonący sygnał. Przekł. z niem. Zygmunta Szymańskiego. Wstęp i posłowie Stanisława Szenica. „Czytelnik", Warszawa, 1951. Str. X, 140 i 3 nlb.

Roger Garaudy — Kościół, komunizm i chrześcijanie. Przekł. autoryz. Marii Reczkowej. Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa, 1951. Str. 341 i 5 nlb.

Maksym Gorki — Artykuły i pamflety. Przekł. z ros. Juliana Stawińskiego, Zofii Kwiecińskiej, Stefana Klonowskiego i Barbary Rafałowskiej. „Książka i Wiedza", Warszawa, 1951. Str. 323 i 3 nlb.

Łukasz Kurdybacha — Dzieje Kodeksu Andrzeja Zamoyskiego. „Czytelnik", Warszawa, 1951. Str. 167 i 1 nlb.

Bogusław Leśnodorski i Kazimierz Opałek — Nauka polskiego Oświecenia w walce o postęp. Praca napisana i wydana z okazji pierwszego Kongresu Nauki Polskiej. „Czytelnik", Warszawa, 1951. Str. 111 i 4 nlb.

I. Lewin — Faszyzacja ustroju państwowego w Stanach Zjednoczonych. Cykl: Bieżące zagadnienia polityki międzynarodowej, Nr

12. „Książka i Wiedza", Warszawa, 1951. Str. 28.

Kryzys szkolnictwa w USA. Adaptacja książki pt. „U. S. Education in Crisis", wyd. w r. 1950 w jęz. ang. przez Międzynarodowy Związek Studentów. Adaptował Witold Lipski. „Książka i Wiedza", Warszawa, 1951. Str. 100 i 3 nlb.

Jurgen Kuczyński — Kolonizacja i remilitaryzacja Niemiec zachodnich. „Książka i Wiedza", Warszawa, 1951. Str. 89 i 2 nlb.

A. Mołok — Robotnicy Paryża w dniach Komuny. Przekł. z ros. Kazimierza Krąkowskiego. „Książka i Wiedza", Warszawa, 1951. Str. 47 i 1 nlb.

Od planu Marshalla do planu Schumana. Zbiór artykułów z miesięcznika francuskiego „Cahiers Internationaux". „Książka i Wiedza", Warszawa, 1951. Str. 57 i 2 nlb.

J. Pawłowski — Z tajników dyplomacji watykańskiej. „Książka i Wiedza", Warszawa, 1951. Str. 54 i 2 nlb.

M. Rubinsztejn — Rozbójniczy imperializm amerykański. Przekł. z ros. Ignacego Korala. Cykl: Bieżące zagadnienia polityki międzynarodowej, Nr 6. „Książka i Wiedza", Warszawa, 1951. Str. 38 i 1 nlb.

M. M. Scheinman — Ideologia i polityka Watykanu w służbie imperializmu. Przekł. z ros. Jana Dąbrowskiego. „Książka i Wiedza", Warszawa, 1951. Str. 218 i 1 nlb.

Stare i nowe Chiny. Zbiór tłumaczeń artykułów z prasy radzieckiej i francuskiej. „Prasa Wojskowa", Warszawa, 1951. Str. 202 i 2 nlb.

Costas Theos — Położenie klasy robotniczej w Grecji. Przekł. z niem. W. Bukowskiego. „Książka i Wiedza", Warszawa, 1951. Str. 28 i 2 nlb.

Palmiro Togliatti, Jacques Duclos, Dolores Ibarruri i Walter Ulbricht — O bieżących zagadnieniach polityki międzynarodowej. Cykl: Bieżące zagadnienia polityki międzynarodowej, Nr 18. „Książka i Wiedza", Warszawa, 1951. Str. 37 i 2 nlb.

Walter Ulbricht — Klęska Niemiec w pierwszej wojnie światowej a rewolucja listopadowa. Przekł. z niem. L. Joachimowicza. „Książka i Wiedza", Warszawa, 1951. Str. 33 i 2 nlb.

B. Wroński — Walka o pokój i demokrację w Stanach Zjednoczonych. Przekł. z ros. St. Pszenickiej. Cykl: Bieżące zagadnienia polityki międzynarodowej, Nr 17. „Książka i Wiedza", Warszawa, 1951. Str. 22 i 1 nlb.

Zbrodnie wojsk amerykańskich i lisynmanowskich w Korei. Sprawozdanie Międzynarodowej Komisji Kobiecej. „Książka i Wiedza", Warszawa, 1951. Str. 39 i 1 nlb.

ESSAY I KRYTYKA

Maksym Gorki — O literaturze. Referat wygłoszony na Zjeździe Pisarzy Radzieckich w dniu 17 sierpnia 1934 r. Przekł. z ros. Zofii Kwiecińskiej. Cykl: Z teorii literatury i krytyki literackiej. „Książka i Wiedza", Warszawa, 1951. Str. 58 i 1 nlb.

LITERATURA NAUKOWA

O. Lepieszyńska — Materialistyczna nauka o komórce. Przekł. z ros. C. Lewandowskiej. „Książka i Wiedza", Warszawa, 1951. Str. 35 i 1 nlb.

Stefan Rozmaryn — Polskie prawo państwowe. Wyd. II poprawione i uzupełnione. Biblioteka Zrzeszenia Prawników Polskich. „Książka i Wiedza", Warszawa, 1951. Str. 561 i 1 nlb.

LITERATURA DLA DZIECI I MŁODZIEŻY

A. Aleksin — Trzydzieści jeden dni. Przekł. z ros. Zofii Pomianowskiej. Ilustr. W. Konowałowej, przedruk z wyd. ros. Biblioteka Harcerza. „Nasza Księgarnia", Warszawa, 1951. Str. 195 i 1 nlb.

N. Artiuchowa — Opowieści o dzieciach. Przekł. z ros. A. Cesarza. Ilustr. z wyd. ros. „Nasza Księgarnia". Warszawa, 1951. Str. 322 i 2 nlb.

Aleksander Bek — Pierwszy bój. Przekł. Stefana Kłonowskiego. Ilustr. Vaclav Junek. „Nasza Księgarnia", Warszawa, 1951. Str. 174 i 1 nlb.

Helena Bobińska — Zemsta rodu Kaubunauri. Książka polecona dla bibliotek harcerskich. „Nasza Księgarnia", Warszawa, 1951. Str. 182 i 3 nlb.

Zofia Boguszewicz — Z zielonego frontu. Ilustr. I. Serewa. Biblioteka Harcerza. „Nasza Księgarnia", Warszawa, 1951. Str. 75 i 1 nlb.

O. Chawkin — Zawsze razem. Przekł. z ros. J. Hermańskiej. Ilustr. A. Korotkina, przedruk z wyd. ros. Wyd. I. „Nasza Księgarnia", Warszawa, 1951. Str. 270 i 2 nlb.

Benedykt Hertz — Bajki na scenie. Teatr Szkolny. „Nasza Księgarnia", Warszawa, 1951. Str. 187.

B. Jemielianow — W starym lesie. Przekł. z ros. Zofii Łapickiej. Ilustr. Krzysztofa Henisza. Biblioteczka dla dzieci. „Książka i Wiedza", Warszawa, 1951. Str. 14 i 1 nlb.

Paweł Kowalow — Andrejka. Przekł. z ros. N. Olszewskiej. Ilustr. P. Pawlinowa, przedruk z wyd. ros. Wyd. I. „Nasza Księgarnia", Warszawa, 1951. Str. 61.

Lucyna Krzemieniecka — O Wielkim Stalinie. „Nasza Księgarnia", Warszawa, 1951. Str. 30 i 2 nlb. z ilustr.

A. Maliszewski — Nowa szata króla. Siedem obrazów wg baśni Andersena. Teatr Szkolny. „Nasza Księgarnia", Warszawa, 1951. Str. 60.

S. Michałkow — Tom Canty. Sztuka w 5 odsłonach. Opracowanie dla teatrów szkolnych i świetlicowych. Przekł. z ros. Wacławy Komarnickiej. Przekł. wierszy Jerzego Litwiniuka. Wyd. I. „Nasza Księgarnia", Warszawa, 1951. Str. 107.

M. Nikulin — Życie przed nami. Przekł. z ros. M. Bogomolnej. Ilustr. A. Kokorina, przedruk z wyd. ros. Biblioteka Harcerza. „Nasza Księgarnia", Warszawa, 1951. Str. 204 i 2 nlb.

N. Nosow — Dziennik Koli Sinicyna. Przekł. z ros. Z. Głowiakowej. Ilustr. W. Ładiagina, przedruk z wyd. ros. Wyd. I. Biblioteka Harcerza. „Nasza Księgarnia", Warszawa, 1951. Str. 125 i 1 nlb.

M. Prileżajewa — Nie jesteś sam. Przekł. z ros. M. Powiadowskiej. Ilustr. W. Wysockiego, reprod. z wyd. ros. „Nasza Księgarnia", Warszawa, 1950. Str. 166 i 2 nlb.

A. Studitski — Pawłow. Opowiadanie o życiu wielkiego fizjologa. Przekł. z ros. Aleksandra Wołowskiego. Wyd. I. „Nasza Księgarnia", Warszawa, 1951. Str. 284 i 2 nlb.

Michał Sumiński i Grażyna Woyszwis — Żeglarskie zwycięstwo. Wyd. I. Biblioteka Harcerza. „Nasza Księgarnia", Warszawa, 1951. Str. 75 i 3 nlb.

Karol Szpalski i Marian Załucki — Jurek mieszka w Warszawie. Ilustr. J. Grabskiej i A. Pucka. „Nasza Księgarnia", Warszawa, 1950. Str. 80 i 1 nlb.

M. Tichonow — Dzielny partyzant. Przekł. z ros. Ireny Tuwim. Ilustr. z oryg. ros. W.

Konowałowej. „Książka i Wiedza", Warszawa, 1951. Str. 30 i 2 nlb.

Weronika Tropaczyńska - Ogarkowa — Za godzinę zbiórka. Opowiadania. Ilustr. J. Czerwińskiego. Biblioteka Harcerza. „Nasza Księgarnia", Warszawa, 1951. Str. 149 i 1 nlb.

Trzy bajki. Opracowała I. Karnauchowa. Przekł. z ros. Marii Grabowskiej. Ilustr. Krzysztofa Henisza. Biblioteczka dla dzieci. „Książka i Wiedza", Warszawa, 1951. Str. 15 i 1 nlb.

I. Wasilenko — Gwiazdeczka. Przekł. z ros. Andrzeja Miłosza. Ilustr. W. Baluskina, przedruk. z oryg. ros. Nagroda Stalinowska 1949. Biblioteka Harcerska. „Nasza Księgarnia", Warszawa, 1951. Str. 110 i 2 nlb.

Złote ręce. Zbiór baśni narodów ZSRR o mistrzostwie w pracy. Przekł. z ros. Natalii Olszewskiej. Rysunki z oryg. ros. A. Konstantinowskiego. „Książka i Wiedza", Warszawa, 1951. Str. 65 i 2 nlb.

B. Żidkow — Bezdomna kotka. Przekł. z ros. Ireny Tuwim. Ilustr. T. Ulatowskiego. Biblioteczka dla dzieci. „Książka i Wiedza", Warszawa, 1951. Str. 15 i 1 nlb.

PAMIĘTNIKI, BIOGRAFIE, WSPOMNIENIA

Mario Montagnana — Wspomnienia robotnika turyńskiego. Tom. I — Pod wodzą Gramsciego. „Czytelnik", Warszawa, 1951. Str. 226 i 1 nlb.

K. S. Stanisławski — Moje życie w sztuce. Przekł. z ros. Zofii Petersowej. „Książka i Wiedza", Warszawa, 1951. Str. 429, 3 nlb i fotografie.

Zoltan Vas — Szesnaście lat więzienia. Przekł. z węg. Janusza Moszczeńskiego. „Czytelnik", Warszawa, 1951. Str. 252.

RÓŻNE

A. Arakeljan — Rozrachunek gospodarczy i walka o lepsze wykorzystanie środków trwałych. Przekł. z ros. H. Adalińskiej. Cykl: Z doświadczeń socjalistycznego budownictwa w ZSRR, Nr 11. „Książka i Wiedza", Warszawa, 1951. Str. 18 i 1 nlb.

B. Burłakow — Pięć lat bez generalnego remontu. Stachanowska metoda eksploatacji silników na statkach. Przekł. z ros. Jerzego Gosiewskiego. „Książka i Wiedza", Warszawa, 1951. Str. 30 i 1 nlb.

J. Gusjew — Szlakiem stalinowskim. 20 lat budownictwa kołchozowego w rejonie rybnowskim. Przekł. z ros. Mikołaja Czyrki. „Książka i Wiedza", Warszawa, 1951. Str. 92 i 2 nlb.

Zdenek Hrdlička — Chiński drzeworyt rewolucyjny. Album. Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa, 1951. Str. 101 i 4 nlb.

Jak przygotować referaty i pogadanki. Przekł. z ros. Janiny Krajewskiej. Biblioteka Zetempowca, Nr 19. Cykl: Z doświadczeń Komsomołu. „Książka i Wiedza", Warszawa, 1951. Str. 30 i 2 nlb.

A. Jakimow — Mongolska Republika Ludowa na drodze do socjalizmu. Przekł. z ros. E. Drukierowej. Cykl: Kraje demokracji ludowej, Nr 4. „Książka i Wiedza", Warszawa, 1951. Str. 19 i 1 nlb.

Juliusz Słowacki 1849 — 1949. Katalog wystawy otwartej dnia 3.VII.1950 r. w Muzeum Narodowym w Warszawie. Zestawił Aleksander Semkowicz. Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa, 1951. Str. XV, 123 i 2 nlb.

P. Łobanow — Rolnictwo socjalistyczne w powojennej pięciolatce. Przekł. z ros. L. Marschaka. Cykl: Z doświadczeń socjalistycznego budownictwa w ZSRR, Nr 13. „Książka i Wiedza" „Warszawa, 1951. Str. 23.

Kuo Mo-żo — Oświata i kultura w Nowych Chinach. Sprawozdanie wygłoszone 17 czerwca 1950 r. na 2 sesji Komitetu Narodowego Ludowej Konsultatywnej Rady Politycznej. „Książka i Wiedza", Warszawa, 1951. Str. 26 i 2 nlb.

S. Napałkow — Wielkie budowle komunizmu i system nawadniania w rolnictwie ZSRR. Przekł. z ros. S. Pszenickiej. Cykl: Z doświadczeń socjalistycznego budownictwa w ZSRR, Nr 12. „Książka i Wiedza", Warszawa, 1951. Str. 21 i 1 nlb.

Nowe prawo małżeńskie Chińskiej Republiki Ludowej. Przekł. z wyd. ang. M. Derenicza. Cykl: Chiny Ludowe, Nr 6. „Książka i Wiedza", Warszawa, 1951. Str. 51 i 1 nlb.

Marietta Szaginian — Podróż po radzieckiej Armenii. Przekł. z ros. Jadwigi Dmochowskiej. Przekł. wierszy Włodzimierza Boruńskiego. Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa, 1951. Str. 389, 3 nlb. i 1 mapa.

Maciej Weber — Ochrona zdrowia w zakładach pracy. „Książka i Wiedza", Warszawa, 1951. Str. 43 i 2 nlb.

Janina Żeniewska — Co da młodzieży Plan Sześcioletni. Cykl: Młodzież w walce o Plan Sześcioletni. „Książka i Wiedza", Warszawa, 1951. Str. 42 i 2 nlb.

SPIS TREŚCI

Str.

DOKUMENTY PAŹDZIERNIKA:
Do obywateli Rosji; Referat o zadaniach władzy Rad; Włodzimierz Lenin: O naszej rewolucji; Józef Stalin: Rewolucja Październikowa a historia warstw pośrednich 3

Andrzej Warzyszyński: Dni Październikowe 11

Wiktor Woroszylski: O nas 16

Jerzy Andrzejewski: Powiastka o zadufku całkowitym czyli głupcu bezwzględnym 19

Igor Newerly: Pamiętnik z Celulozy 100

Maksym Tank: Kalinowski (poemat) — przeł. Kazimierz Andrzej Jaworski 135

Julian Stawiński: Komunistyczny styl pracy 151

NA BUDOWIE PLANU 6-LETNIEGO: Roman Bratny: Cud nasz powszedni 154

WŚRÓD KSIĄŻEK: Hieronim Michalski — Stanisław Piętak „Imię przyszłości"; Janina Preger — Jerzy Zagórski „Wiersze wybrane"; Maciej Koliba — Anna Kowalska „Wielka próba"; Wojciech Natanson — J. I. Kraszewski „Szalona"; Stefan Żeromski „Wspomnienia"; Konstanty Paustowski „Opowieść północna" 159

NA WIDNOKRĘGU: Krzysztof Wolicki; Józef Spinc 174

KSIĄŻKI NADESŁANE 188

Wydaje Instytut Prasy „Czytelnik"
Redaktor Naczelny: Adam Ważyk
Adres redakcji: Warszawa, Wiejska 16, tel. 734-65, centr. 7-52-50/52, wewnętrzny 18
Administracja: Wiejska 12, tel. 7-52-50
Prenumerata i kolportaż: PPK „Ruch" Oddz. w W-wie, ul. Srebrna 12, tel. 804-20 do 25
Wpłat na prenumeratę można dokonywać Pl. 3 Krzyży 16. Chmielna 25.
Cena zeszytu zł 3.60. Prenumerata kwartalna zł 10.80, półroczna — zł 21.60.
Rękopisów nie zamówionych redakcja nie zwraca.